

SIECI

**JAK TO JEST,
GDY ZACHORUJEMY
NA COVID-19
PORUSZAJĄCE
RELACJE**

**SZUMOWSKI
NA CELOWNIKU
OPOZYCJI**



**PROF. KRASNODĘBSKI:
JAK EPIDEMIA ZMIENI
NASZ ŚWIAT**

**CZY ZNIEŚĆ
ZAMROŻENIE SPOŁECZNE?
ZA I PRZECIW**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 18 (387) 2020
27 kwietnia – 3 maja 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI



DONALD TUSK

**OD
PREMIERA DO HEJTERA**

**BYŁY PREMIER ZNACZY CORAZ
MNIEJ. REAGUJE AGRESJĄ
I FRUSTRACJĄ. ATAKUJE
JUŻ NIE TYLKO POLSKI
RZĄD, LECZ TAKŻE
VIKTORA ORBÁNA.
JAKIE SĄ KULISY
TEGO UPADKU?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269007

CZAS PATRIOTÓW

„Apelujemy do wszystkich, aby w czasie robienia zakupów (...) wybierać te, które zostały wyprodukowane w naszym kraju.

– prezydent Andrzej Duda



Sprawdź, jak zostać konsumentem patriotą

Więcej o akcji:

wGospodarcze.pl



O patriotyzmie gospodarczym czytaj też w **Gazecie Bankowej** – najstarszym magazynie ekonomicznym w Polsce

Korzystaj z e-wydania Gazety Bankowej na iOS i Android. Szczegóły:

gb.pl/e-wydanie-gb



Wydanie majowe miesięcznika w sprzedaży od 30 kwietnia 2020 r.

eprasa.pl 24184bac83

Do braci Węgrów:

To Tusk powinien Was przeprosić

Wydawany w Polsce tabloid „Fakt” wezwał węgierskich dziennikarzy, by przeprosili szefa Europejskiej Partii Ludowej Donalda Tuska za podanie informacji o jego przeszłości rodzinnej. Katarzyna Kozłowska, redaktor naczelna „Faktu”, oceniła przy tym, że „w biały dzień posłużono się zwykłym kłamstwem i zmanipulowanymi zdjęciami, przedstawiając je jako fakty”. Jeśli chcemy być precyzyjni, należy podkreślić, że fakt służby w Wehrmachcie dziadka Donalda Tuska został udowodniony i jest bezsporny, choć rzecz jasna – z racji, że dotyczył faktycznie pogranicza polsko-niemieckiego – może być różnie interpretowany.

W związku z tym redakcja portalu wPolityce.pl chce przesłać wyrazy solidarności naszym przyjaciółom z Węgier. Zwracamy uwagę, że działania założonego przez Niemców tabloidu są próbą odwrócenia uwagi od sprawy naprawdę skandalicznej, czyli od tych wypowiedzi Donalda Tuska, w których snuje pośrednie, acz czytelne analogie między obecnymi władzami Węgier a III Rzeszą. To język niedopuszczalny, oparty na manipulacji, w istocie poniżający ofiary nazistowskich Niemiec.

Podkreślamy, że w swoim stanowisku Donald Tusk jest odosobniony. Siły patriotyczne w Polsce w pełni rozumieją sens polityki premiera Viktora Orbána, i wiedzą, jak trudnym zadaniem jest odbudowa państwa niszczonego najpierw przez komunizm, a później przez postkomunizm i zdzieciniały liberalizm. Sukcesy premiera Orbána na tym polu były dla Polaków ważną inspiracją w najtrudniejszym okresie po tragedii smoleńskiej.

Jednocześnie zwracamy uwagę, że cała operacja może mieć na celu skłócenie Polaków i Węgrów, połączonych szczerymi i silnymi więzami przyjaźni. Jest charakterystyczne, że brutalne oskarżenia przeciwko rządowi węgierskiemu wysuwa Donald Tusk, a do tego wysuwa je w niemieckiej prasie. Sprawia to wrażenie, że były premier realizuje zapotrzebowanie głównych ośrodków politycznych Unii Europejskiej, w tym Berlina, które jednocześnie same nie wypowiadają skandalicznego oskarżenia, cedując to zadanie na Europejczyka pochodzącego ze wschodniej części kontynentu. Chwilę później oliwy do ognia dolewa gazeta będąca własnością niemiecko-szwajcarskiego koncernu. Jest to być może operacja sprytnie pomyślana, ale jednocześnie bardzo czytelna.

Uważamy, że to Donald Tusk powinien przeprosić braci Węgrów za niedopuszczalne porównania do Niemiec z lat 30. Powinien też zaprzestać działań, które w oczywisty sposób nie leżą w interesie Europy Środkowo-Wschodniej.

Przyjaźń polsko-węgierska jest ważnym kapitałem obu narodów. W ostatnich latach jest ona szczególnie mocno pielęgnowana przez władze w Warszawie i Budapeszcie. Prowokacje w rodzaju wypowiedzi Donalda Tuska czy ingerencji niemieckich mediów nie są w stanie zaszkodzić wzajemnym relacjom. Przeciwnie – pokazują, jak ważna to sprawa i jak niewygodna dla wielu potężnych ośrodków.

Magyar barátainkhoz:

Tusknak kell bocsánatot kérnie

ALengyelországban megjelenő „Fakt” c. bulvárlap fel szólította a magyar újságírókat, hogy kérjenek bocsánatot az Európai Néppárt elnöke, Donald Tusk családi múltjával kapcsolatos információk megosztása miatt. Katarzyna Kozłowska, a „Fakt” főszerkesztője szerint „több meghatározó sajtótermék hazugságokat és manipulált fotókat próbált tényként bemutatni”. A pontosság kedvéért le kell szögeznünk, hogy Donald Tusk nagyapja bizonyítottan és vitathatatlanul a Wehrmachtban szolgált, bár természetesen – a lengyel-német határregió jellege miatt – ezt különféleképpen értelmezhetjük.

Ezért a wPolityce.pl portál szerkesztői szolidaritásukat fejezik ki magyarországi Barátaikkal. Felhívjuk a figyelmet, hogy a németek által alapított bulvárlap leplezni próbálja a botrányos ügyet, vagyis Donald Tusk kijelentéseit, aki habár közvetetten, de mégis egyértelműen párhuzamot von a jelenlegi magyar kormányzat és a Harmadik Birodalom között. Ez elfogadhatatlan, manipuláción alapuló nyelvhasználat, amely igazából megalazza a náci Németország áldozatait.

Hangsúlyozzuk, hogy álláspontjával Donald Tusk egyedül van. A lengyel patrióták teljes mértékben értik Orbán Viktor miniszterelnök politikájának lényegét, és tudják, milyen nehéz feladat a kommunizmus, majd a posztkommunizmus és a gyermekded liberalizmus okozta károk után az ország újjáépítése. Orbán miniszterelnök ezen a területen elért sikerei fontos inspirációt jelentettek a lengyelek számára a szmolenszki tragédia utáni nehéz időszakban.

Ugyanakkor felhívjuk a figyelmet, hogy a művelet célja az őszinte és erős baráti kötelékekkel egymáshoz kapcsolódó lengyelek és a magyarok összeugrasztása. Donald Tusk brutális vádakat fogalmaz meg a magyar kormánnyal szemben, s jellemző módon mindezt a német sajtóban teszi. Ez azt a benyomást kelti, hogy a volt lengyel miniszterelnök az Európai Unió főbb politikai döntéshozóinak, köztük Berlinnek, az igényeit elégti ki, akik botrányos vádjaik megfogalmazását a kontinens keleti részéről származó személyekre hárítják. Ráadásul a német-svájci csoport tulajdonában lévő újság publicisztikájával csak olajat önt a tűzre. Valószínűleg egy ügyesen kigondolt, ám jól átlátható művelettel van dolgunk.

Úgy gondoljuk, hogy Donald Tusknak bocsánatot kell kérnie magyar Barátainktól az 1930-as évek Németországával kapcsolatos elfogadhatatlan összehasonlításokért. Kelet-Közép-Európa érdekeivel összhangban nem álló tevékenységével pedig egyértelműen fel kell hagynia.

A lengyel-magyar barátság mindkét nemzet számára fontos, amit az utóbbi években a varsói és a budapesti kormányzat kitüntetett módon ápol. Donald Tusk provokációi vagy a német sajtó beavatkozásai nem tudnak ennek ártani. Ellenkezőleg, megmutatják mennyire fontos ez és mennyire kényelmetlen a nagy hatalommal rendelkező döntéshozók számára.

Jacek Karnowski



18

**Medycyna on-line
szansą polskich
pacjentów**
Anna Raciniewska



66

**Z Jackiem
Palkiewiczem**
rozmawia
**Aleksandra
Jakubowska**



76

Biebrza w ogniu
*Przemysław
Barszcz*

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 CAŁĄ DOBĘ**
Krzysztof Feusette
- 9 I PO BRAWACH**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 ŻYCZENIA Z OKAZJI MOICH URODZIN!**
Jan Pietrzak
- 13 KONSTYTUCJA!**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY
MONIKI ROGOZIŃSKIEJ**
Michał Korsun
- 15 OSOBLIWOŚĆ**
Dominik Zdort
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 WYBIERAMY, POMAGAMY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 21 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 23 Z WYSOKIEGO KONIA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

PANDEMIA KORONAWIRUSA

- 28 Z PROF. ZDZISŁAWEM
KRASNOŁĘBSKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 32 DOSYĆ TEGO!**
prof. Andrzej Nowak
- 34 WALCZYŁEM O KAŻDY ODDECH**
Maja Narbutt
- 38 Z KS. PIOTREM DYDĄ-ROŻNIECKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 42 Z DR. FRANCISZKIEM RAKOWSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek
- 45 CZY ZNIEŚĆ LOCKDOWN? ZA I PRZECIW**
Konrad Kołodziejcki
- 48 Z O. MARKIEM RACZKIEWICZEM**
rozmawia Piotr Słabek

KRAJ

- 52 WRÓG SZUMOWSKI**
Stanisław Janecki
- 54 WOLNOŚĆ SŁOWA, CZYLI
TVP RECENZUJE TVN**
Jakub Maciejewski
- 56 Z PROF. PRZEMYSŁAWEM
ŻURAWSKIM VEL GRAJEWSKIM**
rozmawia Jakub Maciejewski

SIECI KULTURY

- 59 BLASKI NOCY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 61 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 62 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

ŚWIAT

- 64 POJEDNANIE W JEROZOLIMIE**
Jan Rokita

OPINIE

- 66 Z JACKIEM PAŁKIEWICZEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

NATURA DLA LUDZI

- 76 BIEBRZA W OGNIU**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 80 MOJE SMAKI: JAMIE OLIVER**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 81 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 82 CZY WHO, CIA, NSA SĄ POTRZEBNE?**
Hanna Karp
- 84 CO NAM SZYKUJE BILL 666 GATES?**
Maciej Pawlicki
- 86 CZAS NA ZAMYŚLENIE**
Alina Czerniakowska
- 87 SPRAWDZAM**
Lech Makowiecki
- 89 KWIETNIOWO ODLOTOWO**
Leszek Długosz
- 90 CUDOWNĄ PÓŁPRAWDA**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Połącz się
z dedykowaną
infolinią:



22 484 84 84
732 122 500

Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora



Tarcza Antykryzysowa

Ruszyły miliardy złotych
na ochronę miejsc pracy

Nie ma wolności bez godności. W tych trudnych czasach, postawiliśmy sobie jeden cel gospodarczy: **zachować jak najwięcej miejsc pracy i uratować jak najwięcej polskich firm.** Sprawne państwo musi być państwem wrażliwym społecznie. Zwłaszcza dzisiaj.

Tarcza Antykryzysowa

po 3 tygodniach



1 500 000

złożonych wniosków o wsparcie



1 mln firm

zawnioskowało o zwolnienie
ze składek ZUS



900 000

miejsc pracy pod ochroną
Tarczy Antykryzysowej



820 mln zł

wypłaconych na ochronę
miejsc pracy



250 000

samoatrudnionym przyznano
świadczenie postojowe



170 000

pracowników otrzyma
dofinansowanie pensji

Już za chwilę!

100 mld zł z Tarczy Finansowej PFR



Subwencje dla firm zatrudniających
już od 1 pracownika



Nieoprocenowane



Umorzenie do 75%



Na oświadczenie



Czekamy tylko na akceptację
ze strony Komisji Europejskiej.



Sprawdź, jak Tarcza Antykryzysowa może pomóc Tobie: gov.pl/tarczaantykryzysowa



KPRM



Tarcza
Antykryzysowa

eprasa.pl/24184bac83

Sygnalista nadaje

🔊 Ambasador USA w Polsce włączyła się w debatę pomiędzy TVN a TVP. „»Fakty« TVN są częścią rodziny Discovery, amerykańskiej firmy notowanej na giełdzie papierów wartościowych w Nowym Jorku, której priorytetem jest przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo. Sugestie, że jest inaczej, są fałszywe” – stwierdziła **Georgette Mosbacher**, w tym wypadku bardziej ambasadorka marki Discovery niż Stanów Zjednoczonych.

🔊 Zwolennicy opozycji natychmiast postawili pytanie: „Ambasador jakiego kraju będzie bronił czci i godności »Wiomości« TVP?”. Dobre pytanie, pokazujące i naszą chorobę, i trafiające w sedno. Tak, żaden ambasador nie będzie bronił „Wiomości”. I to jest właśnie największy komplement.

🔊 Swoją drogą historia bywa dowcipna. W latach 90. środowiska wyrastające z PRL zasłaniały się „wolnym rynkiem” i „demokracją” w wydaniu postkomunistycznym. Gdy i te bezpieczniki runęły, schowały się pod parasol amerykański, i to taki, którego szczerze nie cierpiały i nie cierpią. I można mieć pewność, że jeśli w walce o globalną dominację zaczniesz wygrywać Pekin, schroń się pod chińską flagę. Flagi mogą się zmieniać, cel pozostaje ten sam.

🔊 „Carl Schmitt byłby bardzo dumny z Viktora Orbána” – stwierdził Donald Tusk w wywiadzie dla niemieckiego tygodnika „Der Spiegel”. A ponieważ Schmitt był prawnikiem, który współpracował z Hitlerem i nagiął prawo pod jego potrzeby, wyszło na to, że były premier porównuje współczesne Węgry do III Rzeszy. To z kolei oznacza, że sięga po

jeden z najpoważniejszych zarzutów we współczesnym świecie. Strzela ostrą amunicją.

🔊 Węgry więc też strzelają. „Szef EPP (EPL) Donald Tusk udzielił wywiadu, w którym brzmi jak Anne Applebaum i snuje paralełę między nazistami a premierem Orbánem, odnosząc się do sposobów walki z koronawirusem. A potem wzywa do Blitzkriegu w kwestiach ekonomicznych. Może nie porządził sobie z okropnymi oskarżeniami, które wysuwano przeciwko niemu w 2005 r., gdy wykorzystywano to zdjęcie?” – to wpis Márii Schmidt, szefowej Domu Terroru w Budapeszcie, osoby bardzo ważnej nad Dunajem. Kto by się spodziewał, że „dziadek z Wehrmachtu” wróci z tej strony?

🔊 W obronie Tuska stanął tabloid „Fakt”, domagając się przeprosin. „Więcej niż pięć węgierskich tytułów prasowych napisało w miniony weekend o tym, że Donald Tusk wywodzi się z rodziny, która kolaborowała z nazistowskimi Niemcami. W biały dzień posłużono się zwykłym kłamstwem i zmanipulowanymi zdjęciami, przedstawiając je jako fakty” – twierdzi. Redakcja „Faktu” wyraźnie nie ma pełnej wiedzy o tej sprawie. Bo pewne fakty jednak udowodniono.

🔊 Jarosław Gowin „jest wściekły na siebie i całą klasę polityczną, że rozmawiamy teraz o wyborach”, ponieważ „powinniśmy koncentrować się na walce z epidemią i walce o ratowanie polskiej gospodarki”. Jednocześnie jednak robi wszystko, by temat nakręcać, mimo że jego plan zmiany konstytucji ostatecznie upadł, a Platforma nawet nie myśli o żadnym kompromisie. W sumie nie

🔊
*Szymon Hołownia
(wciąż krzyczy
na wyborców, do
tego stroi dziwne
miny) na razie nie
rezygnuje z walki.
„Nawet gdybyśmy
się my, demokratyczni
kandydaci, wycofali, to
zostanie pan Duda z panem
Jakubiakiem. Oni nam ten
numer uniemożliwili panem
Jakubiakiem. Ja się nie
zamierzam poddać, żeby to było
jasne”. Markowi Jakubiakowi
należy się od PiS zaproszenie
na piwo.*

wygląda to dobrze, i to nie z winy liderów PiS. Kto tu nie mówi całej prawdy.

🔊 Dlaczego Jarosław Gowin bawi się zapalkami w tak szczególnej chwili? Prof. Andrzej Zybortowicz: „W biznesie mówi się, że jak nie chodzi o pieniądze, to chodzi o ego”. Dodaje, że „ostatnie posunięcia Gowina mogą wskazywać na to, że próbuje się rozepchnąć w przestrzeni dobrej zmiany”. Oby tylko to. Bo raczej chyba nie.

🔊 Po rozmowach z Gowinem głos zabrał Borys Budka. „Myślę, że on sam nie wie, ilu posłów zostało mu po wolicie pani Emilewicz i tych, którzy na siłę chcą być w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. Twierdzi, że ma wystarczającą liczbę posłów do tego, aby wspólnie z nami odrzucić głosowanie korespondencyjne”. To ważne pytanie: ilu posłów ma Gowin? Formalnie 18, ale praktycznie 6–7 w najbardziej optymistycznym scenariuszu. Rząd będzie wisiał na włosku.

🔊 W sondażu ośrodka Kantar Małgorzata Kidawa-Błońska została wyprzedzona nie tylko przez Kosiniaka-Kamysza, lecz i przez Hołownię, i zanotowała poparcie na poziomie 4 proc. I to jest istota sprawy. „PO ma problem. Ale trudno, żebyśmy przesuwali konstytucyjnie wyznaczony termin wyborów tylko dlatego, że kandydatka Platformy sobie nie radzi. Przewodniczący PO chce dokonać wymiany kandydata. To jest mało poważne” – oceniła sytuację Beata Szydło. W grze PO chodzi tylko i wyłącznie o ucieczkę od klęski.

🔊 „Posłowie PiS mówią politykom opozycji, że Jarosław Kaczyński rozważa wprowadzenie stanu wyjątkowego, jeśli opozycji uda się zablokować majowy termin wyborów. Właśnie stanu wyjątkowego, a nie klęski żywiołowej. A to dlatego, że opozycja ponoć sprowokowała »kryzys konstytucyjny«” – informuje „Gazeta Wyborcza”. Pomysł bardzo, bardzo ciekawy. Nawet atrakcyjny.

🔊 Roman Giertych ogłosił plan dla opozycji. Punkt 5. głosi: „W przypadku ogłoszenia zwycięstwa Andrzeja Dudy wspólne zaskarżenie wyników do SN”, a punkt 6. „W przypadku wygrania wyborów przez któregoś z kandydatów opozycji wspólne uznanie tych wyników za wiążące”. Bardzo kreatywne ujęcie. Co jednak, jeśli zastosuje je nie tylko opozycja?

🔊 Ludwik Dorn ma z kolei teorię. „Głosowanie korespondencyjne ma według mnie drugie dno. Ma dać możliwość PiS sfalszowania wyborów”. Na pytanie, po co fałszować wygrane wybory, nie odpowiedział. Jedna uwaga Dorna jest jednak słuszna: „Szalenie trudno będzie, wręcz niemożliwe, ustrojowej stworzonej

przez PiS, podważyć te wybory”. Tak, to być może ostatnie ruchy w tej wielkiej partii szachów.

🔊 **Rafał Trzaskowski** próbuje straszyć Polaków niebezpiecznymi wyborami korespondencyjnymi. „Będą zainfekowane koperty, które prawdopodobnie nie dotrą do wszystkich, a liczyć głosy będą prawdopodobnie notabla PiS-owscy”. Odpowiedział mu Sebastian Kaleta, zadając pytanie: „Ile pism, zaświadczeń i decyzji w ciągu ostatniego miesiąca wysłał lub wydał ratusz i urzędy dzielnic?”. Odpowiedzi brak, ale w tej wymianie zdań zmieściła się cała tandeta akcji opozycji. Bo przecież wiemy, co by robili i mówili, gdyby w sondażach prowadziła Kidawa-Błońska.

🔊 „Wyborcza” histeryzuje, że nad Sądem Najwyższym powiewa biała flaga. „Droży sędziowie, nie poddaje się walki minutę przed gwizdkiem. Ludziom, którzy w obronie Waszej niezawisłości wychodzili na ulice, jesteście winni walkę do końca!” – apeluje Jarosław Kurski. Skoro takie apele są potrzebne, to znaczy, że nawet sędziowie SN mają dość naganiaczy z Czerskiej. I może z nadzieją czekają dnia, kiedy „GW” zajmie się czymś innym.

🔊 **Adam Michnik**: „Ponure widma dwóch pandemii krążą nad Polską. Wirusa, który zatruwa płuca, i PiS, który zatruwa umysły i serca Polaków. Te dwa widma zawarły szatański sojusz, by przekształcić demokratyczną Rzeczpospolitą w dyktaturę, gdzie człowiek będzie własnością państwa, gdzie będzie jedna partia, jedna władza, jeden wódz”. I pomyśleć, że piszą te wszystkie bzdury, bo Kaczyński jest lepszym politykiem niż ktokolwiek z ich stajni. A dyktatura to była za PO.

🔊 **Prof. Krystyna Pawłowicz** tak oto uzasadniła korzystną dla rządu i prezydenta decyzję w sprawie sporów kompetencyjnych: „Sąd Najwyższy zignorował swój pierwszorzędny, konstytucyjny obowiązek wierności Rzeczypospolitej i obowiązek podlegania konstytucji”. A także: „SN swą uchwałą zignorował fakt, że sędziowie w RP wydają wyroki jako polscy sędziowie w imieniu RP i z jej symbolem na piersi, tj. z wizerunkiem polskiego orła, a nie jako sędziowie unijni oznaczeni emblematami UE”. Ważne. Dokładnie tak to oceni historia. Oczywiście jeśli jej pomożemy.

🔊 Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie liczy 29 tys. lekarzy. Ilu z nich odpowiedziało na apel wojewody mazowieckiego i zgłosiło gotowość do pomocy w innych placówkach medycznych, w których występuje szczególna sytuacja, by walczyć z koronawirusem? Zdaniem prezesa Izby „na dziś wiemy o czterech takich lekarzach”. Aha. 



My, stacje Tusk Vision Network oraz Tusk Vision Network 24, z ubolewaniem i politowaniem przyjmując próby wykreowania naszych wizerunków jako zupełnie nieprzystających do naszego wizerunku w naszych apolitycznych i niezależnych oczach, informujemy, że całkowicie odcinamy się od przykładów podawanych przez media, a mających podważyć nasze dobre imię. Jednocześnie, uprzedzając ewentualne ataki po twarzy, a potwarze szczególnie, oświadczamy, iż nigdy, ale to przenigdy:

Nie powielaliśmy fake newsów ani kłamstw po Smoleńsku. Nie informowaliśmy, że jest taśma z nagraniem klótni kpt. Protasiuka z gen. Błasikiem. Nie twierdziliśmy, że „kilkadziesiąt sekund przed katastrofą prezydenckiego Tu-154 pod Smoleńskiem kpt. Protasiuk powiedział: »Jak nie wyląduję, to mnie zabije«”. To nie w naszej stacji Edmund Klich twierdził, iż gen. Błasik był w kokpicie tupolewa w ostatnich minutach lotu, choć głos w kokpicie należał do drugiego pilota, mjr. Grzywiny.

To nie do naszej stacji zapraszany był częściej niż gdzie indziej polityk Palikot, znany z serii morderczych żartów z ofiar tragedii, a także gumowego penisa i lba świni. To nie nasza gwiazda Monika Olejnik uwielbiała go mieć przy sobie i to nie ona wprowadziła do polskich mediów skrajnie odmienny sposób traktowania gościa z partii zaprzyjaźnionej i niezaprzyjaźnionej. To nie na naszej antenie Katarzyna Kolenda-Zaleska kłamała, że Kaczyński mówił na Krakowskim Przedmieściu o „prawdziwych Polakach”. I to nie w naszej stacji słowa, które nigdy nie padły, posłużyły red. Kolendzie-Zaleskiej do napuszczenia na Kaczyńskiego prof. Głowińskiego, który natychmiast dostał ataku hysterii pod hasłem „Niemcy, lata 30.!”.

To nie naszej stacji gwiazdą pozostaje Kuba Wojewódzki, autor ksenofobicznych słów o Ukrainkach i ochocie na ich gwałcenie, także o ludziach o innym kolorze skóry, których publicznie nazywał „buszmenami”. I to nie w naszej stacji nawoływał on do głosowania na określonego kandydata w wyborach prezydenckich. To nie z naszej stacji usunięto Szymona Majewskiego, gdy próbował żartować nie tylko z PiS, ale też z PO. To nie u nas, w telewizji nadającej całą dobę całą prawdę oraz wszystkie prawdy ks. Józefa Tischnera, prowadzący Krzysztof Daukszewicz po zabójstwie Marka Rosiaka z Łodzi pytał z oburzeniem: „Jak można mówić o poderżnięciu gardła, skoro ono zostało jedynie przecięte!?”.

To nie nasz ekspert od Watykanu (!) Jacek Pałasiński mówił, że lider PiS jest chory psychicznie, a Hanna Gronkiewicz-Waltz to „najlepsza burmistrz w dziejach Warszawy”. To nie naszą stację Andrzej Wajda nazywał

Całą dobę



KRZYSZTOF FEUSETTE

przyjaciółmi Komitetu Honorowego Bronisława Komorowskiego.

Nie było u nas nigdy kogoś o nazwisku Durczok, nigdy nikt taki nie był kierownikiem naszego flagowego serwisu informacyjnego. Nie było oskarżeń tej osoby o molestowanie koleżanek w pracy, nie było zjawiska tzw. omerty, czyli zмовы milczenia, nie można zatem mówić o głębokim rozdźwięku między naszą oficjalną linią programową a sytuacją, w której kobiety u nas zatrudnione bały się powiadomić kierownictwo stacji o przypadkach rażącego naruszenia ich godności, być może także nietykalności cielesnej. Nie sposób także łączyć z nami tego, co stało się z panem Durczokiem w jego życiu po „Faktach” na skutek jego zamiłowania do uży-

wiek oraz jazdy na podwójnym gazie. To nie my podkładaliśmy butelki po piwie w śmietniku, do którego swoje śmieci wrzucali policjanci pilnujący bezpieczeństwa na Światowych Dniach Młodzieży. To nie nasz operator kamery udawał nazistę i hajlował na potrzeby reportażu śledczego o polskich czcicielach Hitlera. Bo przecież nigdy nie było naszym celem utrwalanie za granicą podłego wizerunku naszego kraju jako kolebki odradzającego się faszyzmu. Nigdy nie promowaliśmy także widowiska kabaretowego Pożar w Burdelu, podczas którego obrażano Jana Pawła II, a Polskę nazywano „zdzirą”. Nigdy nie na-

zywaliśmy tego widowiska wydarzeniem artystycznym, nigdy nie pokazaliśmy go na antenie.

To nie o naszej stacji parlamentarzystka PO mówiła podczas obrad komisji sejmowej, że „trzeba się zastanowić, jak zwiększyć widownię TVN-u”. Bo to nie my przecież podawaliśmy fałszywą informację, że prezes Trybunału Konstytucyjnego i jej mąż, ambasador RP w Niemczech, byli „prowadzeni wywiadowczo” przez sędziego TK Mariusza Muszyńskiego. Nasze „Fakty” nigdy nie sugerowały, że 37-letnia przedszkolanka, która zmarła na koronawirusa w Poznaniu, była ofiarą niekompetencji lekarzy i – oczywiście – podaliśmy informację, iż ukryła przed nimi fakt niedawnego powrotu z Włoch. Nie twierdziliśmy też, ustami redaktor Pochanke i etyczki Środy, że projekt ustawy antyaborcyjnej jest „dowodem na autorytaryzm władzy”, bo wiemy doskonale, że to projekt obywatelski. I tak dalej.

Oświadczamy, że nie robiliśmy, nie mówiliśmy i nie pokazaliśmy tego wszystkiego, gdyż – jak zapewniamy własną czią, honorem i ustami prowadzącego „Fakty”: „Rola dziennikarza jest uczciwa praca na rzecz widzów, a nie partii politycznej”. A ponadto: „My nie pracujemy dla polityków”. I to całą dobę.

I po brawach

Choć mogę robić zakupy bez kolejki, wolę się nie przyznawać, że jestem pracownikiem służby zdrowia. Boję się, że wyrzucą mnie ze sklepu – mówi moja koleżanka pielęgniarka

Calkiem niedawno, bo 7 kwietnia, przetoczyła się przez Polskę piękna akcja #BrawaDlaWas. Akcję zainicjowały media, a polegała na tym, by z okazji Światowego Dnia Zdrowia punktualnie o 13 stanąć w oknie lub na balkonie i przez minutę brawami podziękować personelowi medycznemu za oddanie i opiekę. Polacy chętnie wzięli w akcję udział, co pokazały wszystkie serwisy informacyjne. Brawa wyrażały uznanie dla wszystkich: dla lekarzy, ratowników medycznych, pielęgniarek, salowych, laborantów oraz innych osób pracujących w tych trudnych czasach w ochronie zdrowia. Wszystko w podziękowaniu za poświęcenie i codzienną walkę z epidemią koronawirusa. Wygląda jednak na to, że brawa to już pieśń przeszłości, wdzięczność zastąpiła zaś niechęć. Medycy coraz częściej są traktowani – jak w czasach kiedy szalała dżuma – jako osoby wzbudzające lęk.

– Brawa się skończyły. Choć mogę robić zakupy bez kolejki, wolę się nie przyznawać, że jestem pracownikiem ochrony zdrowia. Boję się, że wyrzucą mnie ze sklepu. Podobnie do zawodu przestali się przyznawać moi koledzy lekarze – relacjonuje moja koleżanka, która jest pielęgniarką, a ja ze zdziwienia otwieram oczy.

Niestety wygląda na to, że dzisiaj niewiele zostało z krótkotrwałego narodowego entuzjazmu, jakim było publiczne wyrażanie wdzięczności pracownikom medycznym. – Sama widziałam, jak stojący na ulicy panowie pokazywali środkowy palec przejeżdżającej obok karetce – relacjonuje moja znajoma pielęgniarka.

Tego typu relacji w mediach społecznościowych jest więcej. Przykłady niechęci wobec personelu medycznego przytacza na swoim facebookowym profilu Pielęgniarka na Obcasach:

„Jakaś piekarnia/cukiernia – dla swojego bezpieczeństwa – nie chciała NAS obsługiwać. Duży znany dyskont na literę L zrobił sobie z NAS reklamę – pierwszeństwo w supermarkecie. Oczywiście obłudne. Lokatorzy jednej z kamienic kazali się wyprowadzić pracującej w szpitalu osobie, a kiedy tego nie zrobiła, zdewastowali jej drzwi do mieszkania. Ludzie plują jadłem, kiedy odbieramy telefon w poradniach/przychodniach i informujemy ich o przełożeniu wizyty lub zabiegu. Prywatni pracodawcy – chcąc

wykorzystać sytuację pandemii – łamią nasze prawa, obniżając pensję, oddelegowując do pracy gdzieś indziej lub w dwóch miejscach jednocześnie. Coraz więcej jest komentarzy, że to pracownicy ochrony zdrowia są odpowiedzialni za przenoszenie wirusa wśród społeczeństwa. A i najlepsze (to już od wyższej góry) – po co pracownikom wykonywać testy na COVID-19. Przecież my nie musimy się martwić. Nie mamy najbliższych, których moglibyśmy zarazić. Taki sobie zawód wybraлиśmy! Z powołania, a co!” – relacjonuje Pielęgniarka na Obcasach.

A tak swoje doświadczenia opisywała znajoma położna. Relację ilustrowało zdjęcie śpiących na sobie położnych: „Godzina 6:45, kończy się dwunasta godzina bardzo, bardzo cięż-

kiego dyżuru... Zasnęłyśmy na dyżurze! Zamknęłyśmy oko na całe pięć minut, by potem nie zasnąć za kierownicą w drodze do domu. 7:50 wstałam do jednego z dyskontów, w ręku z przepustką dla osób medycznych, dzięki której mamy teraz pierwszeństwo w niektórych sklepach. Na parkingu przed wejściem ok. 40 osób. Mam odwagę pracować na jednej z największych porodówek w Polsce, ale nie miałam odwagi pokazać przepustki tym ludziom i klócić się, że przecież mi się należy. Zahaczając raz o krawężnik, wróciłam do domu, wstałam o 15:30”.

To zresztą nie pierwszy raz, gdy przez krótką chwilę odczuwamy narodową jedność. Tak było np. 15 lat temu po śmierci papieża Polaka, św. Jana Pawła II. Duch wspólnoty unosił się nad Polską. Aż opadł. Tak

było też 10 lat temu, po katastrofie smoleńskiej. Narodowa jedność trwała kilka dni, aż rozbiła się o pochówek prezydenckiej pary na Wawelu. Tak jest i teraz, przy okazji epidemii koronawirusa. Zjednoczyliśmy się w chęci pomocy osobom starszym, szpitalom, osobom samotnym czy właśnie w uznaniu dla służb medycznych. Ale powoli i ten czar zaczyna pryskać. Z powodu terminu wyborów, braku zgody co do podjętych środków walki z epidemią, z powodu szerzących się licznych teorii spiskowych i wyrastających jak grzyby po deszczu ekspertów, którzy wiedzą, co można było zrobić lepiej. Szkoda, że nasze polskie chwile jedności są takie ulotne. Ale jedno wciąż nas chyba łączy: chcemy wrócić do czegoś na kształt normalności. Jakoś, kiedyś.

Dorota Łosiewicz



Czechy

Cyberwojna o symbole

W ostatnim czasie w Czechach doszło do zmasowanych ataków hakerskich na serwery tamtejszego ministerstwa zdrowia, Lotniska im. Václava Havla w Pradze oraz wielu szpitali, m.in. w Brnie, Ostrawie, Olomuńcu i Pardubicach. Dziennik „Lidové Noviny” opublikował wypowiedzi funkcjonariusza cyberpolicji oraz jednego z członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego Republiki Czeskiej, którzy stwierdzili,



Pomnik Iwana Koniewa w Pradze

że za wspomnianymi atakami stoi Moskwa. W odpowiedzi ambasada Rosji w Pradze wydała oświadczenie, w którym nazwała doniesienia gazety „kolejnymi fake newsami” mającymi na celu „stworzenie wrogiego obrazu naszego państwa, przede wszystkim wśród miejscowej społeczności”.

Rząd czeski dostał wsparcie od władz USA. Sekretarz stanu Mike Pompeo powiedział: „W czasie gdy świat walczy z pandemią, złośliwa cyberdziałalność, szkodząca szpitalom oraz systemowi ochrony zdrowia, niesie z sobą śmiertelne niebezpieczeństwo”. Dodał, że wszyscy odpowiedzialni za takie ataki będą ścigani i pociągani do odpowiedzialności.

Komentatorzy nad Woltawą nie mają wątpliwości, że ich kraj stał się obiektem hakerskich cyberataków z powodu narastającego konfliktu między

Czechami a Rosją. Nasilił się on 3 kwietnia, po demontażu pomnika marszałka Iwana Koniewa w Pradze. Odpowiadając na protesty rosyjskiej ambasady, burmistrz szóstej dzielnicy Pragi Ondřej Kolář napisał ironicznie, że Koniew „nie miał maseczki. Zasady obowiązują wszystkich. Na zewnątrz można być tylko z maseczką albo z innym zakryciem ust i nosa”.

Moskwę rozwścieczyła też decyzja czeskich władz o przemianowaniu adresu, przy którym mieści się rosyjska ambasada w Pradze. Od 24 lutego znajduje się ona już nie przy placu Pod Kasztanami, lecz przy placu Borysa Niemcowa, przemianowanemu tak na cześć polityka rosyjskiej opozycji, który został zamordowany w 2015 r. w Moskwie.

W rosyjskich mediach postępowanie Czechów wywołało furję. Rozległy się głosy, że autorytet Rosji upadł całkowicie, skoro tak mała nacja może bezkarnie grać na nosie wielkiemu imperium. Wzywano, by dać złośliwym Pepikom nauczkę. Ioczywiście te „apele” zostały wysłuchane.

Grzegorz Górny

Rosja

Niespokojnie na Kaukazie

W e Władykaukazie, stolicy Osetii Północnej, ludzie wyszli na ulice protestować przeciw wprowadzonym przez władze ograniczeniom w związku z pandemią COVID-19. Około 2 tys. demonstrantów chciało wykrzyczeć przed siedzibą lokalnej administracji, że nie wierzą w żadną epidemię, a wprowadzone ograniczenia są „spiskiem” obliczonym na to, aby pognębić zwykłych ludzi. Przekonanie o tym, że restrykcje są pretekstem do podnoszenia cen przez największe firmy, jest w Federacji Rosyjskiej dość powszechne, jednak na północnym Kaukazie może to doprowadzić do wybuchu społecznego niezadowolenia.

Podobne emocje dało się zauważyć kilka dni wcześniej w sąsiedniej Inguszetii, która już w ubiegłym roku stała się areną protestów. Patrol policji drogowej próbował zatrzymać ewidentnie pijanego kierowcę, jednak ludzie odebrali tę interwencję jako próbę ukarania za naruszenie kwarantanny. Rozpoczęła się awantura z udziałem kilkudziesięciu osób, a policjanci zostali zmuszeni do użycia broni maszynowej.

Tego samego dnia, kiedy we Władykaukazie ludzie wyszli na ulice, w Czeczenii rozpoczęły się niespodziewane manewry wojskowe, o których nikt wcześniej nie był informowany. Ich

charakter tym bardziej zdziwił mieszkańców, że wojska federalne zostały rozmieszczone nie w oddali od siedzib ludzkich, jak to bywało w przeszłości, ale niemal we wsi, a posterunki wprost na drogach.

Nastroje w muzułmańskich republikach północnego Kaukazu zaczynają zmierzać w złym kierunku. Są to obszary w największym stopniu uzależnione od transferów finansowych z Moskwy, w których bezrobocie, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn, jest najwyższe. Zamknięcie małych restauracji i sklepów pozbawiło wielu mieszkańców tych terenów środków do życia, a pomoc federalna nie dochodzi. Zresztą Rosja, odmiennie niż większość krajów europejskich, nie wprowadziła subsydiowania wynagrodzeń pracowników, przerzucając ten ciężar na barki pracodawców, którzy nie mają na to wystarczających środków.

Jak uważa Ildar Safargajew z Instytutu Krajów WNP, na te wszystkie problemy nakłada się ryzyko radykalizacji młodzieży w związku z zamknięciem meczetów i szkół muzułmańskich. W jego opinii zamknięcie meczetów zablokuje działalność lojalnie nastawionych duchownych, których zastąpią islamskie portale edukacyjne zdominowane przez radykalne nurty wahabickie. Ponadto na początku roku miejscowe duchowieństwo głosiło, iż pandemia jest karą boską spowodowaną przez Chiny za prześladowanie muzułmanów w prowincji Sinciang i teraz te twierdzenia, wraz z narastającą liczbą infekcji w regionie, mogą obrócić się przeciw władzom.

Marek Budzisz

Cień klanu

USA 

Podpisałem zarządzenie, aby pozwolić mieszkańcom na publiczne noszenie maseczek w celu ograniczenia rozprzestrzeniania się COVID-19” – oświadczył gubernator stanu Georgia Brian Kemp.

To, wydawałoby się, zwykłe zarządzenie ma jednak nieoczekiwane konsekwencje. W Georgii obowiązywało bowiem wprowadzone w 1951 r. prawo zakazujące noszenia w miejscach publicznych masek, kapturów albo innych zasłon zakrywających twarz. Działający po dziś dzień zakaz miał utrudnić działalność członkom Ku Klux Klanu. Teraz, gdy restrykcja przestała obowiązywać, gdzieś tam pojawiły się głosy, że może to doprowadzić do odrodzenia Ku Klux Klanu.

Jednak ta założona w 1865 r. rasistowska organizacja jest dziś jedynie cieniem swojej dawnej potęgi. W tej chwili istnieje ponad 40 różnych klanów w 22 stanach USA, które skupiają około 3 tys. członków. Działają głównie na południu oraz na Środkowym Zachodzie. Nie słychać o prześladowaniu, biciu i wieszaniu na drzewach Afroamerykanów, co było poważnym problemem w przedwojennej Ameryce. Współczesne klany mniej już walczą z Afroamerykanami, a bardziej z homoseksualistami i imigrantami. Wiele z nich współpracuje z międzynarodowymi organizacjami neonazistowskimi, a biały kaptur jest coraz częściej zamieniany na emblematy ze swastyką.

Co ciekawe, niektórzy liderzy klanów starają się sformalizować działalność, wyrzekając się wszelkiej, także werbalnej, przemocy. W tym celu zawierają niekonwencjonalne sojusze. Klan funkcjonuje dziś w przestrzeni publicznej dzięki wsparciu prawnemu założonej w 1920 r. Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich (ACLU), która walczy o przestrzeganie w USA pierwszej poprawki do konstytucji, gwarantującej każdemu wolność słowa. Dlatego klan może organizować marsze i parady, na takiej samej zasadzie, jak robią to komuniści oraz neonaziści.

Lewica próbuje niekiedy stworzyć wrażenie, że Donald Trump zabiega o poparcie klanu. Ale choć były lider Ku Klux Klanu David Duke publicznie chwalił Trumpa, ten w 2017 r. nazwał członków klanu „bandziorami”.

Na szczęście w Georgii nikt nie atakuje zarządzenia republikańskiego gubernatora. „Ludzie w ochronie przed wirusem używają tego, co mają w domu – w tym chust i szalików. Nie chcę, aby ktokolwiek źle interpretował używanie tych rzeczy” – podkreśliła senator stanu z Partii Demokratycznej Nikema Williams.

Lukasz Adamski

 Wielka Brytania

Kłopoty miliardera



Ekscentryczny miliarder Richard Branson, właściciel 51 proc. udziałów w liniach lotniczych Virgin Atlantic, znalazł się w ogniu krytyki po tym, jak zwrócił się do rządu w Londynie z prośbą o pomoc w ratowaniu jego biznesu. Tydzień temu z powodu kryzysu wywołanego pandemią upadła już należąca do jego imperium linia Virgin Australia, której pomocy odmówił rząd australijski. Miliarder zapewnia, że nie chodzi mu o przepomnienie do jego kieszeni pieniędzy podatników, lecz o pożyczkę 500 mln funtów pod zastaw należącej do niego 30-hektarowej wyspy Necker leżącej w archipelagu Brytyjskich Wysp Dziewiczych.

Właśnie ta luksusowa posiadłość Bransona stała się głównym źródłem kontrowersji. Miliarder, siódmy w rankingu najbogatszych Brytyjczyków z majątkiem szacowanym na 4,7 mld funtów, mieszka na wyspie od 14 lat i – co najbardziej istotne – nie płaci podatków w Wielkiej Brytanii. Dlatego też rząd odmówił mu pomocy, zalecając, aby 69-letni biznesmen poszukał sobie innych sposobów na zdobycie gotówki. W ten sposób delikatnie dano mu do zrozumienia, że ma wystarczająco dużo majątku, aby uratować swój biznes.

Największym oburzeniem na apel Bransona zareagowali deputowani opozycyjnej Partii Pracy. Miliarderowi wypomniano m.in., że należąca do niego firma Virgin Care zmusiła sądowo publiczną służbę zdrowia NHS do wypłaty wielomilionowego odszkodowania za straty poniesione podczas świadczenia usług zdrowotnych w hrabstwie Surrey. Laburzysta John McDonnell stwierdził, że niedopuszczalne jest, aby „bogaci miliarderzy doili system” w czasie kryzysu, a Diane Abbott dodała, że „Branson, który nie płaci podatku w Wielkiej Brytanii od 14 lat, pod żadnym pozorem nie powinien otrzymać pożyczki ani innej pomocy”.

Miliarder próbuje się bronić przed zarzutami, tłumacząc, że wcale nie ma tak dużo wolnej gotówki, bo jego majątek to przede wszystkim przedsiębiorstwa, których jest udziałowcem. Poza tym Branson ma potężnych sojuszników, którzy wywierają presję na brytyjski rząd. Szefowie Airbusa oraz produkującego silniki lotnicze koncernu Rolls-Royce ostrzegli już ministrów, że upadek linii Virgin Atlantic może pociągnąć w dół także ich przedsiębiorstwa. Również dyrektor firmy zarządzającej lotnictwem w Manchesterze obawia się negatywnych następstw bankructwa linii dla miasta i regionu.

Za to zwykli Brytyjczycy zachowują dystans. Na Twitterze drwią, że Branson powinien dostać teraz tyle pożyczki, ile wpłacił w podatkach do brytyjskiego budżetu.

Konrad Kołodziejski



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Życzenia z okazji moich urodzin!

Serdeczne życzenia dla Szanownych Czytelników z okazji moich urodzin! 83 lata przetrzymałem na tym padole śmiechu dzięki Wam, kochani. Bardzo Wam gratuluję! Ależ macie do mnie cierpliwość! Chylę przed Wami poradzone czoło w podziękę za poparcie w trudnych czasach.

W zasadzie czasów łatwych nie zaznałem. Moje szczęście polega na tym, że Was spotykałem, przemierzając przez liczne pułapki i zapory. Wasza obecność jako widzów, czytelników, sprawiała, że żyło mi się i pracowało z radością. Od pierwszych spotkań z publicznością w klubie studenckim Hybrydy mija w tym roku 60 lat. Początkowo z niepełną świadomością, dopiero pod Egidą, bardziej czując wagę tego, co robię, spotykałem się z Wami w bardzo ważnym celu. Ustalaliśmy kod kulturowy, którym chcemy się porozumieć poza językiem panującej władzy ludowej, prymitywnym, fałszywym, nachalnym. A przecież język to zaledwie sposób porozumiewania. Za nim kryje się meritum, kłębią się myśli, uczucia, etyka z estetyką, prawda, złość, radość, Polska... I o tym wszystkim rozprawiałem z Wami, drodzy Państwo, kiedy się dało.



Jan
Pietrzak

Najczęściej w niewielkiej piwnicznej kubaturze albo na zagraconym pięterku... Zawsze wsłuchując się uważnie w Wasze opinie wyrażane śmiechem, wzruszeniem, owacją bądź milczeniem. Dzięki impulsom płynącym od Was dowiadywałem się, co śmiechu warto, a co wzruszenia ramion. Gratuluję Wam, że w trudnych sytuacjach potraficie wskazać mi właściwy kierunek. Jesteście niesamowicie zróżnicowani, ni z juszki, ni z pietruszki, prawdę mówiąc. A jednak jesteście potężną wspólnotą.

Pokoleniowo patrząc, widzę na widowni żołnierzy Legionów, blisko stuletniego prof. Władysława Tatarkiewicza, wiekowego Melchiora Wańkowicza... Nie ma tu miejsca na listę pokoleń mojej publiczności, bo „imię jej miljon”.

Szczególnie serdecznie myślę o redaktorach, którzy zapraszały mnie na łamy, kiedy tępe dranie kasowały kabaret, zamykali mi gębę. Andrzej Gelberg, Piotr Wierzbicki, Bolesław Wierzbiański, Tomasz Domalewski, Michał i Jacek Karnowscy... Mieliście szczęście, ale ja przede wszystkim. Dziękuję.

Następne urodziny, już po zarazie, będą bardzo huczne!

Klucz do bezkrólewia

Z aktorem **Marcinem Kwaśnym**

rozmawia **Jolanta Gajda-Zadzworna**

Nielatwo się z panem skontaktować. Podobno pan reżyseruje. Nie został pan w domu?

Marcin Kwaśny: Można dziś reżyserować i z domu, łącząc się poprzez Skype'a lub Messengera. W taki właśnie sposób zacząłem niedawno próby do adaptacji „Sonaty Kreutzerowskiej” Tolstoja. Główną rolę będzie grał Artur Bocheński. Mieliśmy przygotować ten monodram dla Instytutu Teatralnego, ale dziś realizujemy go do internetu. Zgłosiliśmy projekt do konkursu „Kultura w sieci” ogłoszonego przez ministra kultury. Liczymy na wsparcie, by już w czerwcu trafić do widzów.

Tymczasem w ostatni poniedziałek kwietnia zobaczymy pana w premierze Teatru Telewizji?

Rzutem na taśmę udało się zrealizować ten spektakl. Tuż przed kryzysem wywoła-



nym pandemią. Kolaudacja „Bezkrólewia” odbyła się zdalnie.

To prapremiera?

Tak i zarazem reżyserski debiut w Teatrze Telewizji Jerzego Machowskiego. Autorem tej niezwykle aktualnej, choć napisanej w 2011 r., tragikomedii politycznej, jest Wojciech Tomczyk. „Bezkrólewie” jest tekstem z kluczem, który wciąż pasuje. Mimo zmieniających się realiów. Oto trzech skompromitowanych polityków ucieka z kraju po zabójstwie króla. Każdy z nich widzi jedynie własną korzyść i walczy o nią różnymi metodami. Dochodzi do konfrontacji. Nie tylko między nimi, ale też zwykłymi ludźmi, u których znajdują schronienie. Co wyniknie z tego spotkania, ze zderzenia makiawelicznej gry i codzienności, możemy się przekonać 27 kwietnia o godz. 21 w TVP1. Warto.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Konstytucja!

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który uznaje styczniową uchwałę Sądu Najwyższego za niezgodną z konstytucją i międzynarodowymi aktami prawnymi, powinien zakończyć sprawę. Powinien, ale obserwując establishment III RP, który odsunięty od władzy politycznej wszelkimi metodami walczy o jej odzyskanie, można mieć pewność, że próbował on będzie uchwały bronić. Wprawdzie na sztandarach i koszulkach przedstawiciele opozycji totalnej noszą „konstytucję”, ale traktują ją absolutnie instrumentalnie i nie tylko naginają, lecz także łamią, kiedy im to tylko dogodnie. Były prezes TK Andrzej Rzepliński na pytanie, czy uliczny protest w togach zgodny jest z prawem, odpowiedział, że „jest zgodny z potrzebą”. I tak zgodnie z potrzebami traktowane jest prawo przez rzeczników III RP.

Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego obecny rząd, który faktycznie od pięciu lat generalnie broni konstytucji, nie eksponuje tego faktu i nie nadaje mu bardziej wyrazistego wymiaru?

W wypadku swojej kuriozalnej uchwały SN twierdzi, że nie jest to akt normatywny. Po prostu w ramach „nadzoru nad działalnością sądów” (bo takie są jego konstytucyjne prerogatywy) ewentualnie „zapewnienia w ramach nadzoru zgodności z prawem oraz jednolitości orzecznictwa sądów” (to z kolei ustawa) uznał, że sądy, w których zasiadają sędziowie powołani przez ustawę z 2017 r., „są nienależycie obsadzone”. W konsekwencji wyroki wydane przez nie są nieważne, a więc, przekładając to na zwykły język, powołani ostatnio sędziowie sędziami nie są. Wynika z tego, że SN może uznać za nieważną prawomocną ustawę parlamentu, może faktycznie odwołać sędziów, którzy się mu nie podobają, i nikt nie ma prawa korygować takich działań. W ten sposób aktem „nienormatywnym” SN przyznał sobie prerogatywę do uchylania każdego aktu normatywnego. Sędziowie mogą nie uwzględnić ustawy, która się im nie podoba, a SN w ramach zapewniania „jednolitości orzecznictwa” może przyznać im rację. Ustawodawcza rola parlamentu zależy od uznania SN.

W tym wypadku uznał on, że sędziowie powołani przez demokratycznie wybraną władzę nie gwarantują bezstronności. Jako wątpliwości tych nie miał w stosunku do sędziów powołanych przez władzę PRL, któremu praworządność trudno było zarzucić. No, ale między PRL a III RP nie było żadnej cezury prawnej, gdyż trudno za taką uznać nawet konstytucję z 1997 r. skonstruowaną głównie przez byłych członków nomenklatury, z których jeden, już jako prezydent nowego państwa, oficjalnie ją podpisywał. A zwycięstwo PiS w wyborach uznane zostało za naruszenie demokracji. Bezpośrednio po nim, kiedy nowy rząd nie zdążył jeszcze niczego zrobić, powołany został przecież Komitet Obrony Demokracji.

Establishment III RP ma rację. Liberalna demokracja określa, komu rządzić wolno, i jeśli nawet obywatelom zdarzy



się wybrać kogo innego, to sędziowska oligarchia ma unieвозмоwić mu realizację swoich prerogatyw. Konsekwentnie robił to TK wobec PiS w latach 2005–2007.

Łukasz Warzecha napisał, że tęskni za tamtym Trybunałem. Ma prawo do swoich sentymentów, choć źle jeśli zastępują mu myślenie. Kiedy pisze, że dawny TK był lepszy, gdyż reprezentował środowisko, czyli wielu, a obecny – jednego, czyli Kaczyńskiego, to, przyjmując nawet jego nieprawdziwy opis rzeczywistości, demonstruje – bądźmy wyrozumiali – paralogizm. Pozycja lidera PiS jest bardzo mocna, ale nie jest to nic niezwykłego w demokracji. Nie mniejsze znaczenie w PO miał Donald Tusk, zanim nie przehandlował go na apanaże w Brukseli. Kaczyński jest liderem demokratycznej partii, która nie musi być wybierana przez obywateli. Nie o jednostkę więc chodzi, ale o konflikt między demokracją a establishmentem sędziowskim, owymi mułami Zachodu, o których pisał, przywoływany przez Warzechę, Antoni Scalia. Wstrzebieżliwość TK za czasów Julii Przyłębskiej jest optymalną barierą przed uroszczeniami sędziowskiej oligarchii, którą w całej krasie prezentuje SN pod wodzą Małgorzaty Gersdorf.

Swoją drogą, to jak ostentacyjnie piórem swojego realnego szefa, Jarosława Kurskiego, „GW” szczerze ten trybunał na demokratyczne władze i nawołuje do rokoshu, pokazuje raz jeszcze, jak obrońcy III RP traktują prawo. Nowy prezes Sądu Najwyższego, którego zgodnie z prawem nazaczy prezydent określany jest już jako „komisarz”, a sędziowie wzywani są do nieposłuszeństwa wobec niego. Fakt, że Gersdorf tłumaczy się przed „Wyborczą”, a także przed stowarzyszeniem Iustitia – warto przypomnieć, że stowarzyszenia sędziowskie powołane zostały do obrony spraw bytowych sędziów i nikt nie dał im upoważnienia do ich reprezentowania – wyjaśniając, że jednak nie można zupełnie dowolnie łamać prawa, też daje do myślenia.

Fot. Andrzej Wiktor

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY Moniki Rogozińskiej PRZED KORONAWIRUSEM



Spotkanie na Thierbergu

Noc. Wspinaliśmy się stromym, oblodzonym skalnym zboczem w lesie. Syn prowadził w poświacie pochodni. Gdy się oddalał, światło latarki na czapce ledwo wydobywało z ciemności korzenie, wykroty, zakręty ścieżki. Mgła robiła się coraz bardziej lepka. Pożerała widok. Moje zmęczenie walczyło z ciekawością. Nie wiedziałam, dokąd idę. Poprzedniej nocy przylecieliśmy z Warszawy i wynajętym na lotnisku samochodem dotarliśmy nad granicę Niemiec i Austrii. Rano Łukasz pogonił mnie na solidny alpejski spacer. Nocą nakazał marsz niespodziankę.

Doszliliśmy na szczyt. Ze skraju urwiska mieliśmy oglądać spektakl sztucznych ogni w dolinie rzeki Inn. Gęsta, zimna mgła pozwalała zobaczyć zaledwie metry terenu wokół nas. Tłumione przez nią odgłosy fajerwerków ogłosiły północ. Przed nami była przepaść. Z prawej strony światło pochodni wydobyło fragment ruin średniowiecznego zamku. Z lewej wysoki mur pustelni – ostatniej w Tyrolu. Mieszkał w niej człowiek.

Poszliśmy wzdłuż muru. Łód pod nogami, kamienne schody, ciemność. Nagle pojawił się świat! Nasza obecność uruchomiła oświetlenie. Staliśmy na zamkowym dziedzińcu. Wzrok przyciągały dwa drewniane krzyże i krucyfiks na ścianie. Kalwaria. Nacisnęłam klamkę masywnych drzwi obramowanych portalem. Otworzyły się. Kuta ozdobna kratka oddzielała kruchtę od wnętrza kaplicy. Delikatne światelka choinki i świec wydobywały z mroku barokowe ołtarze. Czerwona lampka wskazywała, że tabernakulum nie jest puste, że nie jestem tu sama... Uklękłam. Mijały przepiękne pierwsze minuty Nowego Roku 2020...

– Przecież tu wiedzie wygodna droga. Dlaczego nią nie poszliśmy? – zapytałam syna.

– Żeby było ciekawiej – odpowiedział z uśmiechem.

I było. Zsuwaliśmy się sylwestrową nocą po oblodzonym stoku tą samą ścieżką na parking u stóp Thierbergu.

Dachstein i krzyże

Dzień. Staliśmy dwa kilometry wyżej. Znowu przy krzyżu. Ptaki tańczyły nad granią na mroźnym wietrze. Masyw Dachstein w Austrii wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Na najwyższym jego szczycie (2995 m) jest metalowy krzyż. Drugi – drewniany, znajduje się poniżej na przełęczy, obok schroniska.

Na szczytach i przełęczach Alp ludzie od dawien dawna umieszczali krzyże, budowali kaplice. Kiedy na nie patrzę, zastanawiam się, skąd się bierze u niektórych moich rodaków chęć walki z krzyżem w przestrzeni publicznej – także z tym wiszącym w Sejmie, zrobionym z hebanu ołtarza na Jasnej Górze. Napędza ich agresję niewiedza czy ktoś znacznie dla nich groźniejszy?

Krzyż – znak miłości, poświęcenia aż do ofiary z własnego życia, symbol pomocy, służb medycznych, humanitarnych, ratowników górskich. Że też może wywoływać tyle nienawiści... Kiedyś odbyłam podróż do piekła. W Andach odwiedzałam w więzieniach rodaków oskarżonych o przemyt



Osobliwość



**Dominik
Zdort**

Niektórzy są mądrzejsi. Przy najmniej oni sami tak uważają. W czasach, kiedy wiele krajów Zachodu budowało kapitalizm, ograniczało kompetencje władz w dziedzinie gospodarki, stawiało na rozwój prywatnej przedsiębiorczości, były takie demokratyczne państwa, które kapitalizm delikatnie rozmontowały. Ich rządy monstrualnie podniosły podatki i za zabrane ciężko pracującym obywatelom pieniądze zapewniły mniej ciężko pracującym (albo w ogóle niechęcącym pracować) wypasioną pomoc socjalną.

Pod hasłem realizacji swojego narodowego sposobu życia – zakładającego poszukiwanie spokoju i równowagi – konkurencja na ich rynku wewnętrznym została silnie ograniczona. Państwo, kosztem małych rodzinnych przedsiębiorstw, wzmacniało największe prywatne firmy, w wielu branżach zapewniając im pozycję monopolistyczną. Miały być silne, aby konkurować na rynkach międzynarodowych.

W końcu ów model zaczął bankrutować, zasiłki dla bezrobotnych zaczęto ciąć, ale generalnie osobliwość tego systemu pozostała.

Ten sam naród także w czasach koronawirusa uznał, że będzie mądrzejszy. Kiedy cały świat zaczął się „zamykać” i „zamrażać”, oni zdecydowali się na niewiele ograniczeń. I efekt jest dziś widoczny na wszystkich wykresach: liczba ofiar choroby wzrosła gwałtownie, państwo szybko dołączyło do czołówki najbardziej poszkodowanych epidemią. Co – na razie – nie zmieniło polityki jego władz.

Nic nie wskazuje na to, że mieszkańcy tego kraju są sytuacją specjalnie przerażeni. Tak jak przez dekady pokornie zgadzali się (i nadal się zgadzają) na koszmarnie wysokie podatki, tak dziś ze swoim słynnym spokojem przyjmują wiadomości o śmierci kolejnych setek swoich rodaków.

Można powiedzieć: ich problem. Tak, ale tylko do pewnego stopnia. Bo po pierwsze, pojawiła się turystyka kosmetyczno-restauracyjna. Media już podają, że niektórzy sfrustrowani i niezdyscyplinowani Europejczycy robią sobie wycieczki do tego kraju – do fryzjera, restauracji i na imprezę. Potem wracają do siebie, przywoząc wiadomo co.

Po drugie, w końcu przyjdzie czas, kiedy będzie trzeba otworzyć granice, poderwać z lotnisk samoloty. W większości krajów sytuacja będzie opanowana, w tyle pozostaną ci, którym dziś brakuje zdrowego rozsądku i odpowiedzialności. Cywilizowany świat powinien wtedy bardzo poważnie się zastanowić, czy niektóre państwa na takie przywileje nie powinny poczekać dłużej.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



kokainy. Nie wszyscy byli winni. Znalazłam się w świecie, w którym rządziła siła, narkotyk był tańszy niż woda, a zabić znaczyło tyle co nic. Tam zobaczyłam, jak wielki głód dobra tkwi w każdym człowieku, nawet w bestii. I jak łatwo z człowieka bestię zrobić...

Benediktbeuern i Andechs

Kolejny dzień nowego roku, czasu przed koronawirusem. Zwiedzaliśmy opactwa benedyktyńskie Górnej Bawarii. Początki klasztoru Benediktbeuern sięgają VIII w. Mnichów wygnano w 1803 r., upaństwowiając majątek Kościoła. Skarbami biblioteki wyrównywano doły drogi. Część trafiła do Monachium. „Odkryto” wtedy manuskrypt z pieśniami spisany przez zakonników ok. 1230 r., nazwany „Carmina Burana” („Pieśni z Beuern”). Tworzyli je żacy i uznani poeci. Opisywały życie duchowe i codzienne, wojny, głód, biesiady, miłość. W latach 30. XX w. niemiecki kompozytor Carl Orff zachwycił się nimi i skomponował muzykę do niektórych wierszy. Później poprosił wydawcę, żeby ten zniszczył wszystkie jego inne dzieła, jako nieistotne. Utwór „Carmina Burana” uczynił Orffa sławnym. Zmarł w 1982 r. Pochowano go w klasztorze benedyktyńskim w Andechs.

O zobaczeniu Andechs – miejsca urodzenia św. Jadwigi Śląskiej – marzyłam. Ta wybitna i tragiczna kobieta przyszła na świat ok. 1180 r. 12 lat później tu, w zamkowej kaplicy, poślubiła piastowskiego księcia Henryka Brodatego. Niemka uczyła innych wiary i polskiej racji stanu, odwagi aż do bohaterstwa. Przeżyła śmierć sześciorga dzieci, wśród nich syna w bitwie pod Legnicą, gdy bronił chrześcijańskiej Europy przed najeźdźcami z Azji. Uczyła miłosierdzia, zajmując się ubogimi, chorymi, więźniami. Fundowała kościoły i szpitale. Stała się patronką pokoju, pojednania, także polsko-niemieckiego.

Andechs posiada relikwie św. Jadwigi, lecz nie dostrzegłam, żeby jej postać była tam wyeksponowana. Głośna była kradzież jej relikwii z katedry we Frankfurcie w 2016 r. Złodziej połaśił się na pozłacany relikwiarz wart kilka tysięcy euro. Może dlatego w kościele w Andechs w dzień powszedni nie można nawet zbliżyć się do ołtarzy.

Opowiadała Monika Rogozińska, dziennikarka, pisarka

OGNIEM NA WPROST

Celebryci w czasach COVID-19



Wybory za pasem, a tłuczka w opozycji idzie w najlepsze. W tej sytuacji strategia partii rządzącej wydaje się narzucać sama i można ją sprowadzić do rzymskiej maksy (na czasie są porównania medyczne): primum non nocere, czyli: po pierwsze, nie szkodzić. Bo po co szkodzić, skoro jedna z naczelných hejterek atakujących PiS, powieściopisarka Maria Nurowska, tym razem przerzuciła się na Lewicę. Jako zwolenniczka koncepcji dogadania się z Gowinem, kibicująca rozmowom z Budką nie może znieść przeciwnego stanowiska rzeczniczki Lewicy Anny-Marii Żukowskiej, która stwierdziła, że: „Cała Lewica chce jasno zakomunikować: nie negocjujemy z politycznymi terrorystami”. W odpowiedzi z „wiązańką” pospieszyła Nurowska, używając swojego ulubionego języka rodem z jej Facebooka: „Ty durna babo, będziesz miała prezydenta Dudę na kolejne pięć lat! Nie zapomnimy wam tego!”. Roberta Biedronia z tej samej lewicowej paczki potraktowała bardziej po maczynie, stwierdzając: „Najchętniej wzięłabym go na kolano i na goły tyłek wychłostała różgą!”. Ach! Te obietniczki cacanki – pomysł zapewne kandydat Lewicy na najwyższy urząd w państwie.

Sytuacja na świecie staje się z dnia na dzień poważniejsza, a ludzkość z niecierpliwością oczekuje głosu autorytetów, żeby odpowiedzieć sobie na dręczące pytanie: „Dokąd zmierzamy?”. I tu z niezawodnymi radami pospiesza Greta Thunberg. Podczas internetowej konferencji z Johanem Rockstromem (Poczdamski Instytut Badań nad Wpływem Klimatu),

przybierając ton eksperta, panienska z podstawowym wykształceniem obwieściła mieszkańcom planety, że dziś „należy się zajmować jednocześnie pandemią koronawirusa i kryzysem klimatycznym”. Oczywiście analityczne zdolności panny Thunberg nie pozwoliły jej na rzetelne wyciągnięcie wniosków płynących z zarazy. Ani słowem nie napomknęła o tym, że podczas pandemii spadła emisja zanieczyszczeń. Ropa tania jak nigdy, miliony baryłek zalegają na magazynach m.in. z powodu wstrzymania komunikacji i transportu lotniczego, a ona nic. Stanowczo bardziej adekwatne do obecnej rzeczywistości byłyby jej wypowiedziane wcześniej kasandryczne słowa: „Wszyscy umrzeciel”.

Jak już jesteśmy przy celebrytach, nie można nie wspomnieć Krystyny Jandy. Tym razem boleje nad losem teatrów prywatnych, które w odróżnieniu od państwowych nie zarabiają. „Państwowe teatry, instytucje się nie martwią. Dla nich – niegranie – to zysk. Dla nas, niepaństwowych, to śmierć” – napisała Janda na Facebooku. Ja do cudzych kieszeni nie mam w zwyczaju zaglądać, ale akurat w tym przypadku sama artystka się o to prosi. Ponad 15 mln zł otrzymała od państwa na działania swojej fundacji w latach 2005–2017. Na prywatne dochody z serii kosmetyków sygnowanych jej nazwiskiem też nie może narzekać. Według portalu Money.pl przez trzy lata jej firma na czysto zarobiła 1,5 mln zł, upłynniając produktów za 42,4 mln zł. Jak do tego dodamy kilkanaście milionów złotych za sprzedane bilety w ubiegłym roku, uzyskamy całkiem ładną

sumkę. Gdy ostatnio prezydent Warszawy nie dał Jandzie dotacji, aktorka przeszła nad tym faktem w zasadzie do porządku dziennego. Ale jak wybuchł koronawirus, to dawał w rząd. „Polityka – ta k...a, niech idzie precz” – lamentuje artystka, zamiast pokornie sięgnąć do własnej kieszeni, jak to robi dziś większość przedsiębiorców. Cóż, naród jakoś wytrzyma bez oglądania spektaklu „Danuta W.”.

Urodzony w Dakarze (Senegal) długowłose, nieco ekscentryczny francuski naukowiec – mikrobiolog prof. Didier Raoult – co chwilę szokuje świat swoimi teoriami. Jest czymś pomiędzy celebrytą a geniuszem medycyny. Raoult był jednym z najbardziej zagorzałych promotorów we Francji, jeśli nie jedynym obrońcą, stosowania hydroksychlorochiny, leku przeciwmalarycznego, w celu przeciwdziałania COVID-19. Profesor tą teorią podzielił Francję na Paryż (przeciwnicy teorii Raoulta) i prowincje (zwolennicy), stojąc twardo na stanowisku, że wie, jak pokonać koronawirusa. Część naukowców okrzyknęła go szaleńcem, ale po tym, jak w jego marsylskim instytucie odwiedził go prezydent Macron, złagodziła stanowisko. Profesor ostatnio znowu zaskoczył świat nauki i opinię publiczną. Tłumaczył, że gdy epidemia była u szczytu, w jego instytucie wykrywano blisko 400 przypadków dziennie. Dziś jest ich od 60 do 80. Dlatego: „Możliwe, że za kilka tygodni nie będzie już żadnych przypadków”. A wtedy żadna szczepionka nie będzie już potrzebna. Oby rzeczywistość miała rację.

Andrzej Rafał Potocki

Wybieramy, pomagamy

Wdobie pandemii i wywołanego nią kryzysu gospodarczego ponad 60 proc. naszych rodaków deklaruje chęć pomocy krajowym firmom, a 90 proc. z nich zamierza je wspierać poprzez częstszy zakup polskich produktów i usług. Więcej niż połowa Polaków w większym stopniu niż jeszcze przed kilkoma tygodniami sprawdza, czy produkt jest rodzimego pochodzenia. Przytoczone dane to wynik badania przeprowadzonego przez Instytut Badawczy „ARC Rynek i Opinia” na zlecenie największego polskiego producenta lodów. Czy w związku z wymuszonym zatrzymaniem dotychczasowego sposobu funkcjonowania społecznego i gospodarczego zaczynamy doceniać patriotyzm gospodarczy? Czy solidarność społeczna spowodowana pandemią zapisze się na trwałe w naszych relacjach? Czy suma wymienionych czynników może zapobiec najgorszym konsekwencjom światowego kryzysu i stać się trampoliną do wyższego poziomu PKB w naszym kraju? Czas pokaże.

W ramach wolnego rynku w przeważającej większości przypadków wygrywa większy kapitał i kraje mające społeczeństwa obywateli świadomych ekonomicznie. Popyt skierowany na produkty zagraniczne lub produkowane w Polsce, ale „opodatkowane” za granicą, sprzyja bogaceniu się innych państw kosztem naszego kraju. Trzeba także uwzględnić, że wiele dużych zagranicznych firm unika opodatkowania w Polsce, co dodatkowo uszczupla wpływy do naszego budżetu, które moglibyśmy przeznaczyć np. na służbę zdrowia czy edukację.

W czasie spowolnienia gospodarczego opisane zjawiska są znacznie bardziej widoczne i odczuwalne zarówno dla polskich przedsiębiorców, jak i finalnie dla wszystkich obywateli. Jesteśmy połączonymi ogniwami w tym samym łańcuchu dostaw. Patriotyzm ekonomiczny nie powinien być już traktowany jedynie jako slogan konserwatystów, ale jako oczywista biznesowa konieczność.

Rząd ratuje gospodarkę, osłaniając przedsiębiorców pakietem przepisów w ramach tarczy antykryzysowej, a przedstawiciele poszczególnych branż biorą sprawy w swoje ręce i zamiast konkurować, jak to do tej pory bywało, solidarnie się wspierają. Dobrym przykładem są firmy modowe, beauty i design, zwłaszcza mniejsi producenci, którzy zdecydowali się pokazać jedność i podjęli solidarną akcję. Wspólnie zachęcają klientów do wybierania polskich towarów, wymieniają doświadczenia za pośrednictwem komunikatora zrzeszającego marki. Dzięki wspólnej inicjatywie poszczególne marki mają szansę dotrzeć do szerszego grona potencjalnych nabywców i skuteczniej przekonać ich o słuszności dokonania wyborów produktów jednej ze zrzeszonych firm.

Z kolei największe polskie firmy powołały do życia związki skupiający pracodawców handlu i usług. Celem tego stowarzyszenia jest wypracowanie rozwiązań przeciwdziałających trudnej sytuacji na rynku. W środowisku sportowym powołano



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

m.in. stowarzyszenie właścicieli klubów i szkółek hipicznych, którego celem jest wzajemne wspieranie się w związku z zastojem w szkoleniu młodych jeźdźców. Krakowska Kongregacja Kupiecka oraz Małopolska Izba Rzemiosła i Przedsiębiorczości postanowiły zadbać o lokalnych producentów żywności. Na sklepowych i gastronomicznych witrynach mają zawisnąć plakaty z informacją o tym, że dana firma jest lokalnym przedsiębiorcą z polskim kapitałem i że warto ją wesprzeć, kupując oferowane przez nią towary.

Ekonomiści przewidują, że jedną z konsekwencji pandemii będzie wybieranie przez konsumentów towarów produkowanych lokalnie, bardziej znanych i w związku z tym postrzeganych jako bezpieczniejsze. Nie zamknijemy się z pewnością zupełnie na świat, ale globalizacja zyska inny wymiar i inaczej rozłożą się jej akcenty. Prognozuje się m.in., że znaczna część produkcji zostanie przeniesiona z Azji do Europy i USA, mimo wiążącego się z tym wzrostu kosztów. Światowa konkurencja zmienia swoje oblicze, gospodarcze mistrzostwa świata nie przestają jednak trwać. W tej rywalizacji jesteśmy jedną drużyną i wspólnie walczymy o nasz poziom życia.



*Z głębokim smutkiem
przyjęłam wiadomość o śmierci*

Krystyny Łybackiej

*posłanki na Sejm RPI, II, III, IV, V, VI oraz VII kadencji,
minister edukacji narodowej i sportu w latach 2001 – 2004,
deputowanej do Parlamentu Europejskiego VIII kadencji
oraz wykładowcy akademickiego.*

*Odeszła doświadczona, ceniona i aktywna uczestniczka
polskiego życia publicznego.*

**Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia**

Elżbieta Witek
Marszałek Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej

45/0420/F

Medycyna on-line szansą polskich pacjentów

Intensywna cyfryzacja rynku usług otworzyła przed Polakami nowe możliwości, również w zakresie ochrony zdrowia. Przez ostatnie lata Ministerstwo Zdrowia wdrażało kolejne elementy strategii e-zdrowia: e-recepty, e-skierowania czy teleporady, a także spinające wszystko w całość Internetowe Konto Pacjenta w serwisie pacjent.gov.pl.

Dzięki tym rozwiązaniom zyskaliśmy komfort i oszczędność czasu

Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko przyjdzie nam oprzeć się na wirtualnych usługach zdrowotnych w tak szerokim zakresie. Sytuacja epidemiczna wymaga dziś od nas mądrych decyzji o ograniczeniu kontaktów, o realizacji swoich potrzeb z wykorzystaniem dobrodziejstwa internetu. Służba zdrowia jest dostępna, a pacjenci nie pozostaną bez opieki, ponieważ jesteśmy gotowi na to, aby część procedur realizować zdalnie. Ma to ogromny wpływ na ograniczenie ryzyka rozprzestrzeniania się koronawirusa i powrót do normalności.

Warto pamiętać również o tym, że pracownicy ochrony zdrowia, znacznie bardziej narażeni na zakażenie wirusem SARS-CoV-2, dzięki możliwości udzielania porad zdrowotnych on-line są dostępni dla swoich pacjentów nawet podczas kwarantanny. Izolacja i oczekiwanie na wynik testu nie są czasem straconym i pozbawionym możliwości udzielenia teleporady lub wystawienia e-recepty.

„ - Korzystanie ze zdalnych konsultacji medycznych oraz otrzymanie e-recepty SMS-em lub e-mailem bez wychodzenia z domu jest dziś możliwe dzięki konsekwentnym decyzjom i regulacjom wspierającym cyfryzację ochrony zdrowia. Rozwiązania, które eliminują konieczność bezpośrednich kontaktów, są realnym wsparciem w trudnej walce z epidemią koronawirusa. Puste poczekalnie w przychodniach podstawowej opieki zdrowotnej, w których na co dzień można było spotkać wielu pacjentów z infekcjami, pokazują, że społeczeństwo bardzo świadomie i odpowiedzialnie zareagowało na nasze apele, wybierając konsultacje telefoniczne i e-recepty. W trosce o bezpieczeństwo i zdrowie Polaków nadal zalecamy, aby pozostać w domu i np. wykorzystać

ten czas, aby aktywować swoje Internetowe Konto Pacjenta - mówi Janusz Cieszyński, wiceminister zdrowia.

PACJENT ON-LINE

Z Internetowego Konta Pacjenta (IKP), czyli bezpłatnej aplikacji Ministerstwa Zdrowia dostępnej w serwisie pacjent.gov.pl, korzysta już 2 mln Polaków. Zainteresowanie nim rośnie, gdyż aktywne konto pozwala załatwić wiele spraw związanych z naszym zdrowiem bez wychodzenia z domu. Bez konieczności wizyty w przychodni, po odbyciu teleporady medycznej możemy np. otrzymać e-receptę SMS-em lub e-mailem, a leki wykupimy w różnych aptekach bez utraty refundacji.

IKP jest również doskonałym źródłem informacji dla osób upoważnionych przez pacjenta. Dla leczących go lekarzy jest zbiorem wcześniejszych konsultacji, przepisywanych i realizowanych recept. Dla samego pacjenta to ściągawka: o lekach i ich dawkowaniu, zaleceniach, które mogły wypaść z głowy, o zrealizowanych wizytach u lekarzy w ramach NFZ, o badaniach diagnostycznych, zabiegach i pobytach w szpitalu na

podstawie e-skierowania. Dla rodziców małego pacjenta lub rodziny seniora to źródło wyczerpującej informacji dotyczącej opieki.

„ - Ministerialną aplikację - Internetowe Konto Pacjenta aktywowałam ze względu na e-recepty. Mam w niej podgląd na wypisane leki całej rodziny. Już przed epidemią to było duże udogodnienie: wystarczył telefon, aby lekarz prowadzący wystawił e-receptę i przychodziło powiadomienie na telefon. W domu żartujemy, że byłoby doskonałe, gdyby jeszcze

W Polsce wystawiono

200
e-recept **mln**

Jak działa e-recepta?

Krok 1

Lekarz wystawi e-receptę



Krok 2

Z systemu e-zdrowie otrzymasz:

SMS

Z 4-cyfrowym kodem dostępu

albo

e-mail

z załączoną w PDF e-receptą

A jeśli nie korzystasz z Internetowego Konta Pacjenta, lekarz da Ci **wydruk informacyjny**

Krok 3

W aptece możesz:

- podać **4-cyfrowy kod i PESEL**
(Twój albo – jeśli kupujesz leki dla innej osoby – jej PESEL)
- pokazać farmaceutce **ekran smartfona z e-receptą**, którą dostałeś mailem
- pokazać **wydruk informacyjny**, tak jak dawniej tradycyjną receptę

Krok 4

...odbierzesz lek

Farmaceuta wyda Ci lek na podstawie kodu z SMS i numeru PESEL albo zeskanuje kod kreskowy

- z e-recepty **na smartfonie**
- lub z **wydruku informacyjnego**

w systemie była od razu apteka z dostawą do domu. Przedtem musiałam iść do przychodni, odstać za każdym razem w kolejce do lekarza, a przy chorym przewlekłym dziecku liczy się każda minuta – mówi Marta Pawłowska, mama dziecka pozostającego pod opieką hospicyjną.

ROZWIĄZANIA NA CZAS PANDEMII

Warto się zalogować na swoje IKP, uzupełnić dane kontaktowe i otrzymywać e-recepty bez wychodzenia z domu. Dla tych, którzy mają obecnie wciąż nieaktywne Konta Pacjenta, przewidziano rozwiązania awaryjne. W przypadku udzielania świadczenia medycznego na odległość, braku dostępu do systemu informatycznego czy w sytuacji wyjątkowej, jaką jest stan pandemii, informacje o e-receptach można otrzymać przez telefon lub w innej uzgodnionej formie. Dotyczy to zarówno podstawowej opieki zdrowotnej, ambulatoryjnej opieki specjalistycznej, jak i opieki psychiatrycznej oraz leczenia uzależnień. Lekarz podaje pacjentowi czterocyfrowy kod e-recepty wraz z nazwą leku oraz informacją, jak go przyjmować. Pacjent powinien zachować szczególną ostrożność i dokładnie zapisać otrzymane od lekarza zalecenia. Aby zrealizować taką e-receptę w aptece, wraz z czterocyfrowym kodem pacjent lub ktoś przez niego upoważniony podaje nr PESEL osoby, której przepisano lek. To rozwiązanie należy jednak traktować jako przejściowe, gdyż pozbawia ono pacjenta dostępu do wszystkich informacji umieszczonych na e-receptach.

Jeśli przychodnia, do której należymy, nie świadczy usługi teleporady lub nie wystawia recept zdalnie, trzeba nawiązać kontakt z jedną z wybranych placówek podstawowej opieki zdrowotnej lub poradni specjalistycznej w naszym województwie. Ich lista znajduje się na stronie internetowej NFZ. Jeżeli podczas zdalnego wywiadu lekarz uzna, że konieczna jest wizyta w gabinecie, pacjent otrzyma sugestie badania w placówce medycznej lub skontaktowania się ze stacją sanitarno-epidemiologiczną.

„Dla mojej rodziny kontakt ze służbą zdrowia jest codziennością. Teraz, gdy ograniczone są spotkania, korzystamy z teleporad. Gdy zbliżał się termin umówionej wizyty u neurologa, nie wiedziałam, czy nie będzie trzeba z niej zrezygnować lub jej przełożyć. Tymczasem w tym dniu lekarz zadzwonił: nie musiał oglądać dziecka, wystarczył wywiad. Tak naprawdę teleporada nie różniła się jakością od każdej poprzedniej zwykłej wizyty w gabinecie, poza tym, że nie mieliśmy kontaktu bezpośredniego – mówi mama chorej dziewczynki.

**E-receptę
otrzymało ponad**

21 mln
pacjentów

A JEŚLI TO KORONAWIRUS?

W tym specjalnym czasie jesteśmy wywołani na zagrożenie zakażenia koronawirusem. Ministerstwo Zdrowia we współpracy z partnerami, instytucjami, środowiskiem medycznym przygotowało specjalne narzędzia dostępne online na portalu pacjent.gov.pl.

Dzięki Wirtualnemu Asystentowi Polacy mogą o każdej porze dnia i nocy uzyskać szybką odpowiedź na najczęściej zadawane pytania dotyczące zakażenia, objawów, kwarantanny, leczenia, zasad przemieszczania się, postępowania w razie zachorowania lub podejrzenia choroby, pracy czy wprowadzonych w związku z epidemią aktów prawnych. To wiarygodne informacje, gdyż są autoryzowane przez rządowe instytucje: Ministerstwo Zdrowia, Główny Inspektorat Sanitarny czy Narodowy Fundusz Zdrowia.

Osoby, które zaniepokoiło wystąpienie objawów sugerujących możliwość zakażenia koronawirusem, za pomocą prostej i intuicyjnej aplikacji „Sprawdź, czy masz objawy COVID-19” w krótkim czasie otrzymują wstępną ocenę swojego stanu oraz - co ważne - rekomendacje dalszych działań. Formularz prowadzi pacjenta przez zestaw pytań opartych na standardach wywiadu lekarskiego i przygotowanych na podstawie wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) oraz zaleceń amerykańskiego Centrum ds. Kontroli i Zapobiegania Chorób (CDC). Rekomendacje dotyczące dalszych zachowań pacjenta przy poszczególnych poziomach ryzyka opracowane zostały w porozumieniu z Głównym Inspektorem Sanitarnym. Należy jednak pamiętać, że wywiad taki nie jest poradą, konsultacją ani diagnozą lekarską. Ma on charakter wyłącznie informacyjny.

Z myślą o pacjentach, którzy podejrzewają obecność koronawirusa SARS-CoV-2 w swoim organizmie, a nie mogą się skontaktować z własnym POZ, udostępniono możliwość **teleporady lekarskiej lub pielęgniarskiej** w formie wideorozmowy lub telekonsultacji. Podczas takiej konsultacji pacjent może otrzymać e-receptę lub e-zwolnienie.

PACJENCI POD SZCZEGÓLNĄ OPIEKĄ

Bardziej od tych, którzy doraźnie korzystają z opieki służby zdrowia, cyfryzując w dobie koronawirusa doceniają stali bywalcy placówek medycznych: seniorzy obciążeni różnymi schorzeniami z racji wieku, pacjenci z chorobami przewlekłymi, np. nowotworami. Nie tylko dlatego, że są zmuszeni do regularnych wizyt, lecz również z powodu ryzyka zakażenia związanego z niższą odpornością.

– W tym trudnym czasie onkologia na Wawelskiej pracuje normalnie. Mimo że w przychodni przebywa znacznie mniej osób. Pacjenta do chemioterapii doustnej widzę na co drugiej wizycie. Daję mu od razu leki na dwa kursy, a w międzyczasie wystarcza teleporada. Oglądam wtedy wyniki laboratoryjne, proszę pacjenta o zdjęcia, aby sprawdzić, czy nie wystąpiła toksyczność, i już wiem, jak kontynuować leczenie.

2,2 mln

**pacjentów korzysta
z Internetowego
Konta Pacjenta**

Właśnie ruszamy z samoraportowaniem stanu zdrowia przez naszych chorych. Pacjent udziela odpowiedzi na wybrane z puli 70 pytań stworzonych dla pacjentów onkologicznych. Ankieta jest dłuższa i dokładniejsza i daje podobny obraz jak te kilka pytań przy wizycie bezpośredniej. W tym systemie - wg badań naszych amerykańskich kolegów - chorzy żyją dłużej.

Ten system działa u nas, teraz - podkreśla dr hab. n. med. Lucjan Wyrwicz, kierownik Kliniki Onkologii i Radioterapii Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie przy ul. Wawelskiej.

Zdaniem onkologa dzisiejsza medycyna właśnie dogoniła inne sfery życia. Podczas gdy od lat mogliśmy przez internet ubezpieczyć samochód, do niedawna nie można było wystawić e-recepty, np. na kontynuację terapii lekiem przyjmowanym przez całe życie. Wreszcie to mamy!

– Moim marzeniem jest, aby epidemia zniknęła jak najszybciej. Ale żeby zostały po niej wszystkie te tak bardzo potrzebne rozwiązania, które w tym trudnym czasie doskonale się sprawdziły - podsumowuje dr Wyrwicz.

Anna Raciniewska

JAK ZALOGOWAĆ SIĘ NA INTERNETOWE KONTO PACJENTA

Pierwsze logowanie na IKP może się odbyć całkowicie online. Wystarczy urządzenie z dostępem do internetu. Na stronie głównego portalu **pacjent.gov.pl** należy kliknąć na przycisk: zaloguj się. Następnie wystarczy wybrać jedną z trzech opcji logowania:

1

Poprzez profil zaufany – po lewej stronie znajdziesz pole do logowania za pomocą nazwy użytkownika lub adresu e-mail oraz hasła. Jeżeli profil zaufany zakładałeś/aś poprzez bankowość elektroniczną, to na IKP logujesz się poprzez stronę swojego banku. Na ekranie zobaczysz logotypy ośmiu banków, które udostępniają swoim użytkownikom tę opcję. Wybierz swój i zaloguj się jak na konto bankowe.

2

Poprzez konto internetowe banku PKO BP – czyli iPKO lub Inteligo. Zaloguj się jak na konto bankowe. Przy pierwszym logowaniu musisz potwierdzić, że twoje dane (imię, nazwisko, adres, PESEL, numer telefonu itp.) są poprawne – robisz to tak samo, jak potwierdzasz transakcje, czyli podajesz kod z karty kodów lub z SMS-a. Kiedy to zrobisz, bank utworzy ci e-tożsamość – bezpłatny, cyfrowy odpowiednik dokumentu tożsamości.

3

Poprzez e-dowód – elektroniczny dowód osobisty. Potrzebujesz do tego płatnego czytnika.

Aplikacja czy kajdanki?

Pytanie dość prowokacyjnie postawione w tytule odnosi się do sporu, jaki wybuchł ostatnio we Włoszech, ale tak naprawdę dotyczy całego świata i nas w najbliższej przyszłości.

Oto Włosi szykują się do wprowadzenia nowego narzędzia do walki z pandemią COVID-19. Chodzi o aplikację Immuni, która ma ostrzegać o kontakcie z osobą zarażoną. Powstało od razu wiele pytań o to, jak tak naprawdę aplikacja ma działać, jakie dane zbierać oraz czy będzie obowiązkowa. Pierwsze deklaracje były takie, że obowiązkowa nie będzie, ale... ten, kto jej nie zainstaluje, spotka się z ograniczeniami możliwości poruszania się. Istny Orwell. Czyli coś, co „obowiązkowe nie jest”, ale obwarowane tak, że zabiera wolność. Na te pierwsze zapowiedzi ostro zareagowała włoska opozycja. Matteo Salvini powiedział wprost: to droga do odbierania wolności, daru Bożego, pod pozorem walki z epidemią.

Następnego dnia, w trakcie debaty parlamentarnej, premier Conte zadeklarował więc, że aplikacja nie będzie obowiązkowa w sposób bezwarunkowy. Nadal jednak pozostało



**Tomasz
Łysiak**

wiele wątpliwości. Immuni ma działać tak, że z jednej strony będzie ostrzegać właściciela telefonu, że ktoś zarażony jest blisko, z drugiej zaś strony, gdy się okaże, że ktoś ma pozytywny wynik testu, ma ona anonimowo (przez identyfikację za pomocą numerów, kodów osobistych) wysyłać powiadomienia do tych telefonów komórkowych, z którymi „zetknął się” człowiek zarażony koronawirusem. Pytanie zasadnicze dotyczy tego, kto i w jaki sposób będzie zarządzał danymi, gdzie będą przechowywane i czy faktycznie zostaną zniszczone po zakończeniu kryzysu epidemicznego? Czy znajdują się na serwerze prywatnym czy państwowym? Co więcej: czy ich gromadzenie przez państwo również jest bezpieczne z punktu widzenia wolności obywatela?

Dyskusja dotycząca granicy między tym, co faktycznie potrzebne, a tym, co wkracza zbyt mocno w zakres wolności człowieka, jest ważną częścią pandemicznego kryzysu na świecie. U nas także stanie się tematem polemik i wojny politycznej. Trzeba więc we wszystkim zdrowego rozsądku. Tak, by aplikacje nie stawały się kajdankami.

Rozum w zamrażarce

„Zamówiłem zamrażarkę w firmie przez internet w niedzielę (wczoraj). Przyszła dzisiaj (poniedziałek) o jedenastej rano!” – napisał na Twitterze zachwycony Jacek Piekara, fantastyczny pisarz albo pisarz fantasta, jak kto woli. Ja zaś byłem w Castoramie po niezbędne duperele, abym mógł zrobić to i owo podczas wymuszonego pandemią siedzenia w domu. Ma ten koronawirus pewne zalety – robi się to i owo właśnie, co już widać lub będzie widać za plus minus dziewięć miesięcy. Po co byłem w tej Castoramie, nie jest tak istotne jak to, co przed nią zobaczyłem. A zobaczyłem panów w maskach, którzy pilnowali, żeby do sklepu wchodziło tyle ludzi, ile wychodziło. Przed wejściem stały dozowniki z płynami do dezynfekcji i pojemniki z jednorazowymi rękawiczkami. Ludzie ustawiali się grzecznie w kolejce, zachowując między sobą odstępy. Funkcjonowało wszystko jak w zegarku, przy czym zaznaczam jak Piekara, że nie jest to felieton sponsorowany.

Z jednej strony uprzykrzająca nam życie pandemia, z drugiej budujący widok zdyscyplinowanych obywateli. I nie jest to niemiecki porządek, tylko nasz, polski – co do zachowań sąsiadów zza Odry odsyłam do ichnich mediów oraz meldunków Polizei, bo ja nie o tym chcę. Piszę dziś specjalnie dla pana B.B., nazwisko znane redakcji i choćby przeciętnie zorientowanym w polityce,



**Piotr
Cywiński**

oraz jego przybocznym płci obojga. Zastanawiające, jak to się dzieje, że ludziska mogą chodzić do sklepów, ba, załatwiać niezbędne, urzędowe sprawy, też byłem, że kurierzy rozwożą paczki – handel dowożny w dobie koronawirusa kwitnie, też coś zamawiałem i dostałem – a oddanie głosu w wyborach prezydenckich, to nie lżja, nie nada i paszół won...

Na zdrowy rozum: czy przed drzwiami punktów wyborczych nie można ustawić ludzi, którzy zadbaliby o porządek, jak przed wielkopowierzchniowymi sklepami? Śmiem twierdzić, że sami obywatele by o ten porządek zadbali. Pal sześć, czy nie mogłyby te, bądź co bądź, wybory głowy państwa odbyć się w systemie mieszanym? Kto chciałby, pofatygowałby się do urny, do innych urny przyjechałyby pod dom... Wreszcie, co stoi na przeszkodzie i czymże zostanie złamana demokracja, jeśli głosowanie odbędzie się tylko korespondencyjnie?

Złe pytanie! Nie co, lecz kto stoi na przeszkodzie. K. -B. stoi, a właściwie leży, nazwisko znane B.B., redakcji i choć przeciętnie zorientowanym w polityce, o „(nie)prawdziwą prezydent” i „(nie) pewną przyszłość”. Ot, i cała tajemnica koronnych argumentów o bezpieczeństwie w kwestii: koronawirus a sprawa polska. A poza tym wszystkim kto powiedział, że o rozum tu chodzi?

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSCZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRISTINA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEK
 UL. LEGIONÓW 126-128,
 81-472 GDYNIA
 REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
 JOANNA MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
 MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
 ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
 LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
 BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
 TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
 REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
 WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
 W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
 WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
 ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
 E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
 WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
 E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
 TEL. (22) 616 36 00
 UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PIŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
 PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
 Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
 W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
 KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
 KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
 REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
 PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
 AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
 MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
 I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
 WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
 (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
 REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYM
 OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
 POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
 BEZUMOWNĄ SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
 PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
 ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

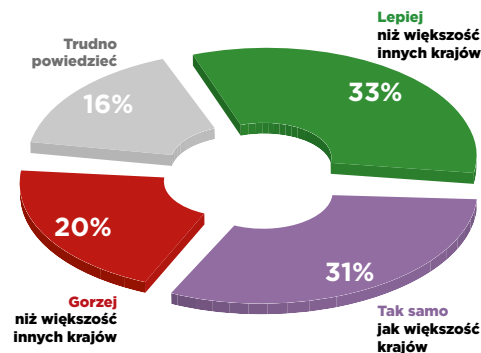


FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ IWANICZUK/REPORTER, ADAM GUZ/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK

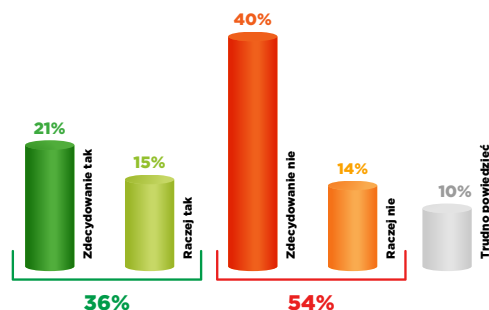


pracownia
Social Changes
 dla
wPolityce.pl

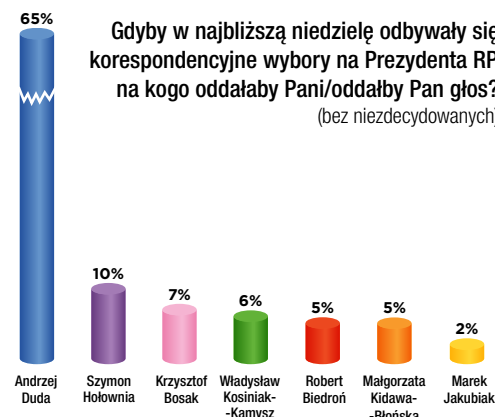
Jak według Pani/Pana Polska radzi sobie
 z epidemią koronawirusa na tle innych krajów?



Wyobraź sobie, że w najbliższą niedzielę odbywają się korespondencyjne wybory prezydenckie i każda osoba uprawniona do głosowania może zgłosić korespondencyjnie. Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w korespondencyjnych wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się w najbliższą niedzielę?



Gdyby w najbliższą niedzielę odbywały się korespondencyjne wybory na Prezydenta RP, na kogo oddałaby Pani/oddąłby Pan głos? (bez niezdeterminowanych)



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1063.

Zakres czasowy badania 17–20 kwietnia 2020 r.

Z wysokiego konia

W chwilach triumfu potrafi być czarujący. Gdy mu nie idzie, jego frustracja przeradza się w agresję. Zwycięstw dobrze nie skonsumował, a na porażkach niczego się nie nauczył. Czy właśnie oglądamy Donalda Tuska, który sam przed sobą przyznaje, że w poważnej polityce nie będzie już nigdy istotną postacią?



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Gdy był premierem, a później „królem Europy”, jego zdanie z automatu było ważne. Jako szef rządu miał realną władzę. W 2010 r. zrezygnował z ubiegania się o prezydenturę, bo „nie chciał siedzieć” pod żyrandolem. W książce „Szczere”, która ma być dziennikiem z czasu sprawowania funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej, a która była chyba szykowana na ewentualną kampanię prezydencką, znajdujemy fotografie, których większość polityków zapewne mu zazdrości. Z Angelą Merkel pod rękę, z roześmianym Barackiem Obamą, witany przez szpaler wojska w Jordani, na nieformalnym spotkaniu w ścisłym gronie przywódców G7, znów z Obamą – tym razem jakieś żarciki na boku oficjalnego spotkania,

w serdecznym uścisku z Emmanuelem Macronem, rozmowa z Władimirem Putinem i premierem Japonii, dalej jeszcze z Borisem Johnsonem i prywatna audycja u papieża Franciszka. Był kimś ważnym.

Teraz jest na etapie schodzenia z tego szczytu. Przewodniczenie Europejskiej Partii Ludowej, choć to największa frakcja w Parlamencie Europejskim, jest jednak degradacją do drugiej ligi. Jako zapalony sportowiec Tusk zapewne odczuł to boleśnie. Stąd ta frustracja i niezgoda na rzeczywistość, która w polityce krajowej przyznaje rację jego największym rywalom. Stąd też takie jak w ostatnich tygodniach wpisy na Twitterze. 14 kwietnia: „Jeszcze nigdy tak wielki samolot nie dostarczył tak wiele maseczek tak nielicznym”. Trawestacja Winstona Churchilla dotyczyła samolotu, którym z Chin przetransportowano zakupiony przez rząd we współpracy z KGHM i Lotosem sprzęt ochronny. „Nie myślą o chorych, pozbawionych pracy, bankrutujących. Myślą wyłącznie o swojej władzy. A im więcej jej mają, tym bardziej są bezradni. To oni są klęską żywiołową” – to zaś z 3 kwietnia, gdy Sejm przyjął pierwsze przepisy wprowadzające możliwość głosowania korespondencyjnego dla seniorów.

Czyżby Tusk przerzucał na innych własne tęsknoty? Przypomina się cytat z książki „Daleko od miłości” Michała Majewskiego i Pawła Reszki, w której jeden z wieloletnich współpracowników byłego premiera mówi: „Wygląda to tak, jakby wszystko w partii i w rządzeniu było podporządkowane dążeniu osobistej władzy przez Donalda. Nie dla bogactwa i splendoru. W żadnym wypadku. Dla hegemonii i dla samego posiadania władzy. Niestety nie po to, żeby wprowadzać odważne zmiany. Wprowadzanie odważnych zmian oznacza, że nie wszystkim się podobasz, możesz stracić hegemonię, a potem władzę. Dlatego nie mierzyliśmy się z problemami, tylko przewracaliśmy stoliki”.

– Kiedyś mogło się wydawać, że jest bardziej finezyjny w wypowiedziach, ale to była sprawna socjotechnika. Dbał o PR i miał do tego sztab ludzi. Teraz jest sam. Zajmuje coraz mniej eksponowane stanowiska, chcąc zaistnieć w mediach, musi się wypowiadać w sposób skrajny i musi swoje oceny eskalować – mówi nam Witold Waszczykowski, były minister spraw zagranicznych (przez krótki czas wiceszef MSZ w rządzie Tuska), obecnie europoseł PiS.

NA AUCIE

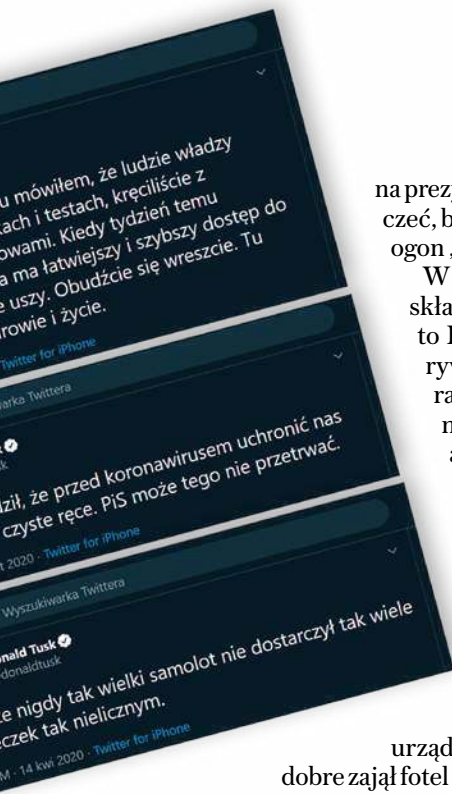
Kim dla PO i polskiej sceny politycznej jest dziś Donald Tusk? Według prof. Rafała Chwedoruka odpowiedź na to pytanie jeszcze nigdy nie była tak trudna jak teraz. – To jest jedyny moment od drugiej połowy lat 90., w którym trudno byłoby dokładnie zdefiniować, kim jest Donald Tusk – mówi politolog i podkreśla, że kierowanie Europejską Partią Ludową ma wymiar bardziej organizacyjno-administracyjny, niż jest rzeczywistym przywództwem politycznym. – Z całą pewnością Donald Tusk jest politykiem aspirującym, natomiast nie wiemy jeszcze do czego. W wymiarze wewnątrz-krajowym jedyną możliwość jego bezpośredniego powrotu dałoby rozszerzenie radykalnie antypisowskich nastrojów. W skali makro może on być identyfikowany przez opinie



publiczną jedynie poprzez bycie antytezą Prawa i Sprawiedliwości. Szczególnie dla tych wyborców, którzy są młodzi i nie uczestniczyli w konfliktach z czasów premierostwa Donalda Tuska. Osłabienie tego typu nastrojów kazałoby zadać pytanie wielu wyborcom: do czego w zasadzie Tusk, polityk średniostarszego pokolenia, miałby dziś jeszcze być niezbędnie potrzebny? – dodaje prof. Chwedoruk.

Dla niektórych był bardzo atrakcyjny jako obietnica. Media i politycy spekulowali: wróci na „białym koniu” czy nie wróci, wystartuje czy nie wystartuje. Dopóki temat wisiał w powietrzu, nadzieja się tliła. W tygodniku „Sieci” pisaliśmy już o tym, jak środowisko hejterskiego SokuzBuraka inspirowane przez Romana Giertycha zorganizowało specjalne wydarzenie Spacer z Tuskiem. Setki ludzi prowadziło go niczym króla z dworca do prokuratury na przesłuchanie w sprawie katastrofy smoleńskiej. Dla obozu, który kiedyś seryjnie wygrywał, a teraz z każdej potyczki wychodził na tarczy, wydawał się unikatowym dobrem.

Po wyjeździe do Brukseli przez długi czas konsekwentnie milczał na temat tego, co się dzieje w Polsce w epoce „po Tusku”. Mówili za niego inni: „Donald wróci i wszystko się odmieni”. A on nie włączał się w rozliczenia ekipy Ewy Kopacz, którą przecież namaścił na swoją następczynię, a która rozłożyła Platformę na łopatki wręcz koncertowo. Długo zaciskał zęby, by nie powiedzieć nic zbyt dosadnego o rządach Zjednoczonej Prawicy. Realizował w ten sposób scenariusz, który – jak się okazuje – chyba nie przypadkiem zarysowali w zaciszu VIP-roomu restauracji Sowa & Przyjaciele Paweł Graś i Jacek Krawiec. Tusk już w 2013 r. planował wyjazd do Brukseli, by „odseparować się od tego folkloru i syfu”, wejść do „innej ligi” i ewentualnie w 2020 r. „wrócić



na prezydenta". Dlatego musiał milczeć, by urwać ciągnący się za nim ogon „win Tuska”.

W otoczeniu Andrzeja Dudy składano ręce do modlitw, by to Donald Tusk był głównym rywalem prezydenta w wyborach. Dziś zabrzmi to dziwnie, ale obawiano się innych, a szczególnie kobiety. Decyzja ważyła się do ostatniej chwili, ale w końcu do Tuska dotarło, że Polacy nie o wszystkim byli w stanie zapomnieć, a jego elektorat negatywny jest tak duży, że praktycznie eliminuje go z konkurencji o pierwszy urząd w państwie. Wtedy już na

dobrze zajął fotel recenzenta polskiej rzeczywistości i zaczął być w tym coraz bardziej nieznosny. Skoro już nawet zapatrzona w niego jak w obrazek „Rzeczpospolita” apeluje, by „zabrać Tuskowi Twittera”...

Przy opisywaniu aktualnej postawy Donalda Tuska nie można lekceważyć jego podwójnej przegranej w 2005 r. Wówczas PiS najpierw pokonało PO w wyborach parlamentarnych, a później Donald Tusk (na plakatach przedstawiany jako „Prezydent Tusk”) musiał się pogodzić ze zwycięstwem Lecha Kaczyńskiego. Nigdy tego upokorzenia nie przepracował. Negocjacje nad utworzeniem rządu PO-PiS były prowadzone tak, by nic z nich nie wyszło. To wtedy Polska Kaczyńskich z Polską Tuska miały się rozjechać w zupełnie innych kierunkach.

SZYBKA WOJNA Z WĘGRAMI?

Trudno się oprzeć wrażeniu, że poza publicznym strofowaniem polskiego rządu Tusk ma jeszcze jeden ulubiony cel – Węgry. A ostatnie wydarzenia związane z epidemią koronawirusa ośmieliły go do ataku o niespodziewanej sile. W wywiadzie dla niemieckiego tygodnika „Der Spiegel” przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej (należy też do niej Fidesz Viktora Orbána) na pytanie, czy Węgry nadal są demokracją, odpowiedział: „Orbán rządzi na Węgrzech środkami nadzwyczajnymi od czasu kryzysu uchodźczego. Wykorzystuje strach przed migracją, a teraz przed wirusem, aby rozszerzyć swoją władzę. [...] Ile razy w naszej historii widzieliśmy, jak politycy stosują prawa, które zostały wprowadzone w celu rozszerzenia ich uprawnień? [...] Carl Schmitt byłby bardzo dumny z Viktora Orbána”. Wywołało to niemal oburzenie, także w węgierskich środowiskach żydowskich, przytoczony przez byłego polskiego premiera Carl Schmitt to bowiem niemiecki prawnik, w latach 1933–1945 członek NSDAP, który swoimi teoriami uzasadniał ideologiczne podstawy dyktatury nazistowskiej i rządów Hitlera.

O co konkretnie chodziło Tuskowi? 11 marca gabinet Orbána wprowadził w związku z pandemią koronawirusa na terenie całego państwa stan zagrożenia (oryg. – vészélelyzet), to odpowiednik naszego stanu wyjątkowego. Dzięki temu premier może – zgodnie z konstytucją – wydawać dekrety zawieszające niektóre ustawy lub nawet sprzeczne z obowiązującymi normalnie przepisami. Te nadzwyczajne uprawnienia mogą obowiązywać przez 15 dni, a ich przedłużenie wymaga zgody parlamentu, w którym partia Orbána ma zdecydowaną większość. I to jest kluczowa sprawa w dyskusji, jaką oczywiście można toczyć na temat szerokich praw węgierskiego rządu. Według sondażu Instytutu Nezopont 90 proc. badanych opowiada się za przedłużeniem stanu wyjątkowego. Czy to powód do dyktatorskich porównań?

Tusk poszedł zresztą dalej w tej wojennej retoryce, w tym samym wywiadzie stwierdzając, że w walce z epidemią potrzeba jednak środków nadzwyczajnych: „To nie czas na targi. Jeśli chodzi o gospodarkę, to potrzebny jest Blitzkrieg”.

PRZEPROSIĆ TUSKA!

Na reakcję węgierskiej prasy nie trzeba było długo czekać. Niektóre tytuły stwierdziły wprost, że tematy związane z nazizmem podejrzenie Tuska pochłaniają i pytały, czy to leczenie własnych fobii, m.in. po oskarżeniach z 2005 r., gdy ówczesny kandydat na prezydenta musiał się tłumaczyć z „dziadka w Wehrmachcie”. Najostrzejsza krytyka pada

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 11 kwietnia 2020 roku zmarł we Wrocławiu*

ŚP

MJR JÓZEF OLEKSIEWICZ
PS. „MALINA”, „GROŹNY”, „TATAR”

urodzony 15 stycznia 1929 r. w Grybowie.

*Od sierpnia 1944 r. łącznik w oddziale partyzanckim „Kmicica”
w składzie 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK.*

*We wrześniu 1945 r. wstąpił do oddziału AK-DSZ „Słoty”, „Okrzei”,
działającego w okolicach Nowego Sącza, Grybowa i Krzynicy.
Następnie służył w oddziale partyzanckim „Huragan”.*

Od czerwca 1946 do marca 1947 r.

żołnierz oddziału NSZ „Żandarmeria” kpt. Jana Dubaniewskiego „Sakwy”.

*Brał udział w akcjach oddziału przeciwko NKWD i UB,
podczas których był dwukrotnie ranny.*

*Po ujęciu się 10 marca 1947 r. w PUBP w Nowym Sączu,
w dniu 21 maja 1947 r. aresztowany przez UB.*

*Po wielomiesięcznym śledztwie skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie
na 3 lata pozbawienia wolności.*

*Karę odbywał w krakowskim Więzieniu Montelupich
oraz w Obozie Pracy Więźniów w Jaworznie.*

*Po przemianach ustrojowych aktywny działacz
środowisk kombatanckich NSZ i AK,
wieloletni Prezes Koła SZŻAK w Strzelinie.*

*Uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem z Mieczami Orderu Krzyża Niepodległości,
Medalem Pro Bono Poloniae i innymi odznaczeniami.*

Niech odpoczywa w Pokaju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych

39/020/F

w tekście Ádáma Petri Lukácsa, warto zaznaczyć, że autor ma żydowskie pochodzenie i oburza się na wstępie tym, że pelen dwuznaczności wywiad został opublikowany (przy-padek?) w Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu.

„Umieszczenie kogoś w tym samym zdaniu, w którym przywołuje się osobę zaangażowaną w budowanie hitlerowskiego porządku prawnego, nie jest najbardziej subtelnym sposobem nazwania kogoś nazistą. [...] Jednak prawdziwym powodem, dla którego wzmianka Tuska spowodowała tak wielki ból i tak mocno upokorzyła, jest fakt, że unieważnia ona cierpienie i śmierć ofiar Shoah. Bo jeśli Carl Schmitt byłby dumny z Orbána, oznaczałoby to, że istnieje podobieństwo między światem nazistowskich Niemiec i współczesnymi Węgrami” – pisze Lukács. I dodaje: „Orbána można krytykować na wiele sposobów, bez obrażania pamięci, bez obrażania potomków ocalałych i zamordowanych przez nazistów, albo przez Węgrów, którzy z nimi kolaborowali”.

To musiało Tuskiem wstrząsnąć. Nie jest przyzwyczajony do tak otwartej krytyki, do tej pory był raczej pieszczochem mediów liberalnych, inne bagatelizował. Mainstream zawsze mu pomagał, tak jest i tym razem. Tabloid „Fakt”, wydawany w Polsce przez szwajcarsko-niemiecki koncern medialny, na pierwszej stronie stawia żądanie węgierskim mediom: „Przepróście Tuska!”. Z taką osłoną można sobie hasać i nie brać żadnej odpowiedzialności za słowa. Przy najmniej w warstwie publicystycznej. W polityce jest nieco inaczej, ale też sporo uchodzi „królowi Europy” na sucho.

Po wprowadzeniu przez Orbána stanu zagrożenia Tusk publicznie rozważał usunięcie Fideszu z kierowanej przez siebie EPL. „Stan wyjątkowy lub stan zagrożenia muszą służyć rządowi w walce z wirusem, a nie wzmocnieniu władzy nad obywatelami” – napisał w liście do członków ugrupowania. „To polityczna schizofrenia. W Polsce domaga się stanu wyjątkowego, a węgierską partię chce za to samo wyrzucić z EPL” – komentował Zbigniew Kuźmiuk, europoseł PiS. Kiedyś mówiło się, że w polityce porusza się równie sprawnie jak na boisku, ale tym razem wykonał chyba o jeden zwód za dużo.

Po oburzającej okładce „Faktu” Jacek Karnowski w imieniu zespołów redakcyjnych tygodnika „Sieci” i portalu wPolityce.pl napisał list do Węgrów (publikujemy go na s. 3), w którym zwrócił uwagę na być może najważniejszy element działania Tuska: „Cała operacja może mieć na celu skłócenie Polaków i Węgrów, połączonych szczerymi i silnymi więzami przyjaźni. Jest charakterystyczne, że brutalne oskarżenia przeciwko rządowi węgierskiemu wysuwa Donald Tusk, a do tego wysuwa je w niemieckiej prasie. Sprawia to wrażenie, że były premier realizuje zapotrzebowanie głównych ośro-

ków politycznych Unii Europejskiej, w tym Berlina, które jednocześnie same nie wypowiadają skandalicznego oskarżenia, cedując to zadanie na Europejczyka pochodzącego ze wschodniej części kontynentu. Chwilę później oliwy do ognia dolewa gazeta będąca własnością niemiecko-szwajcarskiego koncernu. Jest to być może operacja sprytnie pomyślana, ale jednocześnie bardzo czytelna”.

Prof. Chwedoruk zaś tak analizuje międzynarodowy kontekst działania przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej: – Przeżywająca od kilkunastu lat wielopoziomowy kryzys Unia Europejska będzie się musiała na coś decydować. Albo wykona krok do tyłu, by utrzymać całość, albo pogłębi integrację. To ostatnie oznaczałoby daleko idące zmiany w europejskiej polityce, a obecne rządy w Polsce i na Węgrzech – przy wszystkich różnicach między nimi – niekoniecznie pasowałyby do roli prymusów pogłębiania integracji i osłabiania kompetencji państw członkowskich. Myślę, że Donald Tusk zdaje sobie z tego sprawę i jego utrzymywanie się w debacie transnarodowych europejskich partii wymaga takiej właśnie postawy – przedstawiania siebie na forum międzynarodowym jako antytezy Orbána i liderów polskiej prawicy. To może tłumaczyć, dlaczego to on pełni dosyć symboliczną, ale dającą dostęp do opinii publicznej, reprezentacyjną funkcję szefa EPP.

Tusk jest atrapą mitu, którego PO nie ma. Bo nie może się odwołać np. do mitu patriotyzmu, niepodległości. Ale może mieć mit Polaka, który został „królem Europy” i kiedyś przyjdzie, coś powie i wszystko się zmieni – analizuje prof. Zybertowicz

ATRAPA MITU

Tyle że to wszystko to nowe odsłony strategii Tuska sprowadzającej się tylko do jednego – gry na siebie. Na losy swojej partii patrzy z wysoko, choć już nie z błyszczącego tronu szefa RE. Wydaje się też, że podobnie traktuje Polskę. Jeśli wyraża o nią troskę, to tylko w zdaniu, w którym przy tej okazji może uderzyć w PiS. Na ponad 400 stronach swojej książki dowodzi, że w czasie dwóch kadencji w Radzie Europejskiej zabieganiem o interesy swojej ojczyzny nie zajmował się w ogóle. Dlaczego więc większość platformersów wciąż patrzy na niego jak na bóstwo?

– Każda wielka formacja polityczna, która rządziła, a chce znów sprawować władzę, która chce zawładnąć wyobraźnią wyborców, potrzebuje mitu. I Tusk jest atrapą mitu, którego Platforma nie ma. Bo nie może się odwołać do mitu patriotyzmu, niepodległości, mitu mesjanistycznej, wybitnej roli Polski między Wschodem a Zachodem. Dlatego że uwierzyła w polskość jako nienormalność. Ale może mieć mit Polaka, który został „królem Europy” i kiedyś przyjdzie, coś powie i wszystko się zmieni. Wprawdzie wystąpienia Tuska w zeszłym roku ani na Uniwersytecie Warszawskim, ani na uniwersytecie w Poznaniu, ani na obchodach 4 czerwca nic nie zmieniły, ale mity – jak wiadomo – są wodoszczelne,

odporne na kontakt z rzeczywistością, więc atrapa tego mitu trwa – analizuje socjolog prof. Andrzej Zybortowicz.

Tyle że ta atrapa nic Platformie nie daje. Nieważne, cokolwiek by Tusk powiedział, na jakim wiecu czy wykładzie by wystąpił, pozycja partii się degraduje. Małgorzata Kidawa-Błońska w niedawnym wywiadzie dla hiszpańskiego dziennika „El País” została zapytana, czy Donald Tusk do niej zadzwonił po ogłoszeniu jej startu, czy często rozmawiają, co jej doradza. Była w stanie powiedzieć tylko tyle: „Czasami rozmawiamy. Jedyną radą, jaką mi dał, było kierowanie się intuicją, i to właśnie robię. Intuicja jest bardzo ważna w polityce”.

Brzmi to tyleż infantylnie, ileż wręcz nieprawdopodobnie. Ale nie można wykluczyć, że Tusk nie miał Kidawie-Błońskiej więcej do powiedzenia. Raz, że musi wiedzieć, iż jej kandydatura jest coraz bardziej kabaretowa (może nawet żałuje swojego wsparcia i meldunku o „gotowości bojowej”), dwa – że niespecjalnie przejmuje się losem PO.

TUSKA NIE MA

Dlatego coraz częściej mogą się pojawiać takie głosy jak posła PO Bogusława Sonika, który 19 marca napisał: „Dobrze by było znać stanowisko Europejskiej Partii Ludowej w sprawie dość dramatycznej sytuacji zdrowotnej w UE. Czekam”. To nie tylko wyraźny sygnał dystansu krakowskiego parlamentarzysty do szefa EPP, lecz wręcz oskarżenie o bezczynność w tak gardłowym momencie jak pandemia wirusa.

Zauważa to w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” również Paweł Kukiz, dziś w taktycznym sojuszu z PSL, kiedyś zwolennik Tuska: – Wątpię, żeby w Platformie wsłuchiwali się w jego głos. Gdyby tak było, to jego wystąpienia miałyby jakiś sens. A nie mają. Są równie ważne jak wypowiedzi Lecha Wałęsy czy Aleksandra Kwaśniewskiego. Ja już o Tusku zapomniałem. Dziwię się, że wy pamiętacie. Ten nasz system polityczny wyciąga na szczyty, by później z nich strącić. I Tusk jest już strącony. Nie jest w stanie odbudować znaczenia, jakie miał przed ewakuacją do Brukseli – a jestem przekonany, że to była ewakuacja po rozmowach u Sowy. Jego pozycja wynika bardziej z marketingu medialnego niż z rzeczywistego istnienia w świadomości społecznej. Gdyby media o nim nie pisały, to ludzie by zapomnieli, że ktoś taki był. Jego od dawna nie ma!

„Gazeta Wyborcza”, TVN czy „Newsweek” nie dają mu zbudzić się ze snu o potęgze, wciąż składając hołdy i wielbiąc jako najwybitniejszego polskiego polityka. Ale fakty są takie, że Tusk rzeczywiście jest na marginesie krajowej polityki, bez dającej się nakreślić perspektywy powrotu. Może czekać na okazję do kolejnego przewrotu w Platformie, ale ta nie musi

Tusk nie jest w stanie odbudować znaczenia, jakie miał przed ewakuacją do Brukseli. Gdyby media o nim nie pisały, to ludzie by zapomnieli, że ktoś taki był. Jego od dawna nie ma! – mówi Paweł Kukiz

wcale się nadarzyć. Kidawa-Błońska i szefostwo partii ciągną PO na dno, a wynik nadchodzących wyborów zapowiada się dla nich na nie lada szok i początek prawdziwego końca tej formacji.

To też przyczynek do refleksji nad tym, że spośród liderów opozycji jako jedyny w ostatnich latach cokolwiek zrozumiał Władysław Kosiniak-Kamysz. I dziś zbiera owoce zmiany wizerunku PSL, stylu uprawiania polityki. Cała Platforma, a Tusk w szczególności, tkwią mentalnie w 2015 r., wciąż znokautowani utratą władzy i wpływu na polskie sprawy. Na kolejne wyzwania odpowiadają tą samą receptą: ude-

rzyć tak mocno, by to przekłete PiS już się nie pozbierało.

Z takim bielmem na oku Tusk nie odzyska pozycji. A przy jego poziomie megalomanii może jedynie karmić swoją agresję. Po czasie zostaną z tego wyłącznie obrzydliwe wpisy na Twitterze i kołaczące w głowie niedowierzanie: jak ktoś tak toksyczny mógł przez dwie kadencje rządzić Polską?

REKLAMA

**RADIO
arszawa**
106,2 FM

**DOBRE SŁOWO
NA FALI**

**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**

www.radiowarszawa.com.pl

54/0320/F



Te wydarzenia zapamiętają pokolenia

Wirus przypomniał ludzkości, że nie jest wszechmocna, że są momenty, w których jesteśmy bezsilni. Wspaniale rozwinięta nauka, medycyna, które wszystko mogą, tutaj rozkładają ręce. Ale są i lepsze wiadomości

*Michał Karnowski rozmawia z **prof. Zdzisławem Krasnodębskim**, socjologiem, filozofem społecznym, publicystą, posłem do Parlamentu Europejskiego*

Jak pan profesor odczytuje tę sytuację, w której znalazła się nasza cywilizacja? Natura się odezwiała? Zareagowaliśmy zbyt pochopnie, z przesadnym strachem? Jak wyjść z tego zatrzymania, zamrożenia całego świata?

Zdzisław Krasnodębski: Już z tego ostatniego względu zdarzenia, które obserwujemy, w których uczestniczymy, są wyjątkowe. Mimo postępującej globalizacji rzadko zdarzają się sytuacje o tak prawdziwie globalnym, wszechogarniającym charakterze. W tym wymiarze można to porównać do wojen światowych, które nawet jeśli nie toczyły się na całym świecie, to ich echa i konsekwencje docierały do każdego zakątka ziemi, wpłynęły na losy całego świata. To, co uderza w kryzysie wywołanym epidemią COVID-19, to podobieństwa zagrożeń, z jakimi stykają się ludzie w każdym miejscu, od Reykjavíku przez Hawaje po Chiny. To pogłębia globalny charakter tych wydarzeń. Warto też zauważyć, że to pierwszy tak głęboki kryzys uderzający w pokolenie do tej pory żyjące w warunkach rozwoju gospodarczego, otwartych granic, nieograniczonych – wydawało się – możliwości. Zwłaszcza ci, którzy wchodzili w życie po 1989 r. i nie pamiętają np. okresu ko-

munizmu, zderzają się teraz z czymś dla nich wyjątkowym, nieznanym.

Co ciekawe, to pokolenie zupełnie inaczej odczytywało wyzwania czasu: ochrona planety, natury przed człowiekiem była dla nich zasadniczym wyzwaniem.

Tak, kwestie klimatu i natury, uosabiane przez niezwykle popularną Gretę Thunberg, były wysuwane na plan pierwszy. Uważano, że to ekspansywność człowieka jest głównym zagrożeniem dla ludzkości i planety. W instytucjach unijnych głównym tematem był plan uczynienia gospodarki bezemisijną do roku 2050.

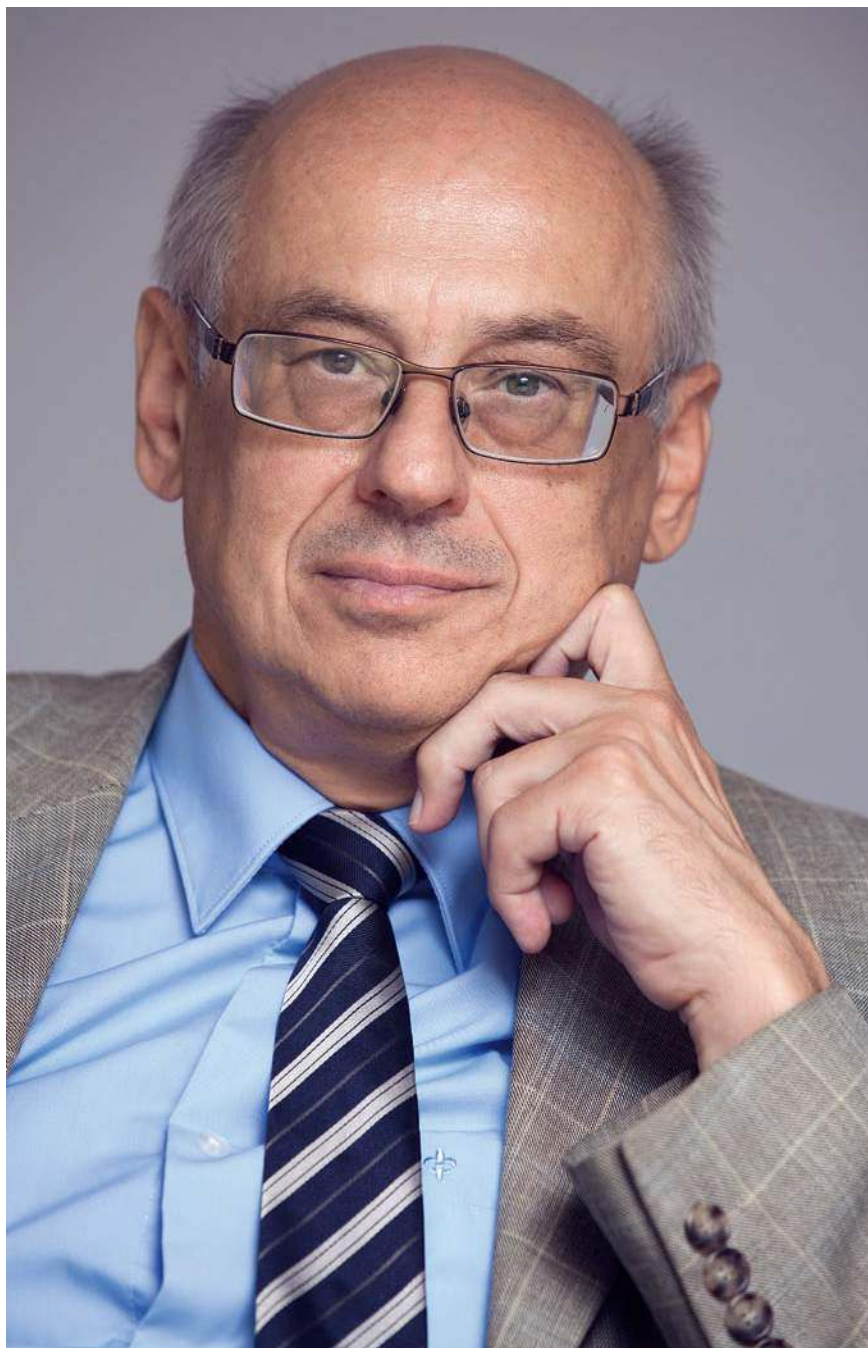
I likwidacja plastiku, torebek jednorazowych, pojemników, rękawiczek – które dzisiaj są produktem pierwszej potrzeby. To się skończyło?

Na pewno pandemia przypomniała ludzkości, że nie jest wszechmocna, że są momenty, w których jesteśmy bezsilni. Wspaniale rozwinięta nauka, medycyna, które wszystko mogą, tutaj rozkładają ręce. Przypomina mi się charakterystyczna okładka tygodnika „Der Spiegel” z jesieni ubiegłego roku, ze starszą panią na okładce, która głosiła, że naukowcy są o krok od przezwyciężenia śmierci, że być może lu-

dzie nie będą w ogóle umierać. I nagle się okazało, że na koronawirusa nie ma szczepionki, nie ma terapii, nie ma wiedzy zupełnie podstawowej o tym, jak ten wirus się przenosi, mutuje, reaguje.

A odpowiedź na epidemię okazuje się zasadniczo taka sama, jak ta opisywana przez Daniela Defoe w „Dzienniku roku zarazy”, wydanym w 1722 r., a opisującym epidemię z roku 1665: siedzieć w domach, unikać innych. Trochę przerysowuję, bo koronawirus to nie dżuma, ale bezradność ludzi jest taka sama.

Ma pan rację, bo ta epidemia w jakimś sensie cofa nas w historii. Wywołuje poczucie bezradności, zamknięcia, lęku przed zarażonymi. Podaje w wątpliwość optymizm wywołany postępem technicznym, rozwojem systemów cyfrowych. Jeszcze niedawno niektórzy przypominali wręcz, że oprócz świata cyfrowego jest jeszcze świat tradycyjny, analogowy. A tu nagle się okazało, że wspaniała technika nie jest w stanie zastąpić przebywania z sobą nawzajem, że rozmowa toczona przez komunikatory nie jest pełna, prawdziwa do końca, nie pozwala wszystkiego przekazać. Ludzkość nie jest tak „oświecona”, jak się jej zdaje.



Fot. Andrzej Wiktoria

Mimo prób przejścia na tryb cyfrowy szkoły stanęły, wiele firm zatrzymało produkcję, uniwersytety nie mogą działać. Zaskakujące, jak ważna wciąż jest relacja człowieka z człowiekiem i jak słabe są narzędzia ją zastępujące. Dlaczego?

To nie te narzędzia są słabe, ale nasz optymizm był zbyt wielki. Żyliśmy w przesadnym zadowoleniu z możli-

wości, jakie uzyskał człowiek. Jeżeli pojawiał się wcześniej jakiś pesymizm, to dotyczył niebezpieczeństw, jakie wiążą się z siłą człowieka, który już może wszystko. Te przekonania się załamały i tu jest istota wstrząsu, jaki obserwujemy. Co ciekawe, najbardziej sparaliżowane są miejsca uchodzące za centra współczesnego świata. Widzimy opustoszały, wylud-

niony Nowy Jork, Rzym bez jednego turysty, martwe wielkie lotniska. Ceny ropy stają się ujemne. Ta refleksja sięga głębiej. Odzywają się głosy, że naukowcy, od których teraz zależy uratowanie wielu istnień ludzkich, pracują za marne pieniądze, a gwiazdom sportu czy popkultury płacimy sumy kosmiczne, co kilka lat na dodatek podwajane.

Czy za tym zdziwieniem może pójść coś więcej? Pogłębienie wiary? Powrót do religii? Mnie zabolęła pewna łatwość, z jaką się wszyscy zgodziliśmy na tak radykalne wygaszenie praktyk religijnych. Rozumiem, że niespecjalnie można sobie wyobrazić inny model w tych warunkach, ale jednak mnie zabolęło.

To jest w tej sytuacji też wyjątkowe i bolesne. Bez wątpienia to przeżycie dla wielu ludzi będzie momentem o tyle przełomowym, że skłaniającym do ponownego odczytania sensu własnej egzystencji. Możliwe, że to chwilowe, że ludzkość szybko wróci do stanu pierwotnego. Ale jakiś ślad bez wątpienia pozostanie. Mam nadzieję, że także w podejściu do spraw publicznych, wspólnych.

W zrozumieniu, że polityka to nie zabawa?

Na pewno powaga i odpowiedzialność, profesjonalizm i wiedza zyskały na wartości. Widać, jak bardzo mylili się ci, którzy reagowali odruchowo twierdzeniami, że koronawirus to rodzaj grypy. Ta pomyłka wiele społeczeństw będzie kosztowała bardzo dużo. Będzie to miało także konsekwencje na przyszłość – całej generacji uświadomi, jak krucha jest nasza rzeczywistość, że może się załamać. Czynników, które mogą ją załamać, jest wiele. Widzimy, czujemy, że i wojna nie jest wykluczona. A możliwe, że i inne nieszczęścia znane z filmów katastroficznych mogą nam się przydarzyć. Przecież także doniesienia o tej epidemii wyglądały na początku jak taki film – gdzieś tam daleko pojawiło się coś niebezpiecznego i zmierza do nas. Optymizm nakazywał wierzyć, że do nas nie dojdzie, nie w tej skali. A jednak zatrzymało to cały



świat. Sądę, że to może być przeżycie pokoleniowe na długo zapamiętane.

Po krótkim wahaniu, z małymi tylko wyjątkami, świat postanowił odpowiedzieć, wprowadzając zasadę społecznego dystansu. Polska była w szeregu państw, które zareagowały najszybciej, a co najważniejsze, zdecydowanie. Dziś w efekcie liczba ofiar na tle innych państw jest niewielka. Pytania o to, czy można było podjąć inną decyzję niż to społeczne zamrożenie, będą padały coraz częściej. Także w Polsce. Według pana profesora była jakakolwiek alternatywa?

Teoretycznie oczywiście tak. Można było próbować tego, co krótkotrwale promowano w Wielkiej Brytanii: zaryzykowania ścieżki odporności stadnej. Czyli założyć, że trudno, niektórzy umrą, ale zdecydowania większość się uodporni i będzie mogła szybko wrócić do pełni aktywności. Los dopisał do tej próby gorzką puentę, bo sam premier Boris Johnson ciężko zachorował. Pewnie nie oczekiwał, że to on będzie w tej grupie zamkniętej w słowach „no trudno”. Ale na dłuższą metę to rozwiązanie tak brutalne społecznie, że niemożliwe do zaakceptowania. Gdybyśmy w Polsce poszli tą drogą, skala katastrofy byłaby o wiele większa. Relacje z Lombardii pokazują nam, jak to jest kosztowne, jak głęboko i trwale dotyka społeczeństwa. Łamię się zasady cywilizacyjne, np. odmawia się ratowania tych, którzy nie rokują długiego życia, wyłącznie z racji swojego wieku, nie przeprowadza się godnych pochówków.

Na eksperyment „stadnej odporności” postawiła Szwecja, podobnie planowała początkowo Wielka Brytania. Co o tym zdecydowało?

Szwedzi by się pewnie obrazili z powodu takiego posądzenia, ale trudno zapomnieć o długiej tradycji eugenicznej w tym kraju.

W latach 30. ubiegłego wieku eugenika była szwedzką specjalnością.

Tak. Ale musimy jeszcze poczekać z ostatecznymi wnioskami. Nie wiemy, jaki pogląd ostatecznie zwycięży. Widzimy coraz więcej doniesień o protestach przeciw temu zamknięciu, dociera do ludzi koszt gospodarczy i społeczny, jaki się z tym wiąże. Nie jest wykluczone, że ponieważ epidemia nie zamierza szybko ustąpić, na jakąś formę pogodzenia się z pewnymi stratami będą się decydowały kolejne kraje. Wracając do pytania, czy Polska mogła postąpić inaczej? Chyba nie. Nasza kultura polityczna, prawna, jest bardziej deontologiczna niż utilitarystyczna. W sytuacji kiedy mamy wybór między ratowaniem ludzi

Ta refleksja sięga głębiej. Odzywają się głosy, że naukowcy, od których teraz zależy uratowanie wielu istnień ludzkich, pracują za marne pieniądze, a gwiazdom sportu czy popkultury płacimy sumy kosmiczne, co kilka lat na dodatek podwajane

a wzrostem gospodarczym, uważamy, iż nie ma wyboru – człowiek, ochrona słabszych są w centrum naszego myślenia. To nie była zresztą tylko decyzja władz, ale i społeczeństwa. Świadcą o tym zrozumienie, z jakim przyjęto restrykcje, dyscyplina. W każdym razie w pierwszych tygodniach.

Tu dochodzimy do bardzo ciekawego wątku, jakim jest stosunek społeczeństw do osób starszych. Przekonanie, nie zawsze prawdziwe, że wirus zabija przede wszystkim seniorów, postawiło to zagadnienie bardzo ostro.

To jest właśnie istota myślenia eugeniczno-utilitarystycznego. We-

dle tego poglądu człowiek, który nie jest już produktywny, nie ma pełnej wartości i jego życie nie jest warte zubożenia aktywnych. Nikt tego wprost nie wypowie, ale uderza np., jak słabo zabezpieczono w bogatych i jednak sprawnie działających w tym kryzysie Niemczech domy opieki nad starszymi. Umarło tam bardzo wielu ludzi, bo nie zabezpieczono tych miejsc wystarczająco. Ten konflikt interesów pokoleń jest gdzieś gdzie wyczuwalny. Warto tu przywołać wypowiedź jednego z hiszpańskich posłów do Parlamentu Europejskiego, z Europejskiej Partii Ludowej, który przypominał, że przecież tu chodzi o ludzi, którym Europa zawdzięcza swój dobrobyt, którzy go wypracowali. Warto o tym pamiętać, choć akurat w Polsce szacunek do osób starszych, do weteranów walki o wolną Polskę, jest czymś żywym, autentycznym, podobnie zresztą jak chrześcijański personalizm, przekonanie, że każda osoba ludzka jest niepowtarzalna, że każdy człowiek jest dzieckiem Bożym, niezależnie od tego, ile ma lat i na co choruje.

Wiele społeczeństw zachodnich jest przeoranych choćby przez masową imigrację, co też burzy więź pokoleń. Przyjeźdźni niekoniecznie mają uczucia wdzięczności wobec starszych generacji. Nic ich z nimi nie łączy.

To jest istotny wątek. We Francji otwarcie się mówi, że w wielu zamkniętych społecznościach imigranckich nie da się wymusić żadnego społecznego dystansu, żadnych restrykcji. I policja nawet nie próbuje tego narzucić. Znowu trwają zamieszki w sławetnych „banlieues”. Z tego wszystkiego płyną ważne polityczne wnioski. Po pierwsze, jak ważne jest w momencie kryzysu poczucie wspólnoty społecznej i narodowej, poczucie obowiązku z tej przynależności do wspólnoty wynikające. Po drugie, słabość więzi europejskiej w stosunku do tej narodowej. Kluczowa okazała się sprawczość rządów państw narodowych, a Unia Europejska na chwilę stała się tym, czym

przede wszystkim jest – kasą zapomogową, finansowaną zresztą ze składek państw członkowskich, o czym zawsze warto przypominać.

Nie zaskoczyło pana profesora, jak błyskawicznie odtworzyły się w Europie granice państw narodowych? Kilkadziesiąt godzin wystarczyło, by znowu kontynent przeorały bariery, a obywatelstwo państwa stało się czynnikiem rozstrzygającym o prawach obywatela. Wrócić do wizji Europy, w której państwa należy roztopić, będzie chyba trudno?

To zobaczymy. Niektórzy wyciągają z tych wydarzeń wniosek odwrotny, że rzeczywiście tak się okazało, ale właśnie dlatego, iż nie dokończyliśmy budowy europejskiego superpaństwa. Takiej ofensywy możemy się spodziewać. Ale czy mnie to zdziwiło? Nie. Jestem eurerealistą. Od sześciu lat obserwuję te struktury z bliska jako poseł do Parlamentu Europejskiego, wcześniej zajmowałem się nimi jako naukowiec. I nie ma złudzeń, że zmierzch państw narodowych to tylko wykreowana iluzja, w państwach peryferyjnych, biedniejszych szczególnie mocno. Bo one potrzebują funduszy, bo istnienie Unii jest gwarancją ich jakiejś takiej suwerenności, bo są szczególnie doświadczane przez komunizm. Ale każdy znający Europę wie, że ani przez moment nie zniknęły państwa. Ktoś, kto przekracza granicę niemiecko-francuską w Alzacji, wie, że mimo pojednania, współpracy, Unii to są dwa narody odmienne, z sobą konkurujące. Ostatnio zdarzyła się tam zresztą seria incydentów, nawet aktów szowinizmu, kiedy Niemcy uznali, że z Francji może przyjść zarazą, było tam dużo przypadków skrajnej ksenofobii. Zareagowali lokalni politycy, ale to pokazuje, jak kruche są te złudzenia o końcu narodów, jak wielka to iluzja. Smutno myśleć, że są w Polsce ludzie uważający się za patriotów UE, będący fanatykami unijnymi. Ma to dla naszego życia publicznego dewastujący skutek. Unia Europejska jest ważna dla Polski, ale to nie nasza ojczyzna, a jedynie polityczna forma organizująca relacje polityczne państw europejskich.



Fot. Andrzej Wiktor

W naszej ojczyźnie epidemia przy-padła na moment prezydenckiej kampanii wyborczej, postawiła też w centrum pytanie o sprawność państwa polskiego. Jak wypada ten egzamin? Czy można już próbować oceny?

Poszczególne działania zawsze mogą być lepsze lub gorsze, ludzie też nie zawsze w pełni zdają egzamin, to jest naturalne. Ale całościowo wydaje mi się, że nie jest przesadą stwierdzenie, iż jest szczęściem w nieszczęściu, że w tak trudnym czasie mamy taki rząd, z premierem tak kompetentnym, tak dobrze orientującym się w meandrach polityki gospodarczej, finansowej. Ma to ogromne znaczenie w negocjacjach o budżecie unijnym, który będzie teraz w sposób oczywisty inny. Wypowiedzi Mateusza Morawieckiego w europejskiej prasie wyróżniają się poziomem, widać tam wysoki poziom zrozumienia wyzwań stojących przed całą Europą. Mamy też sprawnego ministra zdrowia, oczywiście najpierw wychwalanego, teraz atakowanego z powodów politycznych, ale w oczach Polaków bez wątpienia dobrze zdaje on egzamin.

Na koniec zapytam: jaki będzie świat, jak to wszystko się skończy?

W mojej ocenie pandemia zakończy tendencje, które już wcześniej się pojawiały. Kryzys ideologii globalizmu, rozumianego jako otwarcie wszystkiego, prywatyzacja wszystkiego,

dominacja liberalizmu, zaczął się już wcześniej. Sądzę, że to się nasili, zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych, gdzie zaniepokojenie skutkami przenoszenia całej produkcji do Chin pojawiało się już wcześniej, mocno wyrażał je prezydent Donald Trump. Obawiam się też, że ten kryzys wzmocni tych, którzy już wcześniej byli silni, jak Niemcy, które wchodzi w ten czas z ogromnymi zasobami finansowymi. Kluczowa dla przyszłości Unii będzie też relacja między Północą a Południem, w tym kwestia euroobligacji i pytanie, czy Francja przyjmie potulnie rolę podporządkowanego partnera. Ale też z drugiej strony objawiła się duża zależność od dostawców i siły roboczej z krajów biedniejszych, od rynków zbytu. I tu pojawia się coś, co może być wielką szansą dla Polski. Bo jednak zdołaliśmy już trochę zbudować, zgromadzić zasobów, mamy atuty jako duży rynek wewnętrzny. Polskie społeczeństwo jest też niezwykle odporne, elastyczne, umie się dostosowywać do nowych warunków. Na tym buduję swój optymizm.

I pamiętamy komunizm. Dla tych pokoleń, które to przeżyły, słowo „kryzys” zawsze będzie znaczyło coś innego.

Tu akurat zgoda, ale mam nadzieję, że tak źle nigdy już w Polsce nie będzie. ▀



Dosyć tego!



Fot. Shutterstock

*Wobec wzburzającej pogardy do Polaków:
„nie umieją wybierać”, „nie są w stanie”
zagłosować korespondencyjnie, w odróżnieniu
np. od cywilizowanych Bawarczyków, wobec
już nieskrywanej chęci zaszkodzenia Polsce,
nie można dłużej być biernym*



ANDRZEJ NOWAK

Rząd Polski nieustannie się tłumaczy, usprawiedliwia wobec najbardziej demagogicznych, codziennych oskarżeń i łgarstw ze strony mediów tworzących tzw. opozycję. Po co? Jak długo można bawić się w tak jałowy sposób? Czy rząd nie powinien raczej codziennie podkreślać wymiernych już efektów swoich w porę podjętych starań, dobrej współpracy z większością społeczeństwa i ofiarnej pracy polskiej służby zdrowia? Owe efekty to po prostu jeden z najniższych wskaźników zachorowań i ofiar śmiertelnych związanych z pandemią koro-

nawirusa, na pewno najniższy wśród większych krajów UE (z gospodarką powyżej pół bln euro PKB).

Piątek, 17 kwietnia. Znowu sprawdzam ponurą statystykę ofiar pandemii. W Polsce: 8,4 tys. zarażonych, 332 zmarłych. Dla porównania: Hiszpania – 189 tys. zarażonych, 19,5 tys. zmarłych; Niemcy – 140 tys. zarażonych i 4,2 tys. zmarłych; Francja – 148 tys. zarażonych i 19 tys. zmarłych; w Belgii (mającej cztery razy mniej ludności niż Polska) zmarło dotąd 5,2 tys. osób. W Holandii: 3,5 tys. W Szwecji (w kraju również cztery razy mniej ludnym niż Polska, za to dysponującym ponad dwukrotnie większym terytorium, pozwalającym łatwiej zachować „dystans” między ludźmi), tak chwalonej za swą politykę – 1,4 tys. zmarłych.

Przypomnijmy też i to. Francja, pod naciskiem przywódcy europejskich liberalów, prezydenta Macrona przeprowadziła w momencie rozpadzającej się na jej terenie pandemii wybory

municipalne, „normalne”, nie korespondencyjne. Po to tylko, żeby przeprchnąć do drugiej tury wyborów na mera Paryża kandydatkę partii tegoż prezydenta Macrona, w dodatku odpowiedzialną w krytycznym momencie za resort zdrowia w rządzie francuskim! Miliony ludzi poszły do urn wyborczych, zapewne dziesiątki tysięcy się zaraziło. Na szczęście kandydatka Macrona odpadła w tej rundzie. Dzięki temu francuski „mały cesarz” laskawie zrezygnował z przeprowadzania drugiej tury i wywołania kolejnej, jeszcze większej tragedii. W Hiszpanii lewacki rząd zachęcił setki tysięcy obywateli i obywaterek do udziału w wielkich manifestacjach feministycznych. To było 8 marca – kiedy już były pierwsze ofiary śmiertelne pandemii w tym kraju. Przez ideologiczne, zbrodnicze w konsekwencjach zaciętrzewienie lewackiego rządu i tu dziesiątki tysięcy ludzi uległo zarażeniu, zapewne wielu w konsekwencji zmarło. I co?

Nic. Na ławie oskarżonych sadzana jest Polska i jej rząd.

Dlaczego jednak „ten kraj”, przecież wiadomo: najgorszy, zacofany, rządzony przez pazerną faszystowską klikę, ma tyle razy mniej chorych i tylekroć mniej ofiar niż stawiane nam zawsze za wzór, znakomicie rządzone kraje cywilizowanego postępowego Zachodu? Dlaczego z tym wyzwaniem, jakim jest masowa choroba, nie potrafią sobie poradzić nasi nauczyciele z Brukseli czy Paryża? Dlaczego radzą sobie, inaczej to ujmując, tyle razy gorzej niż my, ubodzy i ciemni uczniowie, a właściwie pacjenci z „gorszej Europy”?

Mieszające w umysłach milionów Polaków media, które prowadzą od lat oszałamiającą nienawiść i żądy władzy wojnę z obecnym, demokratycznie wybranym rządem, mają już dwa wytłumaczenia tego fenomenu. Jedno, spiskowe, jak z protokołów mędrców Syjonu. W roli nienawistnych żydowskich mędrców obsadzeni są tym razem członkowie elity kierowniczej PiS, którzy w krwawej konspiracji ukrywają „ciemne liczby” ofiar. To jedna wersja, popularna wśród części czytelników „Wyborczej” i widzów TVN. Druga jest jeszcze lepsza, bo prosta. Polska została przez chorobę (najwidoczniej niesprawiedliwie!) oszczędzona po prostu dlatego, że jest peryferią, że jest prymitywna, że do tego „polskiego zadupia” (jak określa „ten kraj” pewna znana już tylko z chamskiego języka eksaktorka) – nawet modne choroby nie docierają w porę z szerokiego świata. Nie negując głębi tego wytłumaczenia, chcę jednak stanąć w obronie dobrego imienia lepszej części naszego społeczeństwa: przecież choćby dała nam przykład „trzecia osoba w państwie”, jak mamy jeździć do zarażonych już Włoch i jak wracać stamtąd, bez ostrzeżenia nawet najbliższych współpracowników. I trudno zaprzeczyć, że jednak dziesiątki tysięcy Polaków, może nawet setki tysięcy, po Europie i po świecie jeżdżą, a raczej jeździli. Tak całkiem ustronnie w tym naszym „dzwonickim kącie” to nie jest.

A jednak jesteśmy wciąż pouczeni. Nauczyciele i terapeuci ze stolic poprawnności politycznej nie mogą rozstać się z rolą tak tragicznie teraz już

anachroniczną. Sekciarska część naszej opozycji wciąż sufluje Parlamentowi Europejskiemu, TSUE, zaprzężonemu mediom (od „Süddeutsche Zeitung” do „Le Monde” i „Economista”) kolejne „recepty” na wyleczenie Polski z demokracji i zastąpienie jej werdyktu wyrokiem tych, którzy „wiedzą lepiej”, bo są „lepiej urodzeni”. Wobec tej wzbierającej pogardy do Polaków („nie umieją wybierać”, „nie są w stanie” zagłosować korespondencyjnie, w odróżnieniu np. od cywilizowanych Bawarczyków), wobec już nieskrywanej chęci zaszkodzenia Polsce, nie można dłużej być biernym.

Jeśli część opozycji i natchniony przez nią Parlament Europejski wzywają do rezygnacji z wyborów – w imię demokracji – to może warto, żeby prezydent RP wystąpił do tejże opozycji i tegoż Parlamentu z prostym pytaniem: czy rząd Polski powinien wprowadzić stan wyjątkowy (ze wszystkimi tego prawnymi, a także ekonomicznymi, zabójczymi dla polskiej gospodarki, konsekwencjami)? I to w momencie, kiedy jednocześnie ogłaszać będzie już zdjęcie większości restrykcji związanych z realnym przebiegiem pandemii? Czy ludzie w Polsce będą mogli znów pójść do pracy, a nawet bawić się razem, choćby w niewielkich grupach, ale ma im być odebrane prawo do oddania głosu, choćby korespondencyjnie, w wyborach prezydenckich – w jedynym ich konstytucyjnym terminie? Taka decyzja jest jedyną możliwością, jaka pozostaje, kiedy przyjmie się żądanie opozycji i „elit Europy”, by nie przeprowadzać w maju wyborów, nawet w korespondencyjnej formie.

Może lepiej od razu zdecydować za polski, wybrany w niedawnych przecież wyborach parlamentarnych rząd i ogłosić, że powinien on oddać władzę – jedynie słusznej opozycji? Przecież o to w tej zmasowanej, gigantycznej kampanii nienawiści chodzi. O to, żeby ci, którym żadne poważne sondaże nie dają i nie dawały szans na wygraną w wyborczych szrankach w Polsce, mogli te szranki wyminąć i otrzymać wieniec zwycięzców z rąk właścicieli Onetu, niemieckich gazet w Polsce, Parlamentu Europejskiego i TSUE?

Wybory korespondencyjne w maju nie będą świętem demokracji, bo to

nie jest dobry czas na świętowanie. Będą wypełnieniem konstytucyjnego zobowiązania w trudnych, niesprzyjających warunkach. Obecna władza ma obowiązek te wybory przeprowadzić i stara się to zrobić, minimalizując jednocześnie – przez formułę wyborów korespondencyjnych – ryzyko związane z cofającym się chwilowo, ale wciąż, prawdopodobnie przez najbliższych kilkanaście miesięcy, groźnym koronawirusem.

Pytam zatem fanatyczną część opozycji o alternatywę dla tego rozwiązania. Otóż jest nią w istocie rezygnacja z wyborów albo też wyznaczenie takiego ich, niekonstytucyjnego terminu, który miałby zagwarantować przejęcie władzy tej opozycji. Przyznajcie to otwarcie. Odrzuciliście przecież nawet koło ratunkowe, które rzucił wam Jarosław Gowin, proponując wspólną decyzję o przeniesieniu wyborów na czas po pandemii, za cenę wielkiej ofiary ze strony urzędującego i cieszącego się największą popularnością obecnego prezydenta RP, który miałby zrezygnować z możliwości reelekcji. Odrzuciliście to koło, bo jedynym waszym celem i programem, który całkowicie was zaślepia, jest zatopić PiS. Jasno powiedział to wasz rzecznik, mecenas Giertych, w swoim „programie dla opozycji”. Cytuję ten program za Onetem: „W przypadku wygranej Andrzeja Dudy opozycja ma złożyć skargę do Sądu Najwyższego, który stwierdza ważność wyborów. Jeżeli wygra kandydat opozycji, wszystkie ugrupowania powinny je poprzeć, a wybory uznać za wiążące”.

W swoim opętanicznym dążeniu do władzy za wszelką cenę chcecie odrzucić nawet pozory demokracji i pozory troski o obywateli „tego kraju” – dla którego nic nie zrobiliście w ostatnich latach. Chcecie władzy (to samo w sobie nie jest złem w polityce), ale tylko po to, żeby wyrzucić zemstę. Zemstę za „krzywdę”, jaką jest podważenie przez „źle głosujących” wyborców polskich waszego „boskiego mandatu” zwierzchności nad tą nieszczęsną polską peryferią, nad pogardzanym przez was wschodnioeuropejskim „Nebenlandem” i jego niepoprawnymi tubylcami.



Gdyby ludzie zobaczyli, jak chorzy na COVID-19 walczą o każdy oddech, nie podejmowałiby ryzykownych zachowań. Tak uważają ci, którzy ciężko przeszli infekcję. Im więcej wiemy o koronawirusie, tym bardziej mamy powody, by się go obawiać

Walczyłem o każdy oddech

Kiedy kilka tygodni temu 29-letni minister środowiska Michał Woś ujawnił, że zachorował na koronawirusa i trafił do szpitala, wielu było zdziwionych. Uważano, że koronawirus jest groźny przede wszystkim dla ludzi starszych, z chorobami współistniejącymi. Od tego czasu zmieniło się sporo.

Minister Woś wyzdrowiał i jako ozdrowieniec oddał osocze, które ma pomóc chorym w zwalczeniu infekcji. Coraz powszechniejsza jest też wiedza, że koronawirus może być śmiertelnie niebezpieczny dla ludzi w każdym wieku.

Przypadek ministra Wośa jest też szczególny z innego powodu – bardzo otwarcie mówił o swojej chorobie, traktował to wręcz jako misję, która ma uświadomić młodym ludziom, że także oni są zagrożeni i muszą uważać.

Na koronawirusa zachorowali również inni członkowie elit politycznych: europoseł PSL Adam Jarubas i poseł Solidarnej Polski Edward Siarka.

Ale tysiące chorych jest anonimowych i na tej anonimowość im zależy. Wytyczne Ministerstwa Zdrowia są jasne: kiedy podawane są informacje o nowych zachorowaniach, należy podawać liczbę chorych w powiatach, absolutnie nie w gminach. Powód jest oczywisty: chodzi o to, by chronić osoby chore przed identyfikacją przez otoczenie, bo może to spowodować niepożądane reakcje.

– Kiedy oglądaliśmy telewizję, jak znakomicie zachowują się terytorialsi z Wojsk Obrony Terytorialnej, niosąc pomoc w czasie pandemii, albo dowiadujemy się o akcjach harcerzy, możemy się cieszyć. Ale oni wszyscy przeszli szkolenie, jak zachowywać się w trudnych sytuacjach. Zwykli ludzie zachowują się czasem zupełnie inaczej – mówi mi 47-letni Robert, który ciężko przechorował infekcję koronawirusem.

Zetknął się ze skrajnie wrogą reakcją mieszkańców swojej miejscowości. On i jego partnerka byli pierwszymi chorymi w Kalwarii Zebrzydowskiej, informacje o zakażeniu pojawiły się na lokalnych portalach.

– Niektórzy chcieli, by drzwi naszego mieszkania pomalować czerwoną farbą. Ograniczono się ostatecznie do ostrzegawczych kartek na klatce schodowej i przy wejściu. Żądano naszej eksmisji. Zadzwońm do prezesa spółdzielni. Powiedziałem, że nie stanowimy żadnego zagrożenia, bo siedzimy w domu i nie zbliżamy się do kratek wentylacyjnych ani nie wychodzimy na balkon – opowiada mi Robert.

Ta historia tłumaczy, dlaczego w mediach relacje osób, które chorowały na koronawirusa, prawie się nie pojawiają.

Relacja Roberta jest wyjątkowa: przeszedł chorobę bardzo ciężko. Wydawało się wręcz, że może być jedną z osób,



MAJA NARBUTT

które uwzględni się w ponurej statystyce ofiar wirusa.

ATAK NA KOMANDOSA

– Kiedy przyjechał po mnie transport medyczny, pożegnałem się z rodziną, jakbym więcej miał ich nie zobaczyć. Czulem się koszmarnie. Koronawirus zwałił mnie z nóg,

zapadłem się w sobie, byłem tak słaby, że myślałem, iż tej walki chyba już nie wygram – mówi Robert.

Wszystko wskazywało na to, że nie powinien przechodzić infekcji COVID-19 tak ciężko. Nie tylko z uwagi na wiek, lecz przede wszystkim ze względu na ponadprzeciętną wydolność organizmu i sprawność fizyczną. Był żołnierz zawodowy, który odbył misję w Afganistanie i Iraku, skoczek spadochronowy i instruktor strzelectwa oraz narciarstwa, był w doskonałej formie.

Jednak bardzo szybko się okazało, że choroba postępuje błyskawicznie i ma dramatyczny przebieg. Pierwszy sygnał można było pomylić z grypą. Łamanie w kościach było jednak mocniejsze niż w wypadku grypy, a to był dopiero początek.

– Następnego dnia zacząłem się mocno pocić i poczułem dziwne gorąco, które przemieszczało się po moim ciele. Trudno to opisać, czulem, jak to gorąco obejmuje część mojej głowy. Towarzyszył temu silny ból. Potem gorąco przesunęło się, jakby pełzło i obejmowało inny obszar. Każdego dnia było gorzej. Miałem płytki oddech, a przecież moje płuca są silne, w czasie szkolenia potrafiłem powstrzymać oddech na trzy minuty. Wyczerpywało mnie nawet przejście do łazienki, musiałem potem długo odpoczywać – opowiada Robert.

Tracił siły w szybkim tempie. Zadzwońm do sanepidu i usłyszał, że za kilka dni przyjedzie do niego wymazobus. Odpowiedział, że ci, którzy wtedy przyjadą po wymaz, mogą już zastać jego trupa. Za radą pań z sanepidu sam wsiadł w samochód i pojechał do Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Tam go zbadano, zapisano antybiotyki. Zalecono, by leczył się domu i był w stałym kontakcie telefonicznym z lekarzem.

– Dzień później, we wtorek, poczułem się trochę lepiej. Miałem wrażenie, że antybiotyk podziałał. Ale już w środę okazało się, że choroba nagle zaatakowała płuca. Kiedy kaszlałem, brakowało mi oddechu. Podnosiła się też gorączka. Czulem się bezradny, gorzej niż kiedy ze swoim plutonem znalazłem się pod ostrzałem w Iraku, bo tutaj nie widziałem wroga, który mnie niszczył – mówi Robert.

Podobny przebieg choroby zdarza się dość często – choremu wydaje się, że najgorsze ma już za sobą. I właśnie wtedy następuje piorunujący i niekiedy śmiertelny atak koronawirusa, który zajmuje i pustoszy płuca. W Wielkiej Brytanii

Wiadomo już, że COVID-19 może zaatakować nie tylko układ oddechowy, ale także serce i wątrobę, pojawiają się też hipotezy, że działa na układ nerwowy



opisano przypadki, kiedy chory spokojnie zasypiał we własnym łóżku, a następnego dnia rano rodzina odkrywała, że nie żyje.

W przypadku Roberta pogorszenie nastąpiło osiem dni po pierwszych objawach. Próbował jeszcze walczyć, ale zrozumiał, że nie da rady.

– W piątek zatelefonowałem do lekarza. Powiedziałem, że jest bardzo źle, duszę się, lecę gwałtownie z wagi, są chyba jakieś krwawienia wewnętrzne, bo mam czarne biegunki – opowiada Robert.

Właśnie wtedy zdecydowano, że natychmiast musi być hospitalizowany. Wysłano transport medyczny. Zawiadomił znajomych, którzy zadbali, by przez dwie godziny żaden z mieszkańców bloku nie pojawił się na klatce schodowej.

– Trafiłem na salę specjalnej opieki medycznej. To taki OIOM w wersji szpitala zakaźnego, wszystkie funkcje życiowe pacjenta są monitorowane i czuwa się nad nim 24 godziny na dobę. Podano mi tlen, podłączono do kroplówek. Mam wrażenie, że podziałł arechin, lek na malarię, który teraz eksperymentalnie podaje się przy koronawirusie – mówi Robert.

Nigdy nie zapomni tego, co działo się na tej sali. Niektórych pacjentów zasłaniały parawany, innych mógł zobaczyć. Trudno mu wymazać z pamięci pewne obrazy, będą już go prześladować. Nie chce podawać szczegółów, jednak o tym, jak wyglądają i co czują krytycznie chorzy na koronawirusa, mówili już lekarze – pacjenci puchną, sinieją i mają wrażenie, jakby byli duszeni pętlą lub znajdowali się pod wodą. W początkowym okresie chory ma też pełną świadomość, podaje mu się więc środki farmakologiczne, które mają zmniejszyć aktywność układu nerwowego. Czasem nie można zrobić nic więcej.

TRANSMISJA Z SALI

– Gdyby ludzie zobaczyli, jak chorzy walczą o oddech, nie podejmowałoby ryzykownych zachowań. Myślę, że gdyby

zrobiono telewizyjną transmisję z tej sali, to niektórzy wreszcie zrozumieliby, czym jest ta choroba. Zrobiliby wszystko, by uniknąć zakażenia – uważa Robert.

Kiedy jego stan się ustabilizował, po tygodniu przeniesiono go izolatki. Ściśle rzecz biorąc, do dwuosobowej sali, na które teraz w szpitalach zakaźnych przekształcono izolatki, by zminimalizować zużycie sprzętu ochronnego przez personel. Spojrzał wtedy w lustro i zaskoczyło go własne odbicie.

Zastanawia się teraz, na ile spustoszenia wywołane przez chorobę są głębokie, lekarz pokazywał mu przecież zdjęcie rentgenowskie, na którym widać było mleczne smugi w obrazie płuc.

Po kolejnym tygodniu w szpitalu trafił do izolatorium, w które przekształcono krakowski hotel Wyspiański. Musiał tam czekać, aż kolejne dwa testy wykażą, że nie jest już zakażony koronawirusem. To był ostatni etap przed powrotem do domu.

Pozostaje pytanie, które dotyczy wszystkich chorych po ciężkiej infekcji COVID-19: czy uda się odzyskać pełnię zdrowia.

– Kiedy złamałem kostkę przy skoku ze spadochronem, wiedziałem, że organizm się zregeneruje. Ale teraz jest za dużo niewiadomych, nie jest to przecież uraz fizyczny. Podejrzewam, że nawet lekarze nie mogą być pewni, co będzie ze mną dalej – mówi Robert. Przed chorobą codziennie rano robił 50 pompek. Teraz męczą go codzienne czynności.

Infekcja COVID-19 jest tak nowa, że lekarze działają trochę po omacku – dopiero obserwują i raportują nieoczekiwane skutki działania koronawirusa. Wiadomo już, że może zaatakować nie tylko układ oddechowy, ale także serce i wątrobę, pojawiają się też hipotezy, że działa na układ nerwowy.

Ciągle nie są oczywiste podstawowe fakty – nawet to, czy przejście infekcji COVID-19 oznacza nabranie odporności na nowe zakażenie i czy ta odporność jest trwała.

– Zaobserwowałem, że z każdym tygodniem personel medyczny uczy się czegoś nowego, nawet wymazy pobiera się już też dodatkowo z obu dziurek nosa, a nie tylko z gardła, jak było to na początku – mówi Robert.

Jego przypadek może wydawać się szczególnie, jeśli uważa się, że koronawirus SARS-CoV-2 atakuje osoby starsze i słabe, z chorobami współistniejącymi. Od tej reguły jest wiele wyjątków. Wiadomo już, że nikt nie może zakładać, iż właśnie jego choroba oszczędzi. Niekiedy ciężko przechorowują koronawirusa osoby, które mogą się poszczycić olimpijską formą – także w sensie dosłownym.

Dwukrotny medalista olimpijski w pływaniu, reprezentant RPA, 31-letni Cameron van der Burgh relacjonował mediom, że chociaż po dwóch tygodniach zmagania z chorobą wyzdrowiał, to nadal czuje się fatalnie – nawet krótki spacer sprawia, że czuje się kompletnie wyczerpany i musi potem odpoczywać godzinami.

Jedną z teorii, która tłumaczy tak ciężki i nierzadko śmiertelny przebieg choroby u młodych zdrowych ludzi, mówi, że przyczyną tkwi właśnie w ich zbyt mocnym układzie immunologicznym. Tak gwałtownie reaguje na infekcję koronawirusem, że powstaje tzw. burza cytokinowa, niekontrolowana reakcja nadmiernego aktywowania komórek układu odpornościowego, które w rezultacie atakują różne organy i niszczą organizm.

ZAGADKA ZAKAŻENIA

Bardzo często osoby chore na koronawirusa nie mają pojęcia, w jaki sposób zostały zakażone ani nawet kiedy to się stało. Mówią, że unikały kontaktów, siedziały w domu i wychodziły tylko do sklepu, jak relacjonowała to mediom rzeczniczka prasowa klubu żużlowego Orzeł Łódź Agnieszka Szafran-Albińska, która przeszła infekcję.

Czasem jednak można precyzyjnie wskazać, kiedy doszło do zakażenia, jak to było chociażby w wypadku ministra Wosia. Zakaził się na spotkaniu w ministerstwie, na którym obecny był pracownik Lasów Państwowych, u którego wkrótce potem stwierdzono koronawirusa.

Także Robert nie ma wątpliwości, kiedy się zakaził. To było szkolenie dla instruktorów narciarskich, co prawda w polskich górach, ale znaleźli się tam uczestnicy, którzy przyjechali bezpośrednio z włoskich Alp. Zdążyli wrócić do Polski tuż przed tym, zanim powracających z zagranicy zaczęła obowiązywać kwarantanna.

– Nie przyznali się nikomu w schronisku, że właśnie wrócili z Włoch. Chęć zaliczenia kursu i uzyskania papierka była silniejsza niż poczucie odpowiedzialności – mówi Robert.

Kilka dni po powrocie do domów uczestnicy kursu zaczęli się ze sobą kontaktować poprzez media społecznościowe. Niektórzy czuli się zdecydowanie źle, mieli objawy, które można było wziąć za grype. Szybko w ich rozmowach zaczęło się pojawiać słowo „koronawirus”.

Jedną z osób, które skończyły kurs, była Agnieszka z Warszawy. Czowała dziwną niemoc, miała nadzieję, że to tylko przemęczenie intensywnym treningiem. Przekonała się jednak, że dzieje się z nią coś niepokojącego.

– Byłam w łazience, zmywałam lakier z paznokci. Wszedł mąż, powiedział: „Ale okropny zapach”. Zdziwiłam się, bo przecież nic nie czułam – opowiada mi Agnieszka.

Zrozumiała, że powinna jak najszybciej poddać się testowi na obecność koronawirusa. Pojechała do szpitala zakaźnego na Wolskiej w Warszawie. Wypełniła ankietę – miała podkreślić objawy chorobowe, które odczuwa. Wymieniono wysoką temperaturę, kaszel, duszności, ale nie znalazła tego, co ją niepokoiło. Obok rubryk sama wpisała zatem „utrata węchu”.

– To taka reguła: jeśli wynik testu jest pozytywny, dostaje się wiadomość bardzo szybko. Jeśli negatywny, trzeba poczekać. Ja dostałam wynik szybko – mówi Agnieszka.

Wiadomość, że jest chora na COVID-19, przeraziła ją. Raczej nie bała się, że jej stan może się pogorszyć. Uznała – jak się okazało słusznie – że to, co się miało stać, już się stało i choroba nie będzie eskalować. Obawiała się za to, że mogła, zupełnie nieświadomie, zakazić teściów, którym przekazywała zrobione przez siebie potrawy, kiedy jeszcze sądziła, że jest zdrowa. Jednak okazało się, że nie zakaziła teściów ani męża, ani dziecka.

Czuje się już dobrze, węch powoli wraca, musi oczywiście przebywać w izolacji. Agnieszka może mówić o szczęściu – należy do pacjentów określanych jako „skapobjawowi”.

Od czasu, gdy poddała się pierwszemu testowi, sporo się zmieniło. – Teraz ankietą przed testem na koronawirusa jest znacznie bardziej szczegółowa. Przybyły nowe objawy, czyli np. utrata węchu i smaku – mówi.

REKLAMA

Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Warszawa 87.8 Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio **Kraków 95.2**
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
www.wnet.fm Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio **Radio Wnet**

59/0320/F



Tu też jestem na misji

Z ks. **Piotrem Dydą-Rożnieckim**
rozmawia
Dorota Łosiewicz

Epidemia koronawirusa
sprawiła, że tuż przed
Wielkanocą cały
personel Domu Pomocy
Społecznej w Bochni
musiał opuścić pracę
i trafił na kwarantannę.

Wirusem zaraziło
się aż 49 osób, w tym
16 pracowników. Starosta
powiatowy z Bochni
w dramatycznym apelu
poprosił o wsparcie.

Na pomoc
pensionariuszom
ruszyły siostry
dominikanki. Dołączył
do nich także mielecki
ksiądz misjonarz Piotr
Dydo-Rożniecki



**Jak ksiądz znalazł się w DPS
w Bochni?**

Piotr Dydo-Rożniecki: Byłem
akurat w rodzinnym domu w Mielcu.
Przyjechałem z misji, z Kazachstanu,
ponieważ z powodu zmiany parafii
potrzebowałem nowej imiennej wizy.
I tak zastało mnie zamknięcie granic.
W Wielką Sobotę zjrzałem na Face-
booka i zobaczyłem, że kilka osób udo-
stępnia ten sam artykuł o tym, że siostry
dominikanki wyruszyły z pomocą do

Bochni. Pracownicy tamtejszego DPS,
mimo zakażenia, pracowali do ostat-
niej chwili. Do pojawienia się siostr.
W chwili gdy rozmawiamy, pracownicy
jeszcze są na kwarantannie, niektórzy
przechodzą chorobę bezobjawowo, ale
z racji zakażenia nie mogą wrócić. Choć
wiem, że niektórzy niecierpliwie oczekują
powrotu do pracy. Wracając jednak do
Wielkiej Soboty – jedną z osób,
które udostępniły tekst, była znana mi
siostra. Napisałem do niej, czy wie coś
więcej. Dzięki jej pomocy udało mi się
szybko skontaktować z siostrą prze-
łożoną, z dyrekcją DPS, która z kolei
skontaktowała się ze starostą. Gdy oni
wszyscy się wstępnie zgodzili, wystąpi-
łem o zgodę do mojego apostołskiego
administratora w Atyrau, w Kazachstanie,
gdzie od niemal dwóch lat jestem
na misji. Dostałem zgodę i błogosła-
wienie. Dostałem też zgodę mojego
biskupa Andrzeja Jeża. Jestem inkar-
dynowany w diecezji tarnowskiej. I tak
z Mielca, wyposażony we wszystkie
zgody, dotarłem o 18 do Bochni.

**Szybko udało się księdzu uporać z pro-
cedurami. A co ksiądz zastał na miej-
scu?**

Trwała akurat dezynfekcja budynku.
Wszyscy mieszkańcy zostali tymcza-
sowo ewakuowani na zewnątrz, pod na-
miot. To było 37 osób z różnego rodzaju
dysfunkcjami psychicznymi. Od razu
zobaczyłem, jak dobre podejście mają
do nich siostry. Uspokajały, tłumaczyły.
Choć były już bardzo zmęczone, ponie-
waż pracowały dzień, noc i jeszcze jeden
dzień. Tyle czasu minęło od wyjścia
z ośrodka zakażonego personelu me-
dycznego. Wówczas było 37 pacjentów,
teraz jest już 29, ponieważ po pierwszym
tygodniu mojej obecności okazało się, że
ośmiu kolejnych pacjentów ma wynik
dodatni. Kiedy dotarłem na miejsce,
czekałem, aż będzie można wejść do
środku. Wtedy z DPS, który jest tuż obok
(mieszka tam 86 osób), usłyszałem śpiew
gorzkich żali. Tak się zaczął mój pobyt.
Dla mnie to niezwykle symboliczny
moment. W tym sąsiednim ośrodku nie
ma koronawirusa, więc pensionariusze
są objęci tylko kwarantanną, a nie nad-
zorem epidemicznym. Tam też posłu-
gują dwie dominikanki, ze wspólnoty
krakowskiej.



Jak wygląda wasza praca?

Pracujemy po osiem godzin w systemie trózmianowym. Oprócz mnie jest osiem siostr dominikanek, więc każda zmiana liczy trzy osoby. To jest wspaniałe, że udało nam się tak zorganizować pracę, bo można wszystko zaplanować, można też odpocząć. Na stałe jest również lekarz, a także ratownik medyczny. Pojawiły się także dwie wolontariuszki – Weronika i Karolina. To studentki drugiego roku pielęgniarstwa. Jedną jest z Wielunia, druga z Gorlic, uczą się w Krakowie. To niezwykle świadectwo dojrzałości i konkretnej pomocy. Pomagają lekarzowi, podają leki. Dla nas to odciążenie w kwestiach medycznych. A my? Cały czas dezynfekujemy, co się da: klamki, podłogi, poręcze. Zmieniamy pampersy, pierzemy, suszymy, roznosimy, sprawdzamy, czy po obudzeniu ktoś nie potrzebuje pomocy, przebieramy, zmieniamy pościel, karmimy, pilnujemy bezpieczeństwa, масечек, rozmawiamy, uspokajamy. Jesteśmy.

Podopieczni tęsknią za swoimi rodzinami? Co mówią?

To są ludzie w bardzo różnym wieku i w różnym stopniu świadomości. Są osoby młode, w średnim wieku i starsze. Nie wszyscy do końca wiedzą, co się dzieje, ale to, co dla mnie jest uderzające, to ich wdzięczność za naszą obecność. Cały czas słyszymy: „Dziękuję, że jesteście”. Nie umiem zliczyć, ile razy usłyszałem w ostatnim czasie „Dziękuję”. Za proste rzeczy, za podanie czegoś, za umycie kogoś, za ubranie, za pomysł, by zrobić coś inaczej. To dla mnie wielka lekcja tego, jak można wyrażać wdzięczność. Nasi podopieczni współpracują, jak potrafią, a my staramy się ich chronić przed tym niewidzialnym przeciwnikiem, jakim jest wirus. Ale nie zawsze łatwo jest wytłumaczyć, że lepiej nie wychodzić z pokoju czy skorzystać z innej,

a nie najbliższej łazienki. Staramy się tłumaczyć, że wszystko jest dla ich dobra.

Jak ksiądz i siostry jesteście zabezpieczeni, żeby się nie zarazić?

Z czasem nasza ochrona się zwiększała. Zaczynaliśmy z bardzo skromnymi środkami. Rękawiczki, maska, przyłbica. Teraz mamy już profesjonalne kombinezony ochronne. Każdego dnia potrzeba ich 12, ponieważ są jednorazowe. Ten kombinezon ze zdjęcia to zasługa ratownika Sebastiana Lewandowskiego. Przychodziły z darów różne kombinezony, różnych rozmiarów. Część dostaliśmy z rezerw materiałowych, część zakupiła Fundacja Dominikańska. Poprzez wymianę z pogotowiem, z SOR w Bochni udało się dopasować rozmiary. Cieszę się, że to wymowne zdjęcie rozeszło się w sieci, bo przecież w domach pomocy społecznej i innych podobnych miejscach w ciszy posługuje cała masa personelu medycznego. Ten kombinezon zwrócił uwagę na nich wszystkich. Bo przecież nie o mnie tu chodzi. Mam nadzieję, że dzięki temu widać trud tych wszystkich cichych ciężko pracujących ludzi. Ale to widać, gdy osób, które są na swoich miejscach, nagle zaczyna brakować.

Jak się w takiej zbroi funkcjonuje?

Nie sądziłem, że aż tak ciężko. Gdy już to wszystko na siebie założyłem: kombinezon, rękawiczki, maskę, przyłbicę, wówczas wykonanie prostych czynności, takich jak podanie jedzenia, okazuje się niezwykle trudne. Ten wysiłek staram się po prostu ofiarowywać Bogu.

Czuje się ksiądz żołnierzem Boga?

Takich żołnierzy jest wielu, ale nie każdy może iść na front. Mamy cały sztab, który nas wspiera. W pomoc zaangażowało się mnóstwo ludzi dobrej woli. Jedni się modlą, inni przywożą dary. Każdy robi, co może. W pomoc włączyła się także

pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda. Przed chwilą dostałem wiadomość, że przyszła paczka z Mosiny spod Poznania i czeka w paczkomacie. Inni ludzie dobrej woli z Bochni przywożą ją na miejsce. To środki do pielęgnacji chorych, podkłady, wszystko, czego potrzebujemy. Mam poczucie, że wokół nas stworzyła się wspólnota. Pewnie nie każdy może – jak my – wejść do DPS i zostać, żeby pomagać, ale każdy robi, ile może, by nas wesprzeć. Przez ofiarę, wyrzeczenie czy dar serca. Jak na wojnie: są łącznicy, telegrafisci, pani też jest telegrafistką Pana Boga, która przekaże informacje z frontu dalej. Mimo trudnych czasów dużo dobra się dzieje. Przychodzą mi na myśl słowa św. Pawła



z Listu do Rzymian: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (12,21). Dobro wyraża się w empatii, a przez to wielu pomagających to żołnierze Pana Boga.

Czegoś nas, Polaków, ten kryzys nauczył?

Ja patrzę na to z punktu widzenia wiary. Cały Wielki Post był zupełnie inny, całe triduum było inne. To był czas na przemyślenie i bycie razem. Zamknięte zakłady pracy, szkoły, przedszkola pokazały nam, jak być razem. Ja po przyjeździe z Kazachstanu musiałem przebywać w kwarantannie domowej, też miałem



czas na refleksję. Mogłem pewne rzeczy zobaczyć na nowo. Sami sobie głosiliśmy rekolekcje, będąc ze sobą, poznając się na nowo. Wypłył z tego dobro, którego się nie spodziewaliśmy. Ten czas kwarantanny oraz czas, który spędzam w Bochni, wiele mnie nauczyły.

A czego konkretnie nauczył się ksiądz w bocheńskim DPS?

Poza empatią i wdzięcznością widzę ofiarności innych. Przez proste czynności, przez pomoc jeszcze wyraźniej widzę Chrystusa w drugim człowieku.

Nie bał się ksiądz zarazy?

Baleń się i boję. Na razie pierwszy test ujemny. Ale wiedziałem, na co się decyduję. Mam szacunek do przeciwnika. Głupotą byłoby go bagatelizować. Wiem, że wróg jest niewidzialny i może uderzyć z każdej strony, ale podejmuję ryzyko w trosce o dobro drugiego człowieka, który jest w potrzebie. Rozmawialiśmy o tym z siostrami. Strach przed wirusem powinien nas paraliżować, ale tak nie jest. Dezynfekujemy siebie, obiekt, zachowujemy wszystkie środki ostrożności i walczymy.

Może ksiądz być wzorem dla innych kapłanów w tym trudnym czasie. Jakich kapłanów potrzebują dziś ludzie?

Takich, którzy są przy nich. Ale to nie zawsze oznacza tuż obok, w tym samym budynku. W czasie epidemii zobaczyliśmy siłę domowego Kościoła. Ludzie bardzo chętnie oglądali transmisje mszy, modlili się w domach. I choćby w ten sposób ich kapłani byli blisko. Także kapłani mogli inaczej spojrzeć na ludzi, pomyśleć, komu mogą być potrzebni. Czasem wystarczył telefon, zainteresowanie drugą osobą. W tym zatrzymaniu wszyscy mogliśmy inaczej na siebie spojrzeć.

Jak ze swojej perspektywy ocenia ksiądz to, co dzieje się w Szwecji czy Belgii? W tym pierwszym kraju osoby



Pracujemy po osiem godzin w systemie trózmianowym. Oprócz mnie jest osiem siostr dominikanek, więc każda zmiana liczy trzy osoby. Na stałe jest również lekarz, a także ratownik medyczny

starsze są często pozostawiane w domach starców i zapominane przez rodzinę, w tym drugim kraju podjęto decyzję, by nie hospitalizować rezydentów domów opieki, jeśli zachorują na COVID-19.

W Polsce jest zupełnie inne podejście. Widać to właśnie tu i w innych DPS. Mnóstwo ludzi angażuje się w to, by pomagać osobom starszym, schorowanym. Mamy inne podejście do starości, do eutanazji. W Polsce wciąż widać triumf kultury życia. Widać to w tej walce z epidemią.

A jak się ksiądz na co dzień posługuje w Kazachstanie? Dlaczego akurat tam ksiądz poniósł?

Gdy zaczął się piąty rok mojego kapłaństwa, poczułem, że muszę gdzieś posługiwać, coś więcej zrobić. Gdy byłem jeszcze klerykiem, na czwartym roku pojechałem na staż misyjny do Ekwadoru. Byłem tam sześć tygodni i od tej pory kielkowała we mnie myśl, żeby gdzieś ruszyć na misję. Myślałem o Ukrainie, prosiłem biskupa, by mnie tam skierował, ale to nie był ten czas. Aż wreszcie dwa lata temu wyjechałem do apostolskiej administratury, do Atyrau. To terytorialnie obszar dwóch Polsk, a jest tam raptem sześć parafii. W ub.r. świętowaliśmy 20-lecie Kościoła katolickiego na tym terenie. Kiedy wylatywałem, byłem tam dziewiątym księdzem, teraz jest nas kilkunastu. Jest też siedem siostr. To są małe, żywe wspólnoty, nieraz rodzinne, jak te pierwszego Kościoła. Ludzie się o siebie troszczą. To taki dobry zarys.

W Atyrau mamy Centrum Dzieci i Młodzieży. Uczymy ich języków, siostry uczą rękodzieła. Uczymy prostych rzeczy, żeby być razem. Jesteśmy tam trochę ambasadorami człowieczeństwa. Gdzie się da, to pomagamy. Siostry pomagają teraz, kiedy miasta są zamknięte, w rozwojeniu mąki, cukru, chleba. Siostra Zyta informowała, że udało się im rozdysponować aż 150 kg. Rok temu powstało Centrum Pomocy Dzieciom z Zespołem Downa. Tych dzieci w mieście nie było widać, nie istniały w przestrzeni publicznej, ale na pierwsze spotkanie przyszło ich 90. Kościół włącza się w tę pomoc.

Pojechałem tam nawracać, a każdego dnia widzę, że to oni nawracają mnie. Podobnie jest tu, w DPS.

Ludzkość wyciągnie jakąś lekcję z pandemii?

Już wyciągnęła. Po zatrzymaniu się zobaczyliśmy, co jest naprawdę ważne. Zaczęliśmy myśleć nad naszym życiem, doceniać proste rzeczy, których wcześniej nie dostrzegaliśmy. W innym świetle zobaczyliśmy relacje międzyludzkie. Zaczęliśmy używać komunikatorów, by chociaż chwilę pobyc razem. Dla wielu to była lekcja empatii, umiejętności dostrzegania ludzkich potrzeb, dzielenia się tym, co się ma. To z nami zostanie.



DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY NIOSĄ **POMOC**

2 MAJA – DZIEŃ FLAGI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

WYWIEŚMY FLAGĘ. POKAŻMY, ŻE JESTEŚMY RAZEM
NIEZALEŻNIE OD SYTUACJI.

wiepodlega





Jak matematyka walczy z epidemią

*Nadal jesteśmy w obszarze podkrytycznym epidemii, który polega na tym, że gdy tylko obostrzenia zostaną poluzowane w odpowiednim stopniu, to mamy swoisty restart i możliwy wybuch epidemii na nowo – mówi dr **Franciszek Rakowski** z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego w rozmowie z **Marcinem Fijołką***

Czy na podstawie liczb, matematyki i modeli, które państwo tworzą, możemy powiedzieć, jak rozwinie się w Polsce epidemia koronawirusa?

Dr Franciszek Rakowski: I tak, i nie. Pewne wnioski na pewno można wyciągnąć, a pewnych kwestii nie da się antycypować. Rezultaty tych analiz są uzależnione od tego, jakie ograniczenia będą wprowadzane, a jakie zdejmowane i w jakim czasie, a tego wiedzieć nie możemy, bo jest to decyzja administracyjna. Można jednak szacować wpływ tych ograniczeń na dynamikę epidemii i w pewnych widelkach przewidywać, co się stanie, gdy otworzymy szkoły albo gdy otworzymy je częściowo i tylko w jednym regionie.

Zapytam zatem inaczej. Czy po tych kilku tygodniach życia z koronawirusem w Polsce możemy powiedzieć, że epidemia rozwija się zgodnie z przewidywaniami?

Nasz model może zrekonstruować to, jak splaszczyła się krzywa epidemiczna. Pytanie, co dalej, jest otwarte: sam pik epidemii i liczby zachorowań nie są bowiem naturalne, ale sztuczne. Nadal jesteśmy w obszarze podkrytycznym epidemii, który polega na tym, że gdy tylko obostrzenia zostaną poluzowane w odpowiednim stopniu, to mamy swoisty restart i możliwy wybuch epidemii na nowo.

Kiedy matematyka będzie nam mogła powiedzieć, że jesteśmy bezpieczni?

Ogólne „Uff!” może nastąpić tylko przy immunizacji, uodpornieniu się społeczeństwa na poziomie 60 proc. A takiego pulapu na pewno w tej chwili nie mamy.

A jaki mamy?

To bardzo trudne pytanie. Różne są szacunki: spotykamy się z liczbami od 50 do 150 tys. osób w Polsce, które mogły być chore (i wyzdrowieć) lub są zakażone. Wliczając w to ludzi, którzy przeszli wirusa bezobjawowo.

Mało, jeśli marzymy o poziomie 60 proc. z 38 mln Polaków.

Tak, ale to mniej więcej tyle osób, ile zetknęło się z patogenem.

I to pewnie w dużych miastach, a nie w Polsce powiatowej. Zapewne tak.

Wróćmy do szansy na poluzowanie restrykcji. Wszyscy byśmy chcieli wrócić do normalności: pracy, szkoły, rozrywkę, restauracji. Co nam podpowiada matematyka?

Ze trzeba to robić z ogromną ostrożnością, patrząc przy okazji, jak reaguje społeczeństwo. Staramy się przeliczać te scenariusze naszymi modelami i wskazywać, jakie poluzowanie jest zupełnie niedobre. Wydaje się nam, że gdybyśmy np. otworzyli wszystkie szkoły na dwa miesiące, to mielibyśmy duży problem...

ROZMOWA
Fijołka





Fot. arch. prywatna

Ale już w formie pracy zmianowej, w bardzo poluzowanych klasach, bez wyjścia na korytarz podczas przerwy?

I tu zaczynają się analizy. W szczególności warto rozważyć mechanizm regionalnego odmrażania obszarów życia publicznego. Np. wybrane województwa wracają do szkoły, pewne rzeczy dzieją się tam w miarę normalnie (testy, sprawdziany) i po czasie są zamykane. Efekt? Lokalnie może się co prawda podnieść poziom zakażeń, ale to co innego niż problem całego kraju. Tym bardziej że takie szkolne odmrożenie mogłoby być rekompensowane innym zamrożeniem.

Czyli przykręcamy śrubę np. targowiskom, żeby szkoły mogły przez miesiąc zrobić swoje? Wszystko po to, by bilans wyszedł na zero lub na kontrolowany wzrost zakażeń.

Dokładnie.

A czy korzystamy w tych modelach z doświadczeń innych krajów? Czy mamy narzędzia, które mogą nas porównać z Włochami, Czechami, Niemcami? Mają inne metody, inną liczbę testów...

Pewne wypłaszczenie krzywej epidemicznej jest w Polsce wyraźne i to jest fakt. Ale to porównanie bardziej jakościowe niż ilościowe. Rozmawiamy w chwili, gdy mamy potwierdzonych ok. 10 tys. zakażonych w Polsce: ile osób pana zdaniem jest realnie zarażonych?

Ogólne „Uff!” może nastąpić tylko przy immunizacji, uodpornieniu się społeczeństwa, na poziomie 60 proc. Wtedy będziemy bezpieczni

Biorąc pod uwagę liczbę testów czy osób, które przeszły wirusa bezobjawowo lub bez większych problemów – zapewne kilka-kilkanaście razy więcej.

Przyjmijmy, że 12 razy więcej. W tej dynamice nie jest ważny rzeczywisty poziom, ale jego zmiana. Chyba że zmieniły się sposoby testowania, a do tego nie doszło.

Czyli dane dotyczące liczby zakażeń nie pokażą nam, czy jest już dobrze, czy będzie lepiej?

Nie ma takiego momentu. Lepiej będzie wtedy, gdy 60 proc. społeczeństwa będzie już immunizowane.

Kiedy to się stanie?

Czekamy na szczepionkę lub lek. Żeby do tego doprowadzić, w scenariuszu bez szczepionki trzeba by utrzymywać epidemię na poziomie kilkuset tysięcy nowych zarażonych przez kilkaset dni.

Nie do utrzymania przez służbę zdrowia.

Tak. Gdy ktoś wynajdzie szczepionkę i będzie jej dużo, to aby uodpornić 30 mln Polaków, potrzebnych nam pewnie będzie jakieś 300 dni, szczepiąc 100 tys. osób dziennie.

A bez szczepionki?

W pewnym sensie to jest to samo: ale 100 tys. osób musiałoby dziennie chorować, a później zdrowieć. A przecież wtedy nie wszyscy przeżyją, nie wszyscy przejdą wirusa bez zmian



w organizmie, nie mówiąc o potrzebnym sprzęcie medycznym. Naturalna immunizacja społeczeństwa byłaby okupiona stratami ludzkimi, finansowymi, organizacyjnymi. Dlatego staramy się trzymać tę pandemię w reżimie podkrytycznym, do momentu wynalezienia szczepionki lub leku.

Gdybyśmy utrzymali tak duże restrykcje jak dziś, a szczepionka by się nie pojawiła, to kiedy wyjdziemy na prostą?

Trzeba byłoby liczyć czas w dziesiątkach lat.

Nierealne. Czyli czekamy na szczepionkę w perspektywie kilku, może kilkunastu miesięcy. Zapytam inaczej: skąd wiemy, co można, a czego nie można poluzować? Skąd czerpią państwo dane?

W naszym modelu uwzględniamy gospodarstwa domowe, zakłady pracy, szkoły, uczelnie, podróże i kontakty uliczne. To sześć kategorii. Tę ostatnią chcemy rozbić na konteksty drobniejsze: baseny, kościoły, sklepy małe, duże itd.

Skąd w ogóle wziął się ten model?

Budowaliśmy ten model w roku 2010. To największy epidemiczny model w Polsce. Historia była taka, że 10 lat temu jako młody doktor fizyki zabrałem się do tego projektu, próbowaliśmy go przedstawić administracji państwowej – bez większego efektu. Model leżał przez lata na półce, przyszły dziś inne, trudniejsze czasy i zostałem, można powiedzieć, przywołany z mojego miejsca pracy. Od trzech lat nie pracuję bowiem w ICM UW, ale zajmuję się rozwojem sztucznej inteligencji w jednej z zagranicznych korporacji.

Koronawirus przywrócił pana na odcinek państwowy.

Raczej służby publicznej. W korporacji zachowali się w porządku, dostałem bezpłatny urlop, a my w ICM UW rozwijamy ten model i przesyłamy go czynnikom rządowym. Całe szczęście, że atmosfera jest taka, iż dostęp do danych jest dziś otwarty, jest to o wiele łatwiejsze niż 10 lat temu.

Ile osób pracuje w państwa zespole?

Osiem – to bardzo zaangażowani ludzie, z doktoratami z fizyki, matematyki, informatyki, a nawet psychologii. Świetny zespół osób, które w odpowiedzi na prośbę dyrektora ICM UW zgłosiły się, by zszlifować nasz model.

Krótko mówiąc, główny wniosek na dziś jest taki, że bez dostępu do szczepionki nasza rzeczywistość będzie wyglądać tak: odmrażanie niektórych sfer życia, później ich powrotne zamrażanie, jeśli się okaże, że zaczynamy tracić kontrolę.

Tak.

O spotkaniach na stadionach piłkarskich, dużych mszach św. i koncertach możemy zapomnieć do momentu uodpornienia się 60 proc. społeczeństwa.

Chciałbym przekazać inne wiadomości, ale model matematyczny mówi dokładnie to, co pan przedstawił.

Nie da się nic zrobić?

Warto wspomnieć też o skutecznym narzędziu śledzenia osób, które są źródłem zakażenia, i tych, które mogły zakażać. To dzieje się w Korei Południowej. Jeśli mamy kogoś z pozytywnym testem, to od razu patrzymy, jaki krąg kontaktów miał za sobą. Testujemy te osoby, poddajemy kwarantannie – tym samym blokujemy możliwość rozprzestrzeniania epidemii.

Działalność?

Z modelu wychodzi, że jest to skuteczne. Wymaga tylko pewnej dyscypliny społeczeństwa (przez kilka miesięcy spotykamy się tylko z pewną, niewielką, stałą grupą znajomych i bliskich), a także nowych technologii. Gdy ktoś okaże się chory, to łatwo zidentyfikować 20 osób, które mogły być pierwotnym źródłem wirusa.

Jak? Przecież mogłem być w sklepie, gdzie są inni ludzie.

Technologia pozwala wtedy na sprawdzenie, kim oni są. W Korei, kiedy wchodzi się do sklepu, to mamy odczytywany specjalny kod, który pozwala na sprawdzenie, kto był w sklepie w podobnym czasie. Buduje się sieć kontaktów

do odtworzenia. Backtracking – bo tak się o tym mówi – nie musi być w 100 proc. skuteczny, ale w selektywny sposób wyłapuje zakażonych.

A inwigilacja obywateli nie jest problemem?

Jasne. Kontekst cywilizacyjny czy społeczny jest szerszy, ja podaję tylko techniczne rozwiązanie.

Może państwa model jest niedokładny, omylny? Może jest lepiej albo gorzej?

Modele matematyczne im są dłużej używane, tym mają większą wiarygodność. Modele epidemiczne tak naprawdę rodzą się, bo epidemia nie jest zjawiskiem – na szczęście – powtarzalnym co roku. Wiarygodność modeli nie została przetestowana jak inne odkrycia. U nas w zespole trwają intensywne prace, które rozbudowują, korygują nasz model. Mamy o wiele większe zasoby danych, które stoją dziś przed nami otworem. Dzięki temu ten model jest coraz bardziej wiarygodny. Osobną kwestią jest to, czy rządzący kierują się nimi, czy działają raczej na podstawie intuicji, wyczucia i doświadczeń innych państw. Ale to temat na inną rozmowę.

Czy znieść lockdown? Za i przeciw

Czy trzeba znieść lockdown, czy lepiej jeszcze poczekać? Zwolennicy zniesienia postępują się głównie argumentami gospodarczymi, a przeciwnicy – medycznymi. Obie strony mają wiele racji, obie też odwołują się do badań naukowych. Przy czym nauka nie daje dziś jednoznacznych odpowiedzi na nasze wątpliwości, a jej ustalenia bywają skrajnie rozbieżne. Poniżej przytaczamy kilka argumentów za i przeciwko zniesieniu lockdownu (różnego rodzaju ograniczeń wprowadzonych w związku z pandemią koronawirusa). I choć możemy się z niektórymi z nich nie zgadzać, to na pewno nie należy ich lekceważyć



KONRAD KOŁODZIEJSKI

1. GOSPODARKA

ZA: W tej chwili nie wiemy jeszcze, jakich spustoszeń dokona pandemia w gospodarce, bo nowe dane przychodzą ze sporym poślizgiem, ale w przypadku najbardziej wrażliwych na zawirowania branż, takich jak usługi, transport i turystyka, widać już wyraźne załamanie. Dodatkowo – jak uważają niektórzy ekonomiści – kryzys wywołany pandemią może mieć charakter podażowy, a więc bardziej trwały i znacznie trudniejszy do opanowania, bo wynikający z ograniczenia produkcji i dostępności dóbr.

Według niektórych wyliczeń każdy dzień pozostawiania w zamrożeniu kosztuje polską gospodarkę ok. 8 mld zł. Łątwo więc wyliczyć, że gdyby taki stan miał się jeszcze utrzymać, to już w czerwcu budżet państwa może zanotować deficyt pogłębiający się z każdym kolejnym tygodniem o kilkadziesiąt mld zł. W takiej

sytuacji w drugiej połowie roku z polskiej gospodarki nie byłoby już prawdopodobnie czego zbierać. Jeśli do tego dojdzie, to ponowne wychodzenie na prostą zajmie nam wiele lat. Wówczas, ratując się przed krachem, i tak nie unikniemy odmrożenia, lepiej więc zapobiec temu już dziś, bo w obliczu relatywnie niewielkiej skali epidemii, jaką ciągle mamy dziś w Polsce, utrzymywanie ścisłego lockdownu bardziej nam zaszkodzi, niż pomoże.

PRZECIW: Zwolennicy utrzymania lockdownu wyjaśniają, że mając do wyboru zdrową gospodarkę lub zdrowych obywateli, wybierają to drugie. Gdyby bowiem doszło do rozprzestrzenienia się epidemii na skalę porównywalną z Włochami, to i tak nie udało się uratować gospodarki. Na kryzys ekonomiczny nałożyłaby się bowiem również katastrofa zdrowotna. Wskazują na to szacunki ekonomistów z Uniwersytetu w Chicago wykonane dla Stanów Zjednoczonych. Według nich rezygnacja z restrykcji kosztowałaby Amerykę śmierć 7,2 mln ludzi w ciągu trzech lat, co oznaczałoby utratę 65 bln dol. Zatem koszt odmrożenia gospodarki byłby znacznie większy niż koszt jej zamrożenia.

Wskazuje się też, że nie wszystkie branże w równym stopniu odczuwają skutki lockdownu. Niektóre, np. handel czy usługi telekomunikacyjne, mogą nawet odnotować wzrosty. I choć ostatecznie gospodarka na pewno wyjdzie z pandemii bardzo osłabiona, to trudno dziś definitywnie ogłaszać powszechny krach, zwłaszcza że wiele firm może z powodzeniem funkcjonować zdalnie. Nie jest też ostatecznie przesądzone, że będziemy mieli do czynienia – jak twierdzą niektórzy ekonomiści – z szokiem podażowym. Najgorsze scenariusze rysują bowiem ci, którym często z partykularnych powodów najbardziej zależy na utrzymaniu zysków i jak najszybszym odmrożeniu gospodarki, nawet kosztem zdrowia publicznego.

2. SŁUŻBA ZDROWIA

ZA: Naszym najsłabszym ogniwem w walce z koronawirusem jest wydolność służby zdrowia. Wiecznie niedoinwestowana i słabo opłacana nie utrzyma swoich zdolności bez pomocy ze strony państwa. Pomoc ta będzie jednak jeszcze mniejsza, jeżeli państwo – wraz z załamaniem gospodarczym – będzie nadal tracić dochody. Oznacza to, że lockdown może się przyczynić do



całkowitego załamania walki z epidemią. Jasne bowiem jest, że prywatna opieka medyczna – nastawiona wyłącznie na zyski i leczenie mniej skomplikowanych dolegliwości – nie stanowi żadnej alternatywy dla publicznej służby zdrowia. Ponadto osoby z łżejszym przebiegiem choroby koronawirusowej powinny pozostawać w domach i być, wraz ze swoim najbliższym otoczeniem, ściśle monitorowane przez służby państwowe aż do chwili, gdy będą mogły już powrócić do normalnego życia.

PRZECIW:

Ten sam argument – słabej wydolności służby zdrowia – jest jednocześnie argumentem przeciwników zniesienia lockdownu. Szacuje się, że dostępność łóżek szpitalnych i respiratorów pozwala na jednoczesne przyjęcie i leczenie nie więcej niż 10 tys. pacjentów z koronawirusem. Tymczasem rezygnacja z restrykcji może spowodować niekontrolowany wzrost liczby chorych i zatkanie szpitali. Wówczas – podobnie jak we Włoszech czy w Hiszpanii – gwałtownie zwiększy się śmiertelność, bo wielu pacjentów nie będzie już można leczyć. Pouczający jest tu także przypadek odległego Singapuru, który po przedwczesnym zdjęciu lockdownu musiał przywrócić restrykcje, gdy dzienna liczba nowych przypadków raptownie skoczyła o 60 proc.

Najbardziej świadomi istniejącego zagrożenia są lekarze, którzy ciągle apelują o – w miarę możliwości – pozostawanie w domach i unikanie kontaktów z innymi. Dzięki temu, jak przekonują zwolennicy utrzymania lockdownu, dotychczas udało się utrzymać zachorowania na poziomie bezpiecznym dla służby zdrowia. W drugiej połowie kwietnia w Polsce było ponad 8 tys. aktywnych przypadków COVID-19 (na ponad 10 tys. wszystkich dotąd zdiagnozowanych), z tego blisko 200 chorych znajdowało się w stanie poważnym lub krytycznym. Ciągłe jest więc rezerwa.

3. WIĘCEJ TESTÓW**ZA:**

Najlepszą metodą pozwalającą na stałą kontrolę liczby rzeczywistych zachorowań są testy. Dlatego, zdaniem zwolenników zniesienia lock-

downu, trzeba ich przeprowadzać znacznie więcej. Pozwoli to na oszacowanie realnej skali epidemii, która – jak zakładają – jest niewielka i da tym samym kluczowy argument do odblokowania gospodarki.

Stale testowanie i monitorowanie populacji umożliwi elastyczne reagowanie na zagrożenia. W przypadku spodziewanej drugiej fali pandemii jesienią będzie można przywrócić część restrykcji, ale gdy tylko ryzyko zachorowań spadnie, ograniczenia byłyby znoszone. W ten sposób gospodarka, etapowo zamrażana i rozmrażana, ma szansę dotrzeć w nieco lepszym stanie do końca pandemii.

PRZECIW:

Choć nikt nie przeczy, że testy są najlepszą metodą szacowania ryzyka i powinno się ich robić jak najwięcej, ich skuteczność nie jest wysoka. Trudno też wyobrazić sobie w praktyce regularne testowanie kilkudziesięciu milionów ludzi.

4. ODPORNOŚĆ STADA**ZA:**

W początkowej fazie epidemii bardzo często pojawiał się argument „odporności stada”. Oznaczał on, że nie warto walczyć z wirusem, lecz należy pozwolić mu swobodnie zarażać ludzi. I choć starsi oraz słabsi umrą w wyniku infekcji, to większość pozo-

stałych przejdzie łagodnie chorobę i nabierze odporności. Powątpiewano też w rzeczywistą zjadliwość koronawirusa, wskazując, że jego śmiertelność oscyluje prawdopodobnie w granicach zbliżonych do zwykłej grypy. Pojawiły się też badania, np. z renomowanego Uniwersytetu Stanforda, które – choć wykonywane na niewielkich grupach – sugerowały, że zdecydowana większość chorych przechodzi zakażenie bezobjawowo.

PRZECIW:

Strategia „odporności stada” straciła na znaczeniu, gdy zrezygnowała z niej Wielka Brytania, a jej premier Boris Johnson, wcześniej zwolennik niereagowania na epidemię, sam zaraził się koronawirusem. Do drugiej połowy kwietnia w Wielkiej Brytanii zanotowano blisko 150 tys. przypadków zakażeń, co potwierdza tezę, że brak lockdownu gwałtownie nakręca epidemię. O jej zjadliwości świadczą zaś inne badania pokazujące znaczący wzrost liczby zgonów w Wielkiej Brytanii od początku epidemii, co wywraca do góry nogami tezę o tym, że choroba wywołana koronawirusem nie jest bardziej groźna niż grypa. Naukowcy potwierdzają też, że przebycie choroby nie gwarantuje odporności na kolejne szczepy koronawirusa. Niewykluczone nawet, że organizm wcześniej osłabiony infekcją będzie mniej odporny na nowe zarażenie.



Nie ma też jasności co do tego, jaka liczba osób przechodzi chorobę bezobjawowo. Podawane badania z Uniwersytetu Stanforda są kwestionowane jako mało reprezentatywne. Ponadto brak objawów nie eliminuje ryzyka zarażenia (a nawet je zwiększa, bo chory nie zdaje sobie sprawy z infekcji), co poważnie utrudnia możliwość monitorowania epidemii.

5. KORONADARWINIZM

ZA: Poważnym problemem, na który wskazują przeciwnicy lockdownu, jest groźba strukturalnych zmian w światowej gospodarce związanych z możliwymi zmianami własnościowymi i prowadzących do pogłębienia i tak już dotkliwych nierówności dochodowych. Wywołane przedłużającym się lockdownem osłabienie przedsiębiorstw staje się za-



chęcią do wrogich przejęć oraz spekulacji giełdowych, które mogą doprowadzić nie tylko do jeszcze większego rozchwiania gospodarki, lecz również do trudnych dziś do przewidzenia konsekwencji politycznych i społecznych. Najbogatsi, którzy zgromadzili wcześniej duże oszczędności i w związku z tym posiadają dziś odpowiednie zasoby kapitału, mogą teraz wyruszyć na wielkie zakupy, przejmując przecenione firmy i stając się tym samym jeszcze bogatsi. Tymczasem suma pieniędzy znajdująca się w światowym obiegu jest – wbrew temu, co twierdzą poniektórzy – ograniczona, a zatem jeśli jednym przybędzie, to inni automatycznie zubożeją. Łatwo przewidzieć, że tymi, którzy stracą, będą osoby żyjące z pracy najemnej, co może poszerzyć i tak już rozległe obszary wykluczenia ekonomicznego o kolejne grupy ludności.

Można sobie też wyobrazić, że z nadarzącej się okazji poszerzenia swoich wpływów politycznych i ekonomicznych zechcą skorzystać państwa, które posiadają silne gospodarki lub stosunkowo dobrze dają sobie radę z pandemią, np. Chiny (lecz również Stany Zjednoczone).

PRZECIW: Istniejące zagrożenie zauważyli już Niemcy, a w ślad za nimi kilka innych państw, wśród nich Polska. Niemcy przygotowują już ustawę, która ma zapobiec wrogim przejęciom, podobne zapowiedzi zgłosił w Polsce premier Mateusz Morawiecki. Ma to pozwolić na połączenie rygorów lockdownu z bezpieczeństwem gospodarki i obywateli.

Przeciwnicy szybkiego zniesienia lockdownu chcą na razie zapobiegać osłabieniu gospodarki i jej „kolonizacji” przez obcy kapitał, korzystając – tak jak w powyższym przypadku – z instrumentów prawnych oraz z odwoływania się do solidarności społecznej. Przypominają, że ważną formą wsparcia dla polskiej gospodarki jest również świadomy wybór konsumentów polegający na kupowaniu rodzimych produktów. Jak obliczono, 79 gr z każdej złotówki wydanej na zakup polskiego produktu pozostaje w naszej gospodarce. Wynika z tego, że łączny wzrost o 1 proc. daje Polsce 6,6 mld zł zysku.

Ostrzega się, że zniesienie lockdownu, w sytuacji gdy epidemia nie została opanowana, może w przypadku jej gwałtownego rozprzestrzenienia narazić gospodarkę na jeszcze większe straty, a jeśli do nich dojdzie, to ryzyko wykupu i spekulacji może się okazać znacznie większe niż dziś.

6. SPADEK DYSCYPLINY

ZA: W tej chwili zdecydowana większość społeczeństwa stara się – w lepszy lub gorszy sposób – utrzymać dyscyplinę izolacji. Jak wynika z badań, ok. 75 proc. Polaków opowiada się za utrzymaniem lockdownu. Jednak im dłużej potrwać restrykcje, tym więcej osób będzie je kontestować i obchodzić. Zwłaszcza że zbliża się lato, które nie sprzyja przesiadywaniu w domach. Wpływ na zachowania społeczne ma też

wiek oraz zasobność portfeli. Młodzi łatwiej przechodzą chorobę i mniej się jej obawiają. Z kolei osoby słabiej zarażające – a należy się spodziewać, że z każdym tygodniem ich liczba będzie wzrastała – będą coraz mniej zdeterminowane, aby przestrzegać zasad lockdownu. Poszukiwanie zarobku zmusi je do aktywności również na zewnątrz.

Przeciwnicy lockdownu proponują więc selektywne stosowanie restrykcji, którym miałyby podlegać wyłącznie osoby starsze, chorowite i najbardziej zagrożone. Pozostali powinni funkcjonować normalnie. Podawany jest m.in. przykład Szwecji, która nie wprowadziła dotąd restrykcji, ale uniknęła scenariusza włoskiego.

PRZECIW: Podstawowym argumentem przeciwko jest brak wiedzy o właściwościach koronawirusa. Ciągłe nie ma przekonujących dowodów na to, że jedynie osoby starsze i cierpiące na niektóre dolegliwości (cukrzyca, nadciśnienie) są najbardziej narażone. Trudno zatem dokonać selekcji bez ryzyka gwałtownego przyrostu liczby chorych. Przykład szwedzki można interpretować też w zupełnie inny sposób. Liczba zgonów w Szwecji jest wielokrotnie wyższa od przeciętnej w Europie, co może wskazywać, że rzeczywista liczba chorych jest większa, niż wykazują to tamtejsze statystyki. Jest więc zbyt wcześnie, aby uważać Szwecję za reprezentatywny przykład, tym bardziej że istnieje zupełnie inny – australijski. Australia, która miała bardzo podobną liczbę zachorowań do Polski w odróżnieniu od Szwecji, wprowadziła bardzo ostre reguły lockdownu i w tej chwili notuje minimalne przyrosty chorych, zaledwie kilkunastu dziennie. Udało się jej również zbić liczbę aktywnych przypadków do zaledwie 1,5 tys. (z łącznej liczby niecałych 7 tys. zdiagnozowanych).

Lepiej więc – jak twierdzą zwolennicy lockdownu – jeszcze trochę przetrzymać. Niektórzy dodają nawet, że warto się zadłużyć, aby pomóc najbardziej potrzebującym. Ostatecznie bowiem im więcej z nas wyjdzie z zamrożenia w lepszej kondycji, tym szybciej odbudujemy gospodarkę.



Ideologicznie zainfekowani



Jak Hiszpania zareagowała na pierwsze przypadki koronawirusa?

O. Marek Raczkiewicz: o nowym wirusie w Chinach mówiło się już w grudniu. Bez strachu. Chiny leżą przecież daleko od Hiszpanii. Nagle się okazało, że wirus jest już we Włoszech. Nie wzbudziło to jednak większego niepokoju, ponieważ miała to być tylko nowa forma grypy. 31 stycznia, na leżącej 2 tys. km od Madrytu wyspie La Gomera (Wyspy Kanaryjskie), pojawił się pierwszy przypadek koronawirusa w Hiszpanii. Media mówiły o niemieckim turyście, który skarżył się na brak piwa. Kolejny przypadek odnotowano na Teneryfie. Tym razem był to włoski lekarz, który przyjechał na wakacje – kwarantanna objęła wszystkich gości hotelowych (1 tys. osób). Liczba robiła

„Heteropatriarchat zabija bardziej niż koronawirus”

– to było hasło feministek, które 8 marca zorganizowały wielkie manifestacje w całym kraju. Wzięło w nich udział nawet milion osób. Wymowne jest zdjęcie czołówki protestu w Mardrycie: wicepremier Carmen Calvo, minister ds. równouprawnienia Irene Montero, minister polityki terytorialnej Carolina Darias, żona premiera Begoña Gómez, wszyscy w fioletowych rękawiczkach. Wszyscy padli ofiarą wirusa. A ilu uczestników obchodów Dnia Kobiet, nigdy się nie dowiemy

*O przebiegu epidemii w Hiszpanii
z o. Markiem Raczkiewiczem, redemptorystą,
od 30 lat duszpasterzem Polonii w tym kraju,
rozmawia Piotr Słabek*

wrażenie, poruszyła lokalną społeczność, ale Teneryfa leży daleko od kontynentu.

24 lutego stwierdzono pierwszy przypadek w Hiszpanii kontynentalnej, w Barcelonie, ale 36-letnia Włoszka czuła się dobrze. W mediach coraz więcej mówiono o dramatycznej sytuacji w Lombardii: szybko rosnąca liczba zakażeń, zgony, kwarantanna. Do kraju zaczęli wracać hiszpańscy studenci, którzy przebywali we Włoszech w ramach Erasmus, niektórzy byli zarażeni. Społeczeństwo zaczęło się niepokoić. Tym bardziej że Światowa Organizacja Zdrowia apelowała o podjęcie rygorystycznych kroków, aby stawić czoła wirusowi. Rząd ciągle zapewniał, że nie ma się czego obawiać, a kraj ma jeden z najsolidniejszych systemów opieki zdrowotnej. Przełomem był 8 marca i manifestacje feministek. Nagle się okazało, że w kraju mamy epidemię.

Zapewniano, że kraj jest dobrze przygotowany i świetnie poradzi sobie z epidemią?

Oczywiście. I to wiele razy. Hiszpania zawsze była dumna ze swojego systemu opieki zdrowotnej. W mediach zaczął się systematycznie pojawiać epidemiolog Fernando Simón Soria, dyrektor Centrum Koordynacji Alarmowej w Ministerstwie Zdrowia. Stanowczo zapewniał, że kraj jest przygotowany, że spodziewanych jest co najwyżej kilka przypadków, że Hiszpanii nie grozi żadna epidemia. Przed manifestacjami z okazji 8 marca, kiedy w kraju odnotowano już ok. 400 przypadków zarażenia i pierwsze zgony, pojawiły się apele o ich odwołanie. Wtedy Fernando Simón powiedział, że jeśli syn go zapyta, czy może pójść na manifestację, to mu odpowie, żeby robił, jak uważa. Później sam padł ofiarą koronawirusa.

W Polsce minister zdrowia w okresie narastającej pandemii stał się niemal twarzą rządu. Czy podobnie wyglądało to w Hiszpanii?

Ministrem zdrowia w obecnym rządzie jest Salvador Illa, członek Partii Socjalistów Katalonii. Do rządu trafił, można powiedzieć, przypadkiem lub z politycznego przydziału, jego nominacja to gest dobrej woli wobec Katalonii i katalońskich separatystów. Trzeba jednak podkreślić, że nie jest lekarzem, lecz zwykłym urzędnikiem, magistrem filozofii. Nic więc dziwnego, że na konferencjach prasowych nie potrafił odpowiedzieć na podstawowe pytania dziennikarzy dotyczące epidemii. Mimo zapewnień władz, że wszystko jest w najlepszym porządku, społeczeństwo nagle uświadomiło sobie, że zdrowie obywateli jest w rękach zwykłych polityków i urzędników, a nie specjalistów. Na dodatek główne media ciągle przedstawiały ich jako fachowców, co wywołało uzasadnione sprzeciw.

Władze sanitarne rekomendowały, aby w zagrożonych rejonach imprezy sportowe odbywały się bez udziału widzów. Czy rząd posłuchał tych rekomendacji?

Pamiętam, że w niedzielę 8 marca rozmawiałem z lekarzem pracującym w madryckim szpitalu. Mówił o rozprzestrzeniającym się szybko wirusie, o czekającej nas ogromnej epidemii, na którą kraj nie jest przygotowany. Rząd nie podejmował jednak żadnych działań. Owszem, w niektórych regionach imprezy odbywały się już przy drzwiach zamkniętych. „Zobaczysz, że wszystko zacznie się jutro, po manifestacjach. Przecież nie będą się narażać feministkom” – tak powiedział. Tak się też stało. Dzisiaj się mówi, że należało wprowadzić stan alarmowy już w lutym. Zapobiegłoby to epidemii i tysiącom zgonów.

Jak to możliwe, że podczas narastającej pandemii zezwolono 8 marca na zorganizowanie manifestacji z okazji Dnia Kobiet w Madrycie i w wielu innych miejscach w Hiszpanii?

Warto przypomnieć, że w sobotę 7 marca we Włoszech zmarły 133 osoby, 8 marca – 366, w poniedziałek już 463. W Hiszpanii panował absolutny spokój, przynajmniej pozornie. Feministki i feminiści nawoływali do udziału w manifestacjach. Znany dziennikarz Lorenzo Milá mówił o koronawirusie, że „jest to rodzaj zwykłej grypy, o mniejszej śmiertelności. Nie możemy mówić o strasznym wirusie”. Pablo Echenique, rzecznik lewackiej partii Unidas Podemos, twierdził, że „w Hiszpanii koronawirus jest całkowicie pod kontrolą”. Gorszy jest tylko ten „wirus medialny”. Zachęcał do udziału w blisko tysiącu manifestacji, które zostały zorganizowane w całym kraju. Podobne stwierdzenia padały z ust wielu znanych osób.

W madryckiej manifestacji udział wzięło ok. 120 tys. ludzi (w całym kraju nawet milion). Wymowne jest zdjęcie jej czołówki: wicepremier Carmen Calvo, minister ds. równouprawnienia Irene Montero, minister polityki terytorialnej Carolina Darias, żona premiera Begoña Gómez. Oburzenie opinii publicznej wzbudziło wideo, na którym zakazywano pozdrawiać się pocałunkiem w policzki. Wiedzano już o zaraźliwości wirusa. I hasło feministek: „Heteropatriarchat zabija bardziej niż koronawirus”. Ideologia albo śmierć. Warto dodać, że 8 marca swój miting zorganizowała także skrajnie prawicowa partia Vox. Ofiarą wirusa padł jej szef Santiago Abascal i jego prawa ręka Ortega Smith.

Zdaniem rządu 8 marca wieczorem wzrosła liczba zakażeń, zaczęto więc wprowadzać obostrzenia. Od 11 marca nie pracują szkoły i uniwersytety. Później wprowadzono stan alarmowy w całym kraju. Ludzie zostali zamknięci w domach. Było już jednak za późno. Wirus szalał w całym kraju. Jego ofiarami padali przede wszystkim pensjonariusze w domach starców. Wydano zalecenia, aby respiratory podawać osobom starszym, jeśli mają szansę na wyzdrowienie i są przydatne społecznie. W Katalonii wprost zachęciano, aby osoby po 80. r.ż. umierały w domu.

Mówi się, że Hiszpanie niezbyt poważnie podchodzą do zaleceń tzw. dystansu społecznego. Czy łamanie zakazów wynikało bardziej z ich narodowego charakteru, czyli tego, że lubią spędzać czas z rodziną, ze znajomymi w barach, restauracjach, a może przyczyniła się do tego narracja mediów, by nie wpadać w panikę, bo koronawirus to tylko trochę „cięższa grypa”?

Pandemia zmieniła życie Hiszpanów. Wystarczy popatrzeć na tegoroczny Wielki Tydzień: puste ulice, brak barwnych i wielogodzinnych procesji, puste plaże. Takiej Hiszpanii nie pamiętają najstarsi ludzie. Ale trzeba powiedzieć, że ogólnie społeczeństwo zachowało się bardzo odpowiedzialnie. Owszem, po odwołaniu zajęć w szkołach i uniwersytetach wiele osób potraktowało te dni jako dodatkowe wakacje i wyjechało nad morze. Przyczyniło się to oczywiście do rozprzestrzenienia wirusa. Jednak zdecydowana większość przyjęła obostrzenia ze zrozumieniem. Zamknięcie szczególnie mocno przeżywają rodziny z dziećmi. Jest to prawdziwe wyzwanie. Każdego dnia o 20 oklaskami z balkonu dziękuje się lekarzom, ochronie zdrowia i wolontariuszom za ich pracę i poświęcenie.

Jak Hiszpanie oceniają swój rząd? Czy obecna sytuacja i obserwacja jego działań coś zmieni?

Epidemia koronawirusa ukazała brak koordynacji działań rządu, który tworzą Partia Socjalistów i lewacka Unidas Podemos. Jest to twór sztuczny, wyłoniony po długich negocjacjach z udziałem Katalończyków i Basków. Widoczne są chaos w podejmowaniu decyzji, brak profesjonalizmu, improwizacja, nieprzygotowanie. Oburzenie społeczeństwa budzi wielka śmiertelność, zwłaszcza osób w podeszłym wieku, najwyższa na świecie. Pojawiają się grupy, które chcą pociągnąć rząd do odpowiedzialności. Czy tak się stanie? Zobaczymy. Hiszpanie mają duży temperament. Być może społeczeństwo zechce pamiętać jak najszybciej o pandemii. Rząd robi wszystko, aby pokazać, że skutecznie walczy z koronawirusem (pomimo



nieudanych zakupów maseczek czy wadliwych testów). Jest chwalony przez prasę międzynarodową za to, że dba jak nikt o dobro kraju. Jednak 47,8 proc. społeczeństwa nie wierzy w powodzenie tych działań.

Czy może to wpłynąć na zmiany polityczne, powrót do władzy prawicy?

Osobiście wątpię. Hiszpańska prawica jest mocno podzielona i słaba. Tzw. skrajna prawica, czyli partia Vox, w swoim wizerunku i działaniach za bardzo przypomina czasy gen. Franco, co umiejętnie wykorzystuje lewica, utożsamiając krytykę działań rządu z prezentowaniem poglądów faszystowskich. Minister ds. równouprawnienia Irene Montero zaapelowała ostatnio do UE o odważne decyzje w walce z koronawirusem, decyzje „feministyczne” i „antyfaszystowskie”. Ponadto media są w rękach lewicy. Pod płaszczykiem zwalczania fake newsów na temat koronawirusa Pablo Iglesias, szef lewackiej Unidas Podemos, chce całkowitej kontroli mediów i serwisów społecznościowych. „Ultraprawica medialna nie może stanowić części społeczeństwa” – powiedział. Urabianiu opinii publicznej służy Ośrodek Badań Socjologicznych, który jest w rękach socjalistów.

Co ojciec sądzi o zapowiedzi rządu dotyczącej bezwarunkowego, gwarantowanego dochodu podstawowego?

Pandemia bardzo mocno dotknęła hiszpańską ekonomię. Odczuwają to szczególnie rodziny bez stałego dochodu. Wiele małych i średnich firm upadnie. Międzynarodowy Fundusz Walutowy prognozuje, że PKB skurczy się o 8 proc., bezrobocie zwiększy się do 20 proc. (obecnie ok. 13 proc.), a deficyt publiczny będzie największy w Europie. Zapowiedź rządowej pomocy padła z ust Pabla Iglesiasa, który za wszelką cenę dąży do wykorzystania kryzysu dla własnych celów politycznych, i wywołała napięcia w rządzie. Według tej zapowiedzi konkretne decyzje zapadną w połowie maja.

Z pewnością będą to działania pomocne dla wielu rodzin. Jednak rodzą się dwie poważne obawy. Po pierwsze, skąd wziąć pieniądze na tę „miniwyplata” i jak długo ma ona trwać. Po drugie, ma to charakter wyborczy, ideologiczny. Jeśli zmiany wejdą w życie, Iglesias zapewni sobie wiele głosów kosztem socjalistów. Do tego trzeba dodać jeszcze inne jego populistyczne idee, np. dokonanie nacjonalizacji prywatnych przedsiębiorstw czy też przejścia drugiego mieszkania lub domu, które posiada wiele rodzin. A to wszystko w imię „potrzeb patriotycznych”.

Czy zapowiedzi rządu o wznowieniu pracy w wielu przedsiębiorstwach nie wydają się kolejnym

lekceważeniem epidemii w kraju o największym wskaźniku zarażeń w Europie?

Owszem, są takie obawy. Rząd chce zrobić to stopniowo. Myślę, że potrzebna jest odpowiedzialność i współpraca wszystkich. Hiszpańska gospodarka została zamrożona na miesiąc. Skutki przymusowych zwolnień już są widoczne. Południe Hiszpanii potrzebuje 150 tys. osób do zbioru truskawek i warzyw. Zwykle przyjeżdżali ludzie spoza Hiszpanii. Teraz jest to raczej niemożliwe.

Jak w tej sytuacji działa Kościół?

Większość diecezji postanowiła zamknąć kościoły, aby nie narażać wiernych na koronawirusa. Choć nie wszystkie, bo np. Alcalá de Henares celebrowało msze przy zachowaniu bezpiecznej odległości, zgodnie z art. 11 o wprowadzeniu stanu alarmowego. Media doniosły o wejściu policji i przerwaniu mszy w kilku miejscach. Policja przerwała też liturgię Wielkiego Piątku w katedrze w Granadzie. Powstaje pytanie, czy przypadkiem nie zostało naruszone prawo do wolności religijnej.

Kościół od samego początku starał się być blisko wiernych. Wiele parafii zorganizowało transmisję mszy i innych modlitw przez internet. Wydarzenia Wielkiego Tygodnia można było śledzić w telewizji. Oprócz modlitwy bardzo ważna jest działalność



charytatywna. Caritas, organizacje kościelne, zakony, duszpasterstwo młodzieży, parafie zorganizowały grupy wolontariuszy, którzy pomagają, przy zachowaniu środków bezpieczeństwa i higieny, szczególnie osobom starszym, samotnym, chorym choćby w zrobieniu zakupów, wizytach u lekarzy. Warto podkreślić to zaangażowanie Kościoła, o którym niestety nie informują media.

Czy sądzi ojciec, że taka sytuacja skłania wielu ludzi do większej refleksji, zmiany swego życia?

Myślę, że to zależy od osoby. Z dnia na dzień okazało się, że człowiek nie jest wszechmocny mimo swojej wiedzy i rozwiniętej technologii. Niewidoczny wirus zmienił radykalnie życie rodziny, społeczeństwa, świata. Pandemia przypominała też o solidarności i wzajemnej pomocy. Miejmy nadzieję, że nie zapomnimy o tym, kiedy koronawirus ustąpi. Mniej ekonomii, a więcej człowieczeństwa. Ponadto wzrosła świadomość wartości rodziny. Tysiące osób bardzo boleśnie odczuło to, że nie mogło się pożegnać z umierającymi rodzicami i krewnymi. To wielka tragedia, której nikt nie zapomni. Warto docenić też tych, którzy przygotowują jedzenie dla lekarzy czy pielęgniarów, bo przecież najwięcej przypadków koronawirusa jest wśród personelu medycznego.

Jaki jest stosunek społeczeństwa hiszpańskiego do Boga, Kościoła, wiary i religii?

Hiszpania jest przykładem bardzo szybko postępującej laicyzacji i przeżywa największy spadek religijności w swojej historii. Choć do katolicyzmu przynajmniej się jeszcze dwie trzecie populacji, to coraz rzadziej ludzie praktykują swoją wiarę i nie uczestniczą w obrzędach religijnych. Rok temu Ośrodek Badań Socjologicznych (CIS) podał, że po 2015 r. nastąpił też najwyższy w historii wzrost liczby niewierzących wśród osób w wieku 18–24 lat. Co druga z nich deklaruje, że nie wyznaje żadnej religii i nie wierzy w istnienie Boga. W ostatnich latach radykalnie zmniejszyła się też liczba ślubów kościelnych. Liczba osób, które przynajmniej się do wiary, wzrasta z wiekiem, najwięcej jest ich po 70. r.ż. Oczywiście parafie, a zwłaszcza ruchy religijne starają się przyciągnąć młodych, ale w praktyce kościoły wypełniają osoby starsze. Na dodatek katolicyzm został połączony z prawicą, co umiejętnie wykorzystuje lewica. Siły postępowe to siły lewicowe. Nie sądzę, aby panująca pandemia odwróciła proces laicyzacji w Hiszpanii.

Co zaoferuje hiszpański Kościół wiernym po epidemii?

Pandemia zdziesiątkowała wiele wspólnot zakonnych, szczególnie

żeńskich. Niektóre z nich zamknęły się w obawie przed koronawirusem, ponieważ należą do grupy ryzyka. Trzeba pamiętać, że 87 proc. wszystkich zmarłych w Hiszpanii to osoby powyżej 70 lat. Kościół stara się być blisko wiernych na różne sposoby. Czy jednak pasywny odbiór mszy, modlitwy pomaga w wierze? Czy organizowanie mszy na dachach kościołów bądź klasztorów i puszczanie głośnej muzyki religijnej na dzień lub dwa, a nawet codziennie przez miesiąc przyciągnie ludzi? Kto wróci do kościołów zamkniętych tak długo? I wreszcie najważniejsze pytanie: czy Kościół jest mi potrzebny? Myślę, że już teraz należy myśleć o etapie powirusowym, aby przedstawić inicjatywy prawdziwie ewangeliczne. Może mniej działać, a więcej być? Może szukać języka bardziej zrozumiałego dla ludzi? Może mniej nas, a więcej Jezusa Chrystusa? /

O. Marek Raczkiewicz jest re-demptorystą, od 30 lat duszpasterzem Polonii w Hiszpanii, profesorem na Wydziale San Dámaso w Madrycie, dziennikarzem i korespondentem Radia Watykańskiego, Radia Maryja i Telewizji Trwam. W 2018 r. został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski

Wróg Szumowski

W miarę rozwoju pandemii minister zdrowia miał być obciążeniem dla obozu rządzącego, a jest jednym z jego najsilniejszych ogniw



STANISŁAW JANECKI

Minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski był akceptowany przez opozycję i jej media do momentu, aż uświadomił im istnienie czasu i politycznego kalendarza. W beczasowej rzeczywistości był fachowcem, ekspertem, profesorem medycyny, menedżerem zdrowia. Skupiającym się wyłącznie na tym, co techniczne.

Tuż po świętach wielkanocnych oczekiwano od niego prognozy epidemiczno-politycznej, czyli określenia, w jakim czasie i na jakich warunkach możliwe są wybory. I choć udzielił odpowiedzi eksperckiej: „Wybory w tradycyjnej formie są możliwe w bezpiecznej formie najwcześniej za dwa lata. Jeśli partie polityczne nie zgodzą się z tym, wtedy jedyną bezpieczną formą są wybory korespondencyjne”, to natychmiast odkryto, że jest politykiem, i to politykiem Prawa i Sprawiedliwości. A to ostatnie przekreśla bycie fachowcem, ekspertem, profesorem medycyny, menedżerem zdrowia.

Od tego momentu prof. Łukasz Szumowski stał się dla opozycji i jej mediów wrogiem ludu, zakałą zawodu, wyrodnym uczniem Hipokratesa. Nie przyjęto do wiadomości tego, co mówił 22 kwietnia 2020 r. na antenie radiowej Jedynki: „Moje rekomendacje w sprawie wyborów są rekomendacjami ściśle medycznymi i nie mają nic wspólnego z interesami politycznymi żadnego ugrupowania politycznego”.

MORALIŚCI I INKWIZYTORZY

Opozycja tylko czekała, kiedy będzie się mogła dobrać do Łukasza Szumowskiego, a uznano to za możliwe wtedy, gdy sprowadzi się go do roli wyłącznie polityka. I wówczas profesor medycyny stał się wrogiem nie tylko opozycyjnych polityków, lecz także pacjentów, lekarzy i personelu medycznego, choć w ostatnich tygodniach nie było w świecie polityki osoby bardziej niż on oddanej pacjentom, lekarzom i personelowi medycznemu.

Jako jeden z pierwszych zaatakował marszałek Senatu Tomasz Grodzki – z pozycji profesora medycyny: „Jestem głęboko rozczarowany, że profesor nauk medycznych – minister zdrowia Łukasz Szumowski – przedłożył doraźny interes polityczny nad przysięgę Hipokratesa. Polityka nie powinna dominować nad etyką lekarską”. W sprawie etyki lekarskiej prof. Grodzki miałby zapewne dużo do powiedzenia na własnym przykładzie, ale dopiero wtedy, kiedy refleksy zostałyby od niego odwrócone.

Lekarzami i ekspertami od etyki lekarskiej poculi się też wicemarszałek Sejmu, kandydatka na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska oraz eurodeputowany, były premier, Leszek Miller. Ta pierwsza wyraziła swoją ekspercką opinię: „Wybory korespondencyjne w maju nie będą ani bezpieczne, ani uczciwe, ani tajne. Panie Ministrze Szumowski, przysięga Hipokratesa obowiązuje dziś szczególnie Pana”. Ten drugi wypowiedział się w stylu politruka, jakim przez dekady był w czasach PRL: „Pan Szumowski już od dawna przestał być lekarzem, wpadając w bagno pisowskiej polityki”.

W recenzowaniu i moralnym linczowaniu prof. Szumowskiego nie mogło zabraknąć kandydata Lewicy na prezydenta Roberta Biedronia: „Szczere mówiąc, liczyłem, że minister Szumowski zachowa się odpowie-

działanie. Dotąd na tle reszty się wyróżniał. Ale dziś zamiast odpowiedzialności za państwo wybrał odpowiedzialność przed prezesem. W PiS wszyscy tańczą, jak Kaczyński zagra. Przykre”. Nie mogło też zabraknąć lewicowej moralistki Barbary Nowackiej: „Maseczki nie są potrzebne. Wybory korespondencyjne są bezpieczne. Minister Szumowski jest wiarygodny. Jak PiS”. A skoro Nowacka, to tym bardziej dyżurne moralizatorki Kamila Gasiuk-Pihowicz i Joanna Scheuring-Wielgus. Pierwsza napisała: „Szumowski: Nie noście masetek. 2 mld na propagandę – nie na onkologię. Cotygodniowe testy – nie dla medyków. Konsultanci wojewódzcy – zakaz wypowiedzi o epidemii. TAK dla wyborów kopertowych 10 maja. Polityczne szaleństwo w pigułce”. Druga zdekonspirowała ministra i profesora: „Rekomendacja min. Szumowskiego ws. wyborów świadczy o tym, że on i jego podkrążone oczy chodzą na pasku posła Kaczyńskiego, który uparł się na wybory, więc wybory mają być i kropka! Profesorze Szumowski, po pierwsze nie szkodzić. Pamięta Pan tę zasadę?”.

Swoje głosy dołożyli celebryci oraz eksperci od wszystkiego, czyli od niczego. Zarzucono prof. Szumowskiemu na przykład tak kardynalną wadę jak katolicyzm („Newsweek Polska”). Szybko pojawiło się też, np. w wydaniu posła PO Roberta Kropiwnickiego (skądinąd moralnego wzorca z Sèvres), straszenie art. 165 Kodeksu karnego: „Kto sprowadza niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia wielu osób, powodując szerzenie się choroby zakaźnej, a następstwem tego jest śmierć człowieka lub ciężki uszczerbek na zdrowiu, podlega karze pozbawienia wolności do 12 lat”.

GRZECH KOMPETENCJI

Ataki na prof. Szumowskiego zaczęły się w momencie, gdy stał się on najbardziej cenionym i szanowanym politykiem w Polsce. W ankiecie CBOS w marcu 2020 r. zaufanie do Łukasza Szumowskiego zadeklarowało 46 proc. badanych, podczas gdy miesiąc wcześniej tylko 19 proc. W pierwszym tygodniu kwietnia 2020 r. prof. Łukasz Szumowski cieszył się największym zaufaniem Polaków

spośród wszystkich polityków. Z sondażu IBRiS dla Onetu wynikało, że Łukaszowi Szumowskiemu ufa 51,1 proc. Polaków, co oznaczało wyprzedzenie prezydenta Andrzeja Dudy (44,5 proc.) oraz premiera Mateusza Morawieckiego (42,5 proc.). Doceniono to, że dzięki szybkim i odważnym decyzjom ministra zdrowia w Polsce było w tym czasie o cztery–pięć razy mniej zakażonych, niż być mogło, co potwierdzały dane z innych państw.

W pierwszym tygodniu kwietnia 2020 r. prof. Łukasz Szumowski cieszył się największym zaufaniem Polaków spośród wszystkich polityków

Jak będzie jesienią? „Muszę zakładać i być przygotowany na scenariusze pesymistyczne. Muszę zapewnić respiratory dla każdego, a nie dla wybranych, jak to jest w innych krajach. [...] Mamy na razie zapasy w szpitalach, ale one mogą się szybko napelnić. Na szczęście nie widać tak drastycznego przyrostu, jaki był we Włoszech i Hiszpanii. [...] Liczba zgonów w 10-milionowej Szwecji jest przerażająca. Nie zgadzam się na takie darwinistyczne podejście – przechorujemy, słabsi będą umierać” – mówił prof. Szumowski (w Jedynce PR) 22 kwietnia 2020 r. Czy w takiej sytuacji mógł powiedzieć co innego, gdy chodzi o perspektywę bezpiecznych wyborów? „Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to jedyną formą, którą widzę w czasach epidemii, to wybory korespondencyjne. Z medycznego punktu widzenia, z punktu widzenia nauki, nie ma lepszego lub gorszego terminu” – mówił prof. Szumowski. Ale przez to zepsuł narrację opozycji, która chce dopasować termin i tryb przeprowadzenia wyborów do nastrojów społecznych oraz własnych notowań.

Największym grzechem ministra Łukasza Szumowskiego jest to, że poszerza on pulę polityków PiS, którzy nie tylko

przodują w rankingach zaufania, lecz także mogą zajmować najwyższe stanowiska w państwie. A to poszerzanie puli jest odwrotnie proporcjonalne do stanu po stronie opozycji. Tam każdy, kogo próbuje się promować w takiej roli, bardzo szybko się kompromituje, przez co pula się kurczy, zamiast rozszerzać.

Poza tym na tle prof. Łukasza Szumowskiego bardzo wyraźnie widać marność ministrów zdrowia w rządach PO – Ewy Kopacz i Bartosza Arłukowicza. Nieprzypadkowo najlepszy minister zdrowia z tego rozdania (urzędujący tylko kilka miesięcy) prof. Marian Zembala bardzo wysoko ocenia działania i kwalifikacje prof. Szumowskiego.

Opozycja liczyła na to, że rząd Mateusza Morawieckiego nie poradzi sobie z pandemią ani w gospodarce, ani na rynku pracy, ani w kwestiach społecznych, a przede wszystkim w ochronie zdrowia. Tymczasem w porównaniu z innymi państwami we wszystkich tych dziedzinach rząd radzi sobie dobrze, co zauważyły zagraniczne media, np. wpływowy „Wall Street Journal”. Także w kraju opinia publiczna dobrze ocenia (od 54 do 60 proc. ocen pozytywnych) działania rządu w walce z pandemią. Opozycja znalazła się w pułapce, liczyła bowiem na to, iż pandemia pomoże jej przełamać coraz większe straty, zarówno gdy chodzi o partie, jak i ich kandydatów na prezydenta. Pandemia miała to odwrócić, tymczasem kiepskie notowania są dla opozycji jeszcze gorsze: PiS ma obecnie poparcie między 45 a 51 proc., Andrzej Duda zaś nawet sześciokrotnie wyższe niż drugi Władysław Kosiniak-Kamysz (59 do 10 proc.).

Ataki na Łukasza Szumowskiego i resort zdrowia miały spowodować zmianę nastrojów i odwrócenie trendu, ale nic takiego nie widać. Prof. Szumowski, gdy już musiał się wypowiedzieć w sprawie wyborów, miał być obciążeniem dla obozu rządzącego, a jest jednym z jego najsilniejszych ogniw. Wzmacnia wizerunek rządu jako ekipy fachowców, a swój jako osoby kompetentnej, odpowiedzialnej, pracowitej, zaangażowanej i godnej zaufania. A to jest najgorsze, co opozycję może spotkać. Dlatego jest tak brutalnie atakowany.

Wolność słowa, czyli TVP recenzuje TVN

Materiały publicystyczne na temat stacji TVN, które opublikowała Telewizja Polska, wywołały oburzenie po lewicowo-liberalnej stronie. A przecież telewizja z Wiertniczej została potraktowana niezwykle łagodnie, jak na skalę swoich dezinformacyjnych popisów



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Po serii ataków „Faktów” TVN na tegoroczne obchody katastrofy smoleńskiej, jako rzekomo naruszających dobry obyczaj i standardy bezpieczeństwa epidemicznego, TVP przeszła do kontrataku. Przez trzy dni w głównych wydaniach „Wiadomości” pokazywano przykłady przemilczeń, rozmijania się z prawdą oraz nakręcania atmosfery strachu i paniki w tej dużej prywatnej stacji.

PREZYDENT MA DOŚĆ KŁAMSTW

Pierwszy raz tak ostro prezydent zareagował jeszcze przed zaprzysiężeniem. Dziennikarz dużej stacji informacyjnej próbował na konferencji prasowej zadać pytanie, ale zwycięzca w wyborach zadącał ostentacyjnie ignorować. „Panie prezydencie elekcie, atakuje pan agencję informacyjną, czy może pan dać nam szansę?” – dociskał reporter, ale polityk tylko omiotł go wzrokiem. Pracownik mediów zaczął coraz głośniej perorować, zakłócając wystąpienie prezydenta, aż wreszcie Donald Trump – bo to o jego konferencji prasowej mowa – odpowiedział dosadnie: „Wasza agencja jest okropna”. A gdy to nie pomogło, spokojnym, ale stanowczym głosem powtórzył kilkakrotnie: „Niech pan nie będzie arogancki, niech pan nie będzie arogancki”. Po kolejnych słowach: „Nie jesteście agencją informacyjną, je-

ścieście fake newsami”. Trump dostał oklaski, które uciszyły dziennikarza.

Chodziło o telewizję informacyjną CNN, założoną przez magnata medialnego Roberta Edwarda Turnera, prezentującego skrajnie lewicowe poglądy. Amerykański biznesmen z pewnością nie zna Jerzego Urbana, ale wiele pogardliwych określeń śmiało mógłby zaczerpnąć od niego. Katolików uczestniczących w Środzie Popielcowej nazwał kiedyś „wybrykami Jezusa”, a przeciwników aborcji „kłownami”. Liberalizujące się społeczeństwo amerykańskie zgadzało się na te prymitywne ataki, rozumiejąc wolność słowa jako „dowolność słowa”. Tym większe zdziwienie wywołał Donald Trump, który konsekwentnie od czterech lat nazywa CNN „fake newsami”, czyli po prostu stacją dezinformacyjną. Ale skoro prezydent USA

spotyka się z kłamstwami na swój temat, to dlaczego miałby na to nie odpowiadać?

POLSKI PRZYPADEK

Na tym tle spór na linii TVP i TVN jest nadzwyczaj łagodny, ale wywołuje również wielką konsternację. Podstawą oburzenia, które serwują swoim odbiorcom lewicowo-liberalne media, jest to, że Telewizja Publiczna jest współfinansowana z budżetu państwa, a TVN nie. Ze strony stowarzyszenia Towarzystwo Dziennikarskie, wywodzącego się ze środowiska „Gazety Wyborczej”, padł nawet dość zabawny argument, że: „TVP oczernia prywatnego nadawcę, który nie korzysta z publicznych pieniędzy i nie musi być »bezbiasny, wyważony i pluralistyczny«”, przyznając tym samym, że TVN



jest stronnicy i agresywny, a jego przekaz ma jednostronny wydźwięk.

Tymczasem Ustawa o radiofonii i telewizji, która ma dbać o wolność słowa, nie zezwala na wszystkie treści. Według prawodawców media „powinny szanować przekonania religijne odbiorców, a zwłaszcza chrześcijański system wartości”, a także „nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym”.

Czy polską racją stanu jest ciągle sugerowanie, że Polska to właśnie już Korea Północna, jak to ma miejsce w TVN? Czy zauważalny entuzjazm dla antykatolickiej kampanii pod krzyżem przed Pałacem Prezydenckim latem 2010 r. był „szacunkiem dla przekonań religijnych odbiorców” i „chrześcijańskiego systemu wartości”? Czy fake news orzekomych słowach pilotów tułowia z 10 kwietnia: „Jak nie wylądujemy, to nas zabije”, które układały się zgodnie z narracją wysokiego oficera KGB gen. Anodiny, był zgodny „z polską racją stanu”, czego wymaga ustawa o mediach? Przykładów można by mnożyć do poziomu obszernej publikacji książkowej.

PRZECIW FAKE NEWSOM

W odpowiedzi na skargę ówczesnej posłanki prof. Krystyny Pawłowicz z listopada 2016 r. do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, właśnie na stację TVN, zapytane gremium odpowiedziało dość enigmatycznie, że: „szanując prawo nadawcy do wolności słowa i oceny zarówno działań rządu, jak parlamentu i poszczególnych polityków, wzywa stację TVN do unikania w przyszłości tego typu narracji”. Wygrywa więc amerykańska wizja dowolności słowa, której tamę jako pierwszy postawił Donald Trump.

Skoro jednak ani na poziomie ustawy, ani na poziomie obecnych przepisów nie da się zwalczać fake newsów i niedomówień, to dlaczego zdziwienie wywołuje informowanie o takich praktykach w wykonaniu TVN?

Zrzeszająca dziennikarzy z całego świata Global Investigative Journalism Network radzi, by z fake newsami walczyć poprzez „weryfikację źródeł informacji”.

Amerykańska dziennikarka Shaydanay Urbani, badaczka problemu dezinformacji w internecie, zaleca pięć kroków w weryfikacji wiarygodności newsa: sprawdzenie jego pochodzenia, źródła, daty, lokalizacji i motywacji. Rzecz jasna nie będą robić tego obywatele, którym państwo ma zagwarantować dostęp do wiarygodnych mediów. Zwróćmy jednak uwagę na ostatni filar obnażania fake newsów – motywację. Aby uznać wiadomość za wiarygodną, trzeba poznać, czy aby nadawca nie ma interesu, by zafałszować rzeczywistość lub – jak zapewniają nas członkowie Towarzystwa Dziennikarskiego – dlaczego TVN jest stronnicy.

Dlatego gdy „Wiadomości” TVP opisały peerelowskie koneksje założycieli stacji, oznaczało to uderzenie w miękkie

Gdy „Wiadomości” TVP opisały peerelowskie koneksje założycieli stacji, oznaczało to uderzenie w miękkie podbrzusze salonów III RP. Zabolalo, stąd oburzenie i kontrofensywa tego środowiska

podbrzusze salonów III RP. Zabolalo, stąd oburzenie i kontrofensywa tego środowiska. Uderzenie było zresztą łagodne. Z dokumentów opublikowanych przez Instytut Pamięi Narodowej już dekadę temu bowiem wynika, że Mariusz Walter, jeden z twórców TVN, był dla gen. Czesława Kiszczaka wymarzoną organizatorem propagandy pacyfikującej nastroje Polaków. Tak pisał 22 lutego 1983 r. Jerzy Urban do szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych:

„Mariusz Walter – nadaje się na głównego konsultanta jakiegoś szefa programowania, szefa realizacji programów radiowych i TV – jednym słowem nie kierownika pionu propagandy, lecz główną siłę koncepcyjno-fachową. Najzdolniejszy redaktor telewizyjny w Polsce, organizator i koncepcjonista. Przedstawia

(...) mnie sporo interesujących koncepcji ogólnopolitycznych i propagandowych”. Urban dodawał także: „Gdyby udało się pociągnąć Waltera, on zaproponuje dużo młodych, zdolnych ludzi. Ja dalej będę myśleć, rozglądać się i szukać”.

Czy to dziwne, że „dużo młodych, zdolnych ludzi” znalezionych przez Waltera może być motywowanych niejasnymi interesami i powiązaniem z czasów PRL i późniejszych?

PODWÓJNE STANDARDY

Ale obawa przed recenzowaniem działań serwisów informacyjnych TVN ma jeszcze jedno oblicze.

Przez całe dekady jedynie dziennikarze lewicowo-liberalni mieli być uznawani za profesjonalnych, obiektywnych, „prawdziwych” ludzi mediów. Autorzy ze strony prawicy byli przedstawiani jako „stronnicy”, „oszołomscy”, byli marginalizowani i etykietowani dużo poważniejszymi epitetami niż dzisiejsze określenie „pisowcy”. Obraz środowiska dziennikarskiego miał wyglądać tak, że w mainstreamie są ludzie przedstawiający tylko prawdę i tezy z jedynie słusznych nurtów politycznych, a reszta miała być najemnikami partii politycznych. Tymczasem to Jacek Żakowski, dziennikarz „Polityki”, osobiście zaangażował się w 2019 r. w zbieranie podpisów dla jednego z kandydatów do Senatu – Pawła Kasprzaka (Obywatele RP).

Na łamach „Wyborczej” co rusz czytamy o takich instrukcjach dla partii opozycyjnych, które mają doprowadzić do ich zwycięstwa politycznego.

To nawet nie powinno dziwić – ostatnią bezstronną gazetą, relacjonującą same suche fakty, była „Gazette de France” w XVII w. – późniejsze media z zasady angażowały się po stronie ideowych sporów, a to broniąc premiera, konkretnej polityki zagranicznej, atakując lub broniąc instytucje, rewolucje społeczne i konkretnych twórców. I w dzisiejszym sporze chodzi tylko o to podstawowe prawo – że na rynku medialnym nie ma świętych krów i każde środowisko dziennikarskie można recenzować pod kątem zgodności z faktami jego przekazu czy nawet poziomem profesjonalizmu. Na tym polega wolność słowa.

A portrait of a middle-aged man with a mustache, wearing a suit and a blue lanyard with a badge. He is looking directly at the camera. The background is slightly blurred, showing what appears to be a construction site or a large indoor space with scaffolding.

Wola niepodległości nie jest szaleństwem

O groźnym procederze uczenia Polaków kapitulantstwa, ale też konieczności przygotowania się na ponoszenie kosztów politycznych konfliktów opowiada w rozmowie z Jakubem Maciejewskim **prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski**, historyk i politolog

W swoim ostatnim tekście opublikowanym przez „Teologię Polityczną” odpowiada pan na zadane kilka dekad temu pytanie Tomasza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić?”. I pisze pan: „Bić się jak sto diabłów”. Czyli niczego się pan profesor nie nauczył z książek Zychowicza?

Przemysław Żurawski vel Grajewski: [śmiech] Ależ wprost przeciwnie. Skala manipulacji historycznej zawartej w jego książce pod dramatycznym tytułem „Pakt Piłsudski-Lenin” zainspirowała mnie do napisania recenzji tej publikacji. Dlaczego? Bo wykazał on absolutne niezrozumienie ówczesnej sytuacji politycznej Polski. Podobnie zresztą jak Rafał Ziemkiewicz, a ostatnio również Bartłomiej Radziejewski.

Nie przekonuje pana opowieść o wiecznym szaleństwie i nieracjonalności Polaków?

Jest to uwodzenie ludzi, którzy nie znają historii, a mają wielkie przekonanie, że gdyby grać sprytniej, toby się wszystko wygrywało. Niestety podprogowo zakodowany jest tu wniosek, że nie należy walczyć, że należy kapitulować.

Czyli dzisiaj też mamy postawy walki i postawy kapitulantstwa?

Kapitulantstwa na pewno tak, trudniej jest zdefiniować romantyczne podejście do polityki, skoro kiedyś sama myśl, że Polska może być niepodległa, wydawała się szaleństwem. Mówienie przed 1914 r., że wszystkie trzy mocarstwa rozbiorowe, chociaż będą walczyć po obu stronach konfliktu, jednocześnie przegrają wojnę, byłoby uznane za chciejstwo. W dodatku upadło najsilniejsze na kontynencie mocarstwo, czyli Niemcy, największe na świecie, czyli Rosja, i najstarsze z nich, czyli Imperium Habsburgów, i wtedy wyłoniła się nie-

podległa Polska. To wydawało się kompletnie niemożliwe, a dokładnie tak się stało.

Wola niepodległości nie jest szaleństwem. Trzeba tylko stosować ją wedle zasobów, którymi się dysponuje, i wykonywać okoliczności międzynarodowe.

Były jednak takie, pozornie racjonalne, postulaty porzucenia walk narodowowyzwoleńczych.

Wbrew pozorom – bardzo marginalne. Na przykład przeciwstawianie pozytywizmu romantyzmowi jest nieporozumieniem. Przecież idea rozwoju społecznego, gospodarczego i cywilizacyjnego miała służyć wytworzeniu sił fizycznych i moralnych narodu, aby w odpowiednim momencie sięgnąć po niepodległość. A że od czasu do czasu zaborcy uniemożliwiali nam spokojną pracę w tym kierunku, zmuszając nas do decyzji nagłych, to teraz, 200 lat po fakcie, siedząc w fotelu i popijając kawę, można z wyższością recenzować, jak to nie trzeba było się bić w 1830 r.

Mówi pan profesor tak, jakby pokojowa opcja nie była warta nawet rozważenia.

Czyli jaka? Była opcja, czy jako straż przednia inwazyjnej armii rosyjskiej pomaszerować na wojnę z Belgią i Francją, czy też ta straż przednia ma zawrócić i usiłować nie dopuścić do zajęcia przez Rosjan opustoszałych po naszych wojskach garnizonów. I co? Carska armia sama by wyszła potem z Polski, bo byśmy ich ładnie poprosili?

Nie było wyboru...

Gdybyśmy nie stawali w obliczu tak dramatycznych sytuacji, toby powstania nie wybuchały. Dylemat nie brzmiał: bić się czy nie bić, tylko np. w 1863 r. czy iść na 25 lat do armii rosyjskiej, walczyć z Czeczeńcami i Czerkiesami na Kaukazie w mundurze rosyjskich żołdaków, czy też iść do Kampinosu z kosami, biorąc udział w powstaniu.

Taka interpretacja zdarzeń zupełnie zmienia sposób patrzenia na „polskie szaleństwo”.

Ależ to powinno być oczywiste, że ludzie idą ginąć z bronią w ręku, kiedy nie mają innego wyjścia, kiedy muszą się bronić, bo najwyższe dla nich wartości, ale także sposób życia, są zagrożone. Albo będą ryzykować życie w interesie tyrana zaborcy, albo w sprawie własnej i własnego narodu. Dla mnie symbolem niemożności oszczędzenia krwi jest tablica w kościele świętych Piotra i Pawła w Wilnie, ufundowana przez rodziców synowi, który poległ w rosyjskim mundurze, walcząc z Węgrami w 1849 r. Ilu Polaków oddało życie w wojnach naszych zaborców? Ta krew, a nie krew powstańcza, była polską krwią rozlewana nadaremno.

Jakie postawy polityczne widoczne są więc dzisiaj, gdy nie ma aż tak dramatycznych wyborów?

Jak każde niepodległe państwo mamy przed sobą rozmaite wyzwania w starciach interesów politycznych z innymi graczami na arenie międzynarodowej. Takie starcia powodują koszt, napięcia zarówno materialne, jak i psychologiczne. Innymi słowy to obywatele RP muszą być mentalnie zdolni

do wchodzenia w spory polityczne z innymi podmiotami i ponosić tego koszty w nadziei na osiągnięcie sukcesów.

Ale w tych starciach trudno o sukcesy.

Jak w każdej grze raz będziemy wygrywali, raz przegrywali albo wynik będzie niewyraźny. Natomiast twierdzenie, że sukcesy będą bezkosztowe albo że jakiś zewnętrzny podmiot z ogólnohumanistycznych względów zajmie się naszymi interesami lepiej niż my sami, jest szalenie naiwne.

Trudno uwierzyć w naiwność polityków, którzy głoszą konieczność oddawania władzy Brukseli. Raczej nie robią tego bezinteresownie.

Nie mówiłem o naiwności polityków, ale o części opinii publicznej, która jest przez nich uwiedziona wizją schowania Polski w jakimś mitycznym głównym nurcie Unii Europejskiej, która jakoby sama z siebie zadba o nasze interesy. Tak by Polacy mogli beztrudno oddawać się uciechom życia, grillując i ciesząc się z ciepłej wody w kranie.

Nie obawia się pan profesor oskarżeń o zachęcanie do polexitu?

Unia Europejska jest istotną wartością, sposobem rozstrzygania sporów przy stole negocjacyjnym, a nie na polu bitwy, jak to wcześniej bywało. Jednak, gdy ktoś wmawia wyborcom, że nie ma różnic interesów między członkami UE, to albo opowiada bajki, albo prowadzi cyniczną grę, licząc na własne korzyści. Władze w Brukseli nie zostały powołane przez nieomylnie nadprzyrodzone moce, tylko przez ludzi. Stworzone przez nich mechanizmy mają prowadzić do ucierania się interesów wszystkich członków wspólnoty.

Wróćmy do polskich spraw/swar. Tych najbardziej aktualnych. Czy wybory prezydenckie w ustalonym wcześniej terminie są zagrożeniem dla życia i zdrowia Polaków?

To jest narracja jednego z obozów politycznych, który musi udratyzować skalę pandemii. Jest to o tyle trudne, że Polska na tle innych krajów Europy zachowuje się ponadprzeciętnie skutecznie. We Włoszech, Hiszpanii czy w tak dobrze zorganizowanym kraju jak Wielka Brytania COVID-19 zbiera ogromne żniwo, więc opozycji w Polsce pozostaje snuć rozmaite teorie spiskowe o ukrywaniu zgonów czy umyślnie niskiej liczbie przeprowadzanych testów. To by musiało oznaczać, że istnieje cała struktura zakonspirowanych lekarzy, którzy ze szczególnej sympatii do obozu rządzącego zaniżaliby statystyki, a dzielni śledczy z „Gazety Wyborczej” i TVN nikogo nie złapali za rękę, bo tak dobrze ten spisek jest zorganizowany.

Taka wizja, zabawna zresztą, nie ma pokrycia w faktach. Żadne ABW nie wyrzywa laptopów redaktorom tygodników, którzy coś wysledzili, na polecenie rządu nie są przejmowane gazety, jak to miało miejsce za czasów Donalda Tuska w przypadku dziennika „Rzeczpospolita”.

Może w sprawie samych wyborów jest inaczej? Może istnieje zagrożenie, że będą one nieprzejrzyste?

Część opinii publicznej w to wierzy, stąd też opowieści o szaleństwie, co ostatnio wprost sformułował nawet prezydent Poznania, pisząc o „psychopacie u władzy”. Odebranie racjonalności obozowi rządzącemu jest jedynym taktycznym zabiegiem dostępnym opozycji. Moim zdaniem to będzie nieskuteczne, bo skoro ludzie odbierają codziennie paczki i przesyłki, to widać, że ta gałąź działalności społecznej nie zamarła, dlatego trudno będzie właśnie w tej przestrzeni upatrywać szczególnego zagrożenia.

Jednak epidemia jest, temu nikt nie zaprzecza, a rząd nie chce wprowadzenia stanu klęski żywiołowej.

Ustawa z 2008 r. wyposaża rząd we wszelkie instrumenty potrzebne do walki z epidemią. Stan klęski żywiołowej w tym przypadku jest zbędny, jedyny skutek prawny, jaki wywoła, to przełożenie terminu wyborów. Łatwo byłoby taką decyzję zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego. Opozycja zaś z chwilą upływu kadencji niewątpliwie wszczęłaby kampanię propagandową na rzecz tezy, że urzędujący prezydent może już tylko pełnić funkcje ceremonialne, ale utracił mandat do podejmowania realnych decyzji. Były prezes TK prof. Andrzej Rzepliński już dał do tego sygnał, mówiąc ostatnio, że prezydent nie ma

prawa sprawować swoich obowiązków dłużej, niż przewiduje to konstytucja. Zapanowałby chaos, który byłby na rękę opozycji, ale na pewno nie byłby korzystny dla Polski.

Zresztą stan wyjątkowy byłby krytykowany – a to, że za ostry, a to, że za łagodny. Oficjalnie podawany powód tych ataków nie miałby znaczenia, co widać po reakcjach Brukseli. Węgry są potępiane za wprowadzenie stanu nadzwyczajnego, a Polska za jego niewprowadzenie. Kierowanie się sugestiami opozycji nie zlikwiduje konfliktu, tylko przeniesie go na inny obszar i na inne tematy.

Czyli pana zdaniem możemy być spokojni o jakość przeprowadzonych wyborów?

Jedynym poważnym zagadnieniem jest techniczna wykonalność tej procedury. Proste porównanie do wyborów korespondencyjnych w Monachium nie jest adekwatne – tam mieliśmy do czynienia ze zwartym skupiskiem ludzi na zurbanizowanym, dobrze skomunikowanym terenie. To samo wyzwanie rozciągnięte na 38 mln obywateli w całym, zróżnicowanym infrastrukturalnie kraju, jest już znacznie trudniejsze do przeprowadzenia.

Z drugiej strony rząd nie jest tu pionierem, nie musi zaczynać od zera – są doświadczenia Korei Południowej, Szwajcarii, niektórych stanów Ameryki Północnej. Można o tym dyskutować, ale podejmowanie tematu o fałszowaniu wyborów jest niemającym oparcia w jakichkolwiek faktach pomówieniem. A takie przesłanki mieliśmy za Platformy Obywatelskiej, kiedy pracownicy PKW jechali na „wymianę doświadczeń” do Moskwy. Na Mazowszu odbywało się głosowanie samorządowe, gdzie wzdłuż granic administracyjnych cudownym trafem wygrywało PSL, przy jednoczesnym dużym procencie głosów nieważnych. Pamiętna kompromitacja PKW, która w 2014 r. nie mogła przez prawie tydzień policzyć głosów, a w Szczecinie wybory prezydenckie wygrał człowiek, który nawet nie kandydował...

Przez pół tej rozmowy obalamy fake newsy i mity, które głoszą największe media w Polsce. Przed wojną taką dezinformację prowadziła zdelegalizowana i marginalna Komunistyczna Partia Polski – może coś z naszym państwem jest nie tak, że toleruje takie kłamstwa?

Takie kwestie byłyby rozstrzygane przez sądownictwo, ale Polska jest w trakcie reformy, w której trzecia władza jest jednym z głównych pólbitewnych o kształt państwa. Póki więc próby zmian nie zakończą się zwycięstwem w sensie znormalnienia wymiaru sprawiedliwości, będziemy mieli do czynienia z takimi zagrywkami, o których pan mówi. Ale mamy podstawy do optymizmu – reformy idą w pożądanym kierunku, rządzący mają świadomość, że nie mogą ustąpić, bo straciliby poparcie własnego elektoratu, a Polacy w swej masie nie dali się uwieść zakłamaną narracją i oczekują rozstrzygnięć, a nie daleko idących kompromisów.

COWSPORCIE?

OGLĄDAJ W **PONIEDZIAŁKI O 10.35**

W TELEWIZJI **W POLSCE/PL**

Sponsor programu

ORLEN

Autopromocja

K

ULTIMATY

W nowym serialu Netflixa Ksawery Szlenkier zagrał jedną z głównych postaci. Po francusku. W międzynarodowym składzie. „Kierunek: Noc” poprowadził go przez czerpiącą z fantastyki Jacka Dukaj’a fabułę, którą przeddefiniowała właśnie pandemia koronawirusa

Blaski nocy

Fot. Veronika Kosińska



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Eksperymentalny utwór „Starość aksolota”, którym zainteresowała się platforma Netflix, stał się zaczynem scenariusza sześcioczęściowej produkcji, która pod tytułem „Kierunek: Noc” (oryg. „Into the Night”) od 1 maja trafi do polskich widzów. Z książki autora fantastyki Jacka Dukaja zaczerpnięte zostały motywy: pomysł, który jeszcze parę miesięcy temu wydawał się bardzo odległy od rzeczywistości.

– Trochę to chichot losu, że właśnie w takich czasach „Into the Night” trafia do widza – komentuje Ksawery Szlenkier. – Nigdy bym się nie spodziewał, że w podobnym kontekście będziemy odczytywać własną pracę. Zachowanie naszych bohaterów, którzy znajdują się w sytuacji absolutnie ekstremalnej – totalnego zagrożenia, bólu po tych, którzy zostali z tyłu, dla których tytułowy „kierunek noc” stał się nieosiągalny.

LOT Z BRUKSELI

W pozornie typowych okolicznościach, w poczuciu bezpieczeństwa, jakie daje bliskość siedzib europejskich władz, na pokład samolotu wchodzi pierwszy pasażerowie. To ma być zwyczajny rejsowy lot – z Brukseli do Moskwy – ale nagle wszystko się zmienia. Po przejściu kontroli przez uzbrojonego wojskowego, nie czekając na resztę pasażerów i pełny

skład załogi, samolot startuje. Tuż przed wschodem słońca. Kieruje się na zachód, dla garstki znajdujących się w nim ludzi stając się właśnie współczesną arką.

Ci, którzy są w środku – w tym grany przez Ksawerego Szlenkiera Jakub, osiadły w Belgii Polak, specjalista od obsługi naziemnej samolotów – zastanawiają się, o co chodzi człowiekowi, który sterroryzował załogę. Czy to szaleniec?

Gdy dociera do nich, z jakiego powodu znaleźli się w powietrzu, dlaczego muszą lecieć w ciemności, nie są w stanie uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że jedyną szansą na przetrwanie jest ucieczka od słonecznych promieni. Tyle że na pokładzie samolotu jedynie odraczają to, co nieuchronne, jeśli nie uda im się znaleźć i dotrzeć do bezpiecznej kryjówki. Jeśli taka jest.

– W tej wielkiej blaszanej puszcze zamknięci są bardzo różni ludzie – starzy i młodzi, bogaci i biedni, z bagażem doświadczeń, które jednych budują, dla innych są balastem – mówi Ksawery Szlenkier. – Są na siebie skazani, zależni od siebie. By przetrwać, muszą się otworzyć na drugiego człowieka, bo bez jego pomocy, umiejętności, bez tego, co wniósł na pokład samolotu, ich przeżycie może być niemożliwe. Sytuacje ekstremalne burzą wcześniejszy porządek, weryfikują charaktery i postawy, otwierają bądź zamykają ludzi. Sporo może się zdarzyć. W naszym serialu również – zapowiada aktor.

BLISKO SIEBIE

Zagrać w produkcji Netflix... Marzy o tym wielu aktorów. Ksawery Szlenkier do takiej produkcji trafil.

– To są blaski tego zawodu – mówi. – Czasem zdarzają się takie zwariowane

przygody. I fantastyczne doświadczenia. Nie tylko aktorskie, bo spotkałem ludzi z różnych kultur i różnych stron, z odmiennym bagażem zawodowym i życiowym. I znaleźliśmy wspólny język, stworzyliśmy wspierającą się grupę. Po części może dlatego, że – zamknięci w serialowym samolocie – byliśmy tak blisko siebie. Współistnieliśmy na planie, nawet jeśli w danym momencie nie mieliśmy kwestii mówionych. Przekonałem się, że ludzie, aktorzy, wszędzie są tacy sami. Mają te same bóle, radości, frustracje i momenty satysfakcji. Potrafią fantastycznie współpracować i wymieniać się twórczą energią.

Aktor grał po francusku. Uczył się tego języka intensywnie w czasach szkolnych. Zdawał nawet z niego ustną maturę, ale przez kolejne 20 lat go nie używał. – Cieszę się, że w końcu mi się przydał – śmieje się.

GWIAZDA W KLAPKACH

Zdjęcia do „Into the Night” trwały blisko trzy miesiące. – Był czas na przygotowanie scen i dopieszczenie obrazu – zapewnia.

Serial powstawał w studiu Nu Boyana w Sofii, w Bułgarii. Realizowanych jest tu wiele amerykańskich produkcji. – Zdarzyło mi się, czekając na wejście na plan, przysiąść na korytarzu koło swojej garderoby, a tu w kłapeczkach, przez korytarz, maszeruje Michael Fassbender – wspomina Ksawery Szlenkier. – Rozległe obiekty Nu Boyana pozwalają, by w jednym czasie działo się tam wiele rzeczy naraz. A potem ekipy trafiały też na siebie w Sofii, gdzie tętniło wieczorne życie. To był barwny i dający wiele satysfakcji czas. Dobrze, by jego filmowe efekty sprawdzili się teraz na ekranie.

„Bezkrólewie” nie tylko o Tusku

Premiera „Bezkrólewia” Wojciecha Tomczyka, którą Teatr Telewizji pokazuje w ten poniedziałek, to pierwsza od miesiąca nowa inscenizacja tegoż teatru (nakręcona jeszcze przed epidemią) i zarazem jedna z ostatnich. Ale też sama sztuka jest wystawiana pierwszy raz. Od kiedy ukazała się w „Dialogu” w roku 2011, żaden z teatrów nie chciał jej pokazać. Teraz robi to największa scena Polski. I dobrze.

Powód owej niechęci, którą przełamał tylko Redbad Klynstra, organizując publiczne czytanie tekstu „Bezkrólewia”, jest prosty. Tomczyk, jeden z najświetniejszych współczesnych polskich dramaturgów, napisał sztukę pod wrażeniem katastrofy smoleńskiej. W osobach Glansa, Gostka i Kola, dziwnych postaciach opuszczających stolicę po śmierci króla, by pojawić się w przydrożnej gospodzie gdzieś na krańcu Polski, doszukiwano się aluzji do Donalda Tuska i jego ekipy. Żaden z dyrektorów nie chciał żyrować takiej wizji.

Równocześnie zaś nie jest to dramat będący tylko satyrą polityczną. Jego forma, groteskowa, przypominająca najlepsze dzieła Sławomira Mrożka, gdzie o niczym nie mówi się wprost, pozwala odczytać „Bezkrólewie” uniwersalnie. To przypowieść o ludziach wykorzystanych, uciekających przed polskością, zarazem zagubionych. Nie redukowałbym jej do zamiaru przywalania Tusku. Zwłaszcza gdy „druga strona”, czyli lud, reprezentowany przez karczmarza, jego żonę i córkę, wcale nie jest przedstawiana jako bezgrzeszna.

Mamy tu bez liku znaczeń, aluzji, przyczynków do zaistnienia się nad polską historią, choć nie dostajemy żadnego zdarzenia opowiedzianego dosłownie, od początku do końca. Piszący dużo Tomczyk wznosi się tu na wyżyny teatralnej umowności zwalniającej nas z ciągłego pytania: „O czym jest dana scena czy fragment?”. Młody reżyser Jerzy Machowski wyczyścił tekst z bezpośrednich odniesień do Smoleńska. Zmienił też

kilka niuansów fabularnych. A zarazem nie zmienił najważniejszego: to jest dobitne pytanie o sens narodowej wspólnoty. O to, kim jesteśmy. Kim są „my”, a kim „oni”. Szkoda, że klimat kataklizmu, który przeżywamy, odwraca trochę uwagę od tego ważnego kulturalnego zdarzenia.

Mamy klimat stężonego absurdu, wzmacniany kapitalnymi, biorącymi wszystko w nawias dekoracjami Aleksandry Gąsior (ileż świetnych pomysłów scenograficznych tej kobiety widziałem ostatnio) i muzyką Ignacego Zalewskiego nawiązującą do rozmaitych znanych motywów. Grane to jest lekko, chwilami niemal jak komedia, co zwiększa jeszcze skojarzenia z Mrożkiem. I mamy chyba jeden z najbardziej perfekcyjnych zespołów aktorskich.

Gdybym miał kogoś wyróżnić, powiedziałbym, że najbardziej w duchu magii tej sztuki Tomczyka brzmiały mi dialogi Krzysztofa Szczepaniaka (Kolo) i Andrzeja Mastalerza (Pan domu). Ten pierwszy rozedrgany, przerysowany, burleskowy, ten drugi grający cały czas z kamienną twarzą. Aż się prosi o powtórkę tego duetu. Ale wyśmienici są też Redbad Klyn-



stra (Glans) i Marcin Kwaśny (Gostek), dwaj aktorzy przeżywający notabene przed pandemią swój złoty okres. Dopelniają obrazu panie: Joanna Jeżewska (Żona) i Edyta Januszevska (Justyna). Niko nie złapałem tu na fałszywym tonie.

Nie wiem, czy pokazana w apogeum kampanii sztuka Tomczyka rozniewia liberalne media, czy zostanie przez nie przemilczana.

Ja bym jeszcze raz zachęcał, aby nie czytać jej jako siurpryzy robionej komukolwiek. Tu naprawdę jest o czym pomyśleć. Dziękuję za to Jerzemu Machowskiemu i TVP. **///**

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

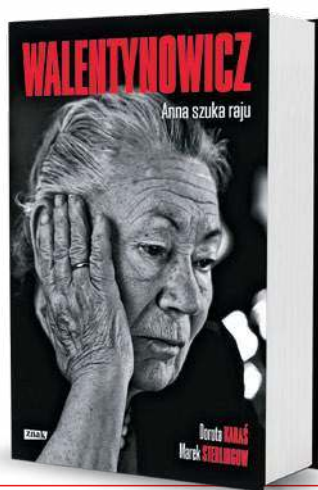
Anna po raz trzeci

Napisano już o niej wiele. Doczekała się przydomka („Anna Solidarność”) i pomnika, okłasków i wnuków, męczeńskiej śmierci i świetnej biografii. Ale najnowsza poświęcona jej książka w sposób szczególny pokazuje to życie – tak bolesne, tak splątane, tak domagające się innej niż ziemski nagrody

To jedna z tych biografii, które po latach milczenia trafiły do wyobraźni i pamięci publicznej. Jest w niej miejsce na wydarzenia podręcznikowe i na drobiazgi, smaczki, zwroty akcji. Anna Walentynowicz wpisana jest w historię największą: Sierpień '80, 21 postulatów na bramie, skromna suwnicowa w perkalowej sukience przywożona do strajkujących limuzyną dyrektora. Przedtem i potem też nie brakuje wielkich wydarzeń: masakra w grudniu 1970 r., Wolne Związki Zawodowe i opozycja przedsierpniowa w Trójmieście. Jest i konflikt z Lechem Wałęsą, który jeszcze podczas „karnawału” 1980–1981 był tajemnicą poliszynela, a w latach stanu wojennego i później przybrał za sprawą obu stron (oraz intryg SB) wymiar groteskowy. I śmierć w katastrofie smoleńskiej, tak wymowne dopełnienie życia, że wydaje się nieledwie zbyteczną kropką nad i.

A kto ciekaw, zna przecież i pomniejszy meandry jej życia, takie, które u innych zwykle są co najwyżej szeptane: bolesne dzieciństwo, cień rzezi wołyńskiej. Nieudany pierwszy związek, samotne macierzyństwo, wczesna śmierć męża. Także zaangażowania, które dziś,

z perspektywy całego jej życia, budzą uśmiech wzruszenia (i pokazują, jak niejednoznaczna bywała historia PRL), ale dla patetycznych radykałów musiały być przed laty kamieniem obrazy: jak to, ikona Solidarności aktywistką ZMP?



Dorota Karaś, Marek Sterligow, „Walentynowicz. Anna szuka raju”, Znak, Kraków 2020

Przodowniczką pracy? Delegatką na zjazd młodzieży w Berlinie Wschodnim? Entuzjastką Gierka w 20 lat później?

Do tego – ten życiorys został już rzetelnie opisany. Pół tuzina filmów dokumentalnych (i, jakby tego było mało, cameo w „Człowieku z żelaza”!). Dziesiątki reportaży, dwa wywiady rzeki i świetna (także metodologicznie) biografia pióra Sławomira Cenckiewicza. Jak dużo nowego może wnieść kolejna? W dodatku (tu zapala się mdle światelko ostrzegawcze) autorstwa dwojga reporterów związanych z „Gazetą Wyborczą”, która nie słynie z przesadnej sympatii dla pobożności i patriotyzmu ludowego w wersji, jaka Walentynowicz była bliska?

A jednak. Oczywiście, można się doszukać w tej książce faktów już znanych. Jeśli kto czyta uważnie, nietrudno dostrzec „wyborczyzmy” – tu szpilka pod adresem Gwiazdów, tam dyskretna apologia Lecha Wałęsy, gdzie indziej, znacznie mniej dyskretna – zamordowanego w ubiegłym roku Pawła Adamowicza.

Tyle że zarazem jest to rzetelny i bardzo empatyczny opis życia Walentynowicz – właśnie życia zwykłego, z jego łańcuchem niedogodności. Przeszkód. Upokorzeń. Klęsk. To biografia nie do końca „polityczna”. Oczywiście, Anna Walentynowicz stała się, chcąc nie chcąc, częścią wiel-

kiej polityki – była jedną z tych osób, które drobnymi gestami ruszyły z posad bryłę świata. Istniały (drobne) pokusy, którym nie potrafiła się oprzeć: popularności, rozgłosu, czasem ploteczek. Postawienie obok siebie ludzi z tak różnych sfer – kutych na cztery nogi dziennikarzy, ekspertów, graczy oraz drobnej, dosyć apodyktycznej pani w sukience (a za kilka lat – star-

szej już pani w przydługim płaszczu) stanowiłoby mieszkankę wybuchową nawet, gdyby swoich łap nie mieszała do tego SB. A mieszała – najbardziej poruszające (i „polityczne”) fragmenty tej biografii to rozdziały pokazujące rozgrywanie suwnicowej w pierwszych miesiącach istnienia Solidarności i końcówce dekady lat 80., kiedy zmienia się wszystko – a pani Anna da-

lej krząta się wokół wmurowywania tablic, rotacyjnych głodówek i mszy w uroczystej oprawie.

Drobna. Choleryczna. Czasem bez wy-czucia, poddająca się prowokacji, wcho-dząca w groteskowe sojusze, porywająca się z motyką na słońce. Niezlomna. Zawsze, albo prawie zawsze, po deszczowej stronie ulicy, z wiatrem w oczy, pod górę. To bio-grafia, od której ścisła się serce. 

Młodzian piękny i posępny

Pochmurny mężczyzna wjeżdżający konno do wsi na czele kawalkady, w samodziślowej koszuli z wyszywankami (albo zielonej, organizacyjnej), ze szkaplerzykiem na piersi, padający krzyżem przed cerkwią? Tak, taka scena może robić wrażenie. Podobnie jak ślub, na który panna młoda zajeżdża wozem drabiniastym zaprzężonym w woły, niczym w Hel-ladzie. Podobnie jak przemówienia, w których wszystkie wyrazy wydają się pisane wielką literą: Ojczyzna, Mę-czeństwo, Służba, Ofiara, Legioniści, Patriotyzm (no, i Żydzi). Tak inscenizo-wał politykę Corneliu Zelea Codreanu, najbarwniejsza postać międzywojennej Rumunii. Pytanie, czy było w nim co-kolwiek prócz barwności? Nato pytanie próbuje odpowiedzieć wydana właśnie w Krakowie biografia.

Codreanu nie jest postacią całkiem nieznaną w Polsce, co też jest dość niezwykle. Wiedza o różnych radyka-lizmach wschodnioeuropejskich i bał-kańskich epoki międzywojnia pozostaje zwykle domeną specjalistów. Poza nimi mało kto potrafi wymienić radykałów greckich, bułgarskich czy albańskich, zapatrzonych we wschodzące w tym czasie (psie) gwiazdy Duce czy Führera. Twórca Legionu Michała Archaniola i jego „zbrojnego ramienia”, Żelaznej Gwardii, jest na tym tle wyjątkiem: pisało o nim pół tuzina kwartalników o prawicowych sympatiach, zwykle w tonie przychylnym, a przynajmniej neutralnym.

Bo też ten trzydziestolatek ogłęboko osadzonych oczach charyzmatyka nie był postacią tuzinkową. Wychowanek

elitarnego liceum i absolwent wydziału prawa, pozostawał bez reszty we władzy wielkich pojęć i patetycznych zdań. Marzył o Wielkiej Rumunii, pomostował przeciw korupcji polityków demokra-tycznych, ostro postrzegał zagrożenie bolszewickie – a jeszcze ostrzej i dość maniackalnie obecność w granicach Ru-munii mniejszości żydowskiej, której na każdym etapie swojej niedługiej kariery gotów był fundować pogromy.

To w sumie dość banalne rysy jak na aktywistę radykalnej prawicy mię-dzywojnia: jak wielu jemu podobnych Codreanu zwracał się przeciw polity-kom orientacji narodowej starszego pokolenia, zarzucając im połowiczność i przywiązanie do parlamentaryzmu. Jak wielu zachwycał się pochodniami, wielotysięcznymi manifestacjami, chciał się odwoływać do „tradycji lu-dowych” na volkistowską manierę.

W Austrii, we Francji, również w II RP radykałów podobnej orientacji było wielu. W Rumunii Codreanu był wyjątkiem, łącząc wiele sprzeczności. Jako jedyny odwoływał się w takim stopniu do tradycji chłopskich (czytając o jego zainscenizowanym ślubie, trudno nie wspomnieć rosyjskich narodników i polskich chłopomanów), jednocześnie posługując się na dużą skalę nowoczesnymi mediami. Apologeta rumuńskości zmagał się ze swoim cudzoziemskim pochodzeniem (jego ojciec był pół-krwi Polakiem, matka wywodziła się z mniejszości niemieckiej). Wyznawca kultu św. Michała oglądał się na misje protestanckie i franciszkanów, podczas pobytu we Francji szukał kontaktu z in-tegrystami katolickimi. Uduchowiony

w słowie, chętnie sięgał po przemoc (sam był sprawcą co najmniej jednego morderstwa politycznego, inicjował ko-lejne, wzywał do podpażeń i zabójstw).

Tatiana Titulescu – wzięta i bywała publicystka, była kierownik redakcji rumuńskiego programu BBC – in-



Tatiana Titulescu, „Mistyk z rewolwerem. Corneliu Zelea Codreanu”, tłum. Kazimierz Jurczak, Universitas, Kraków 2020

sała biografię niebanalną: rzetelną, choć nieżyczliwą. We wstępie do książki od-cina się wręcz, demonstracyjnie dość niezgrabnie, od jej bohatera. A jed-nocześnie prześledziła imponującą liczbę źródeł, opisała liczne meandry życia „Kapitana”, pomijane przez jego entuzjastów. Piszac o „mistyku z re-wolwerem”, zadbała o panoramę poli-tyki międzywojennej Rumunii. Przede wszystkim jednak nakreśliła frapujący portret psychologiczny człowieka, który spędził życie na wygłaszaniu wzniosłych zdań – szczerze w nie wie-rząc i nie dostrzegając, jak się wydaje, że pociągają one za sobą całkiem realną przemoc. 



Pojednanie w Jerozolimie

Zaraza zaczyna wywierać doniosły wpływ na politykę.

Pierwszym demokratycznym krajem, w którym koronawirus do góry nogami wyrócił scenę polityczną, okazuje się Izrael

Polityczny cud, jaki zdarzył się właśnie w Jerozolimie, umocnił osłabione permanentnym kryzysem państwo żydowskie, skonsolidował tamtejszą politykę i dał Izraelczykom silny rząd, przynajmniej na czas walki z zarazą.



JAN ROKITA

GANC KONTRA NETANJAHU

W ubiegły poniedziałek, 20 kwietnia, dwaj zwalczający się na śmierć i życie liderzy – Benjamin Netanjahu oraz Beni Ganc – nie tylko skończyli zapiekłą partyjną waśń, lecz także zawarli umowę o powołaniu wspólnego antykryzysowego rządu. Umowa ma obowiązywać przez trzy lata, z których przez pierwsze 18 miesięcy premierem ma być nadal Netanjahu, zaś przez następne 18 miesięcy – Ganc. O ile dla przebiegłego Netanjahu takie porozumienie jest triumfem umożliwiającym mu utrzymanie funkcji szefa rządu, o tyle ze strony Ganca ta umowa jest aktem godnej podziwu politycznej odwagi i zmysłu państwowego. Cena, jaką przywódca liberalnego bloku Niebiesko-Białych płaci za tę umowę, jest bowiem wysoka. Jest nią praktyczny rozpad jego

partii, utrata niemal połowy posłów i fala brutalnych oskarżeń o zdradę ideałów, niedotrzymanie zobowiązań, ba... nawet o paktowanie z diabłem. Rzadko się zdarza, aby jakiś lider partyjny decydował się na zapłatę takiej ceny po to, by w warunkach kryzysowych zapewnić rządność i sprawność własnemu państwu.

Ale 60-letni Beni Ganc jest politykiem od stosunkowo niedawna, przede wszystkim zaś

jest żołnierzem, który jeszcze jako młody oficer dowodził takimi akcjami jak antypartyzanckie operacje komandosów w Libanie czy przerzut Żydów etiopskich w warunkach panującej tam wojny. Później został generałem, a nawet szefem sztabu armii izraelskiej. Po odejściu z armii zaś prowadził firmę zajmującą się bezpieczeństwem technologii 5G. Nie krył nigdy, że polityką zajął się po to, aby obalić trwające od 2009 r. rządy Netanjahu, dla którego wkrótce stał się nie tylko politycznym, lecz w pewnym sensie osobistym wrogiem. Swoim zwolennikom obiecał, że po wygraniu wyborów przeprowadzi w Knesecie specjalną ustawę, która zakaze Netanjahu pełnienia urzędu premiera, niezależnie od wyników wyborczych, a to z powodu ciężących nad

szefem rządu kilku zarzutów korupcyjnych. Ta nieprzebiegająca w środkach walka z Netanjahu zaskarbiła mu zwolenników w kręgach izraelskiej inteligencji i lewicy, dzięki czemu mógł zbudować liberalno-lewicową koalicję Niebiesko-Białych, skutecznie rywalizującą w wyborach z niezwykłym do tej pory prawicowym blokiem Likud pod przywództwem Netanjahu.

Ta rywalizacja ściągnęła jednak na państwo przewlekły kryzys polityczny. Od przeszło roku, mimo trzykrotnego przeprowadzenia wyborów, których wynik był zawsze minimalnym przesunięciem albo na rzecz Likudu, albo na rzecz Niebiesko-Białych, żadna większość rządowa nie była w stanie się wyłonić w Knesecie. Rozdrobniony izraelski parlament, obfitujący w marginalne, ale też radykalne stronnictwa religijne z jednej strony, z drugiej zaś – posiadający względnie liczną reprezentację Arabów, jak dotąd ex definitione wykluczana z koalicji rządowych, stał się podręcznikowym przykładem wszystkiego najgorszego, co może się przydarzyć demokracji parlamentarnej. Permanentne awantury, rozłamy partyjne, rozbuchana polityczna wrogość, haki wyszukiwane na przeciwników (jakaś Żydówka amerykańska oskarżyła Gancę o wykorzystanie seksualne 40 lat temu), z korupcją tymczasowego premiera w tle i kolejnymi fiaskami prób utworzenia jakiegokolwiek gabinetu. To właśnie w takim stanie, po trzech kolejnych bezwynikowych w istocie wyborach z 2 marca 2020 r., do Izraela wdarł się koronawirus.

Netanjahu, pełniący ciągle władzę jako premier ad interim, stosunkowo szybko zarządził lockdown w europejskim stylu. Zakazał wychodzenia z domu, zamknął sklepy i szkoły, zarządził śledzenie przez służby specjalne smartfonów ludzi zainfekowanych. Ta ostatnia sprawa jeszcze mocniej podgrzała nastroje, bo gdy komisja Knesetu próbowała zablokować takie rozwiązanie w imię swobód obywatelskich (czego nie zrobił np. Bundestag wobec podobnych zarządzeń rządu niemieckiego), premier i tak wprowadził je za pomocą rządowego dekretu. Nieprzebiegający nadmiernie w środkach Netanjahu skłonił także przewodniczącego Knesetu Julego Edelsteina, aby ten po marcowych wyborach w ogóle nie otwierał sesji parlamentu ze względu na trwającą zarazę. Ale przeciwnicy premiera natychmiast podnieśli, iż w ten sposób uniemożliwia parlamentowi zajęcie się prokuratorskimi zarzutami, jakie na nim ciąży. Niemal do ostatnich dni marca powszechnie sądzono, że pod pretekstem zarazy Netanjahu będzie po prostu chciał różnymi sposobami utrzymać władzę, mimo braku parlamentarnej większości.

WIELKA KOALICJA NA CZAS ZARAZY

Pierwszy sygnał nadchodzącego przełomu pojawił się 26 marca, gdy świat obiegło zdjęcie zrobione przez fotoreportera Reutersa, na którym Ganc i Netanjahu, z bardzo poważnymi minami, po-

Pierwszy sygnał nadchodzącego przełomu pojawił się 26 marca, gdy świat obiegło zdjęcie, na którym Ganc i Netanjahu, z poważnymi minami, podają sobie ręce ponad głowami zdumionych innych polityków

dają sobie ręce ponad głowami zdumionych innych polityków. Na prośbę premiera jego przyjaciel Juli Edelstein (notabene niegdyś więzień sowieckiego GUŁagu) złożył sprawowaną od kilku lat funkcję przewodniczącego Knesetu, aby mógł ją objąć główny polityczny wróg premiera – Beni Ganc. To wtedy właśnie z Gancem gwałtownie zerwał jego dotychczasowy partner w bloku Niebiesko-Białych Jair Lapid (dobrze znany skądinąd u nas z jak najgorszej strony), twierdząc, iż Ganc – choć oficer – „ogłosił kapitulację bez walki”. Inna zaś koalicjantka z bloku Niebiesko-Białych, przywódczyni żydowskich feministek Tamar Zandberg, przepowiadała Gancowi, iż teraz zostanie

„chodnikiem pod stopami kanciarza, podżegacza i rasisty”, czyli (jak łatwo się domyślić) premiera Netanjahu. Mimo trwającej nagonki Ganc ze spokojem odpowiadał, iż chodzi mu po prostu o „pokój w kraju”, w sytuacji gdy przewlekły kryzys polityczny zaczął się nakładać na kryzys wywołany zarazą.

Co ciekawe z perspektywy światowej, wielka koalicja Ganc z Netanjahu ogłosiła, iż chce doprowadzić do wprowadzenia w życie tzw. planu Trumpa, czyli kontrowersyjnego projektu pokojowego, jaki w styczniu ogłosił prezydent USA, z determinacją odrzucanego przez Palestyńczyków. Częścią tego planu jest jednostronne poszerzenie peł-

nej suwerenności Izraela nad częścią terytoriów obecnej Autonomii Palestyńskiej w zamian za rekompensaty terytorialne na pograniczu egipskim oraz gigantyczną amerykańską pomoc i inwestycje w Palestynie, mające sięgać 50 mld dol. i miliona nowych miejsc pracy (wedle zobowiązań ogłoszonych przez Trumpa). Palestyńczycy, nawet ci bardziej umiarkowani, uważają jednak, że kwestia terytorium kraju nie może być przedmiotem handlu, co zaferowała Ameryka.

Całkiem zatem możliwe, że dość szybkim efektem pojednania narodowego w Izraelu może być jednostronne rozszerzenie suwerenności Izraela nad częścią terytoriów palestyńskich, o ile taki krok zostanie zaakceptowany przez Waszyngton. Gdyby tak się stało, to zapewne rząd Ganc-Netanjahu rychło stanąłby w obliczu politycznego konfliktu z Unią Europejską i różnymi gremiami międzynarodowymi, z ONZ na czele. (Swoją drogą ciekawe, jak w takiej sytuacji zachowa się rząd Morawieckiego, postawiony przed wyborem: Bruksela i Berlin albo Jerozolima i Waszyngton?).

Coprawda, wobec partyjniackiej i niestabilnej polityki izraelskiej trudno mieć pewność, iż tamtejsza wielka koalicja przetrwa trzy lata, na których czas została zawarta. Jednak tak czy owak to jedno jest już pewne. Jest na świecie pierwszy demokratyczny kraj, który w obliczu zarazy i powiązanego z nią kryzysu gospodarczego uznał, iż dla wrogich nawzajem liderów jedynym patriotycznym rozwiązaniem jest skończenie waśni i zawiązanie koalicji. Przypadek Izraela pozwala więc z pewną nadzieją patrzeć na demokratyczną politykę w czasie zarazy.



Byłem menedżerem własnego sukcesu

W dzisiejszych czasach już nie warto być skromnym, bo to nie popłaca w rozwoju kariery. Każdy, kto chce wejść na podium, nie może czekać, aż ktoś go doceni. Musi budować sieć relacji, szukać sposobów na otwarte komunikowanie swoich zasług i pozytywnych cech, czyli dbać o autopromocję i w nią inwestować

Z Jackiem Pałkiewiczem, podróżnikiem, odkrywcą źródeł Amazonki, twórcą survivalu w Europie, dziennikarzem, autorem ponad 30 książek, filmów dokumentalnych, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Polak, Europejczyk, obywatel świata. Kim jest Jacek Pałkiewicz?

Jacek Pałkiewicz: Większą część mojego życia spędziłem we Włoszech. Czuję się tam szanowanym Polakiem, ale nigdy nie opuszczało mnie poczu-

cie polskości, które przeszło stopniowo w europejskość. I chociaż ta tracąca własną fizjonomię zachodnia Europa, z jej nowym ładem, ultranowoczesną tożsamością i rozlewającym się islamem dziś, tak jak dawniej, nie

skrywa swojego poczucia wyższości i protekcyjności względem Europy Środkowo-Wschodniej, pomimo rozczarowania wciąż jeszcze czuję się dumnym Europejczykiem. Wszędzie, gdzie przebywałem, wcielałem się

w ambasadora mojej ojczyzny. Docierałem do miejsc zapomnianych przez cywilizację, odkrywałem nieopisane jeszcze i niezbadane rzeki i jeziora, poznawałem ludzi, którzy wcześniej nie widzieli białego człowieka. Zawsze jednak pamiętałem, że najpiękniejszy i najciekawszy jest kraj, z którego pochodzę, zawsze byłem dumny z tego, że jestem Polakiem.

Mówi pan o sobie, że jest „daltonistą politycznym”, ale jednocześnie ostro krytykuje polityczną poprawność. To się nie wyklucza?

Nie sympatyzuję z żadną partią ani nie interesują mnie ich ideologie. Dlatego mogę sobie pozwolić na rozległe kontakty towarzysko-przyjacielskie z władzą, zarówno na prawicy, jak i na lewicy, z kościelnymi hierarchami, rosyjskimi elitami czy z możnymi tego świata. Z ludźmi, z którymi wcale nie muszę dzielić poglądów. Cenię sobie to, że darzą mnie zaufaniem w różnych kręgach. Na kolacji w moim domu bywały różne znajomości życia publicznego – ministrowie, finansjera, ambasadorzy Włoch, krajów latynoamerykańskich, Rosji czy Azji Środkowej. Był prezydent Komorowski z małżonką. Kwaśniewski, Wałęsa i Jaruzelski nigdy nie dotarli, chociaż się szykowali. Ale przyjmowali mnie z Lindą na obiedzie u siebie.

To, że pan nie komentuje polityki, nie oznacza jednak, że nie ma pan na ten temat swojego zdania.

Nie pozostaję bierny wobec niezgody narodowej, która mocno nadwreżyła więzi międzyludzkie. Zasięki postawione przez polityków w naszych głowach nie pozwalają się jednaczyć w interesie kraju ludziom poszegregowanym w różnych frakcjach.

Jest pan człowiekiem całkowicie wolnym, czy jednak są jakieś granice tej niezależności?

Żyłem bez granic i nieraz dochodzę do wniosku, że moje istnienie stawia mnie w szeregu obłędnie uprzywilejowanych. Niczego nie dostałem w spadku,

sam byłem menedżerem własnego sukcesu, osobiście ustalałem scenariusz mojego życia. Z zagubionego, nieśmiałego chłopaka z prowincjonalnego miasteczka przekształciłem się w faceta, który wypracował sobie absolutną wolność i którego stać było na realizację w pełnym wymiarze swoich pasji. Przekraczałem granice znanego świata i przyjmując wyzwania, poznawałem nieprzyjazne kraje oraz żyjących tam osobliwych tubylców. Wychodząc poza ramy granic możliwości, odnosiłem sukcesy tam, gdzie

Feminizacja życia odebrała mężczyznom nie tylko spodnie, lecz także poczucie godności i siłę. Ten współczesny „rodzaj męski” ma problemy z tożsamością i coraz częściej zapełnia poradnie psychoterapeutyczne

inni musieli się poddać. To pozwalało doznawać przeżyć znanych jedynie odkrywcom zaprzeczonych czasów. Byłem dumny z osiągnięć i zaszczytów, które mnie dosięgały. I mogłem realizować moją dewizę: „Życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzam porażki zrezygnować z niczego, co mi się należy”.

Życie pełne sukcesów, bez klęsk? To wydaje się aż nieprawdopodobne.

Do klęski podchodziłem z pokorą. Z każdego upadku starałem się wyciągać lekcje i wnioski. Przyrzekałem sobie, że to się nie może powtórzyć. Nad sukcesem człowiek przechodzi do porządku dziennego, błędy zaś i nieraz bolesne porażki zawsze go wzbogacają. Te ostatnie były przydatne i dla mnie, kształtowały charakter i postawę wobec otaczającego świata.

Podróżnik, dziennikarz, pisarz, odkrywca źródeł Amazonki, twórca szkoły przeżycia. Mówi pan o sobie jako o człowieku sukcesu, bez fałszywej skromności.

W dzisiejszych czasach już nie warto być skromnym, bo to nie popłaca w rozwoju kariery. Bo na rynku biznesu bossowie oczekują od nas przebojowości, odwagi i nieustępliwości. A przecież jeszcze do wczoraj skromność była w naszym kraju uznawana za jedną z najbardziej cenionych i pożądanых cnót. Jak twierdziła moja mama, dobrze się zawsze czuła w otoczeniu takich wyciszonych, uniżonych osób, ufała im, wiedziała, że wysłuchają zwierzeń i życiowych problemów. Ta mentalność pokutowała w Polsce do czasów obecnych. Każdy, kto chce wejść na podium i być bardziej rozpoznawalny, nie może, czekać aż ktoś go doceni. Musi budować sieć relacji, szukać sposobów na otwarte komunikowanie swoich zasług i pozytywnych cech. Powinien umiejętnie podkreślać swoją wartość i osiągnięcia, czyli dbać o autopromocję i w nią inwestować.

Mówi się, że ceni pan sobie rolę ambasadora ocieplania stosunków międzyludzkich.

Właśnie. Dużo satysfakcji przynosi mi misja polepszenia wzajemnego postrzegania się Polaków i Rosjan. Nie boję się pójść zdecydowanie pod prąd potocznych opinii i sądów antyrosyjskich, wzajemnych fobii i stereotypów, które zamiast dialogu i próby porozumienia wznoszą mur niechęci dzielący Polaków i Rosjan. Jestem przekonany, że Polacy nie są rusofobami, nasi sąsiedzi zaś podkreślają, że Putin nie zawsze znaczy naród rosyjski. Pół wieku eksploracji na wszystkich szerokościach geograficznych nauczyło mnie globalnej mądrości: ważniejszy jest sąsiad za miedzą niż brat za daleką górą. Dzięki rozpoznawalności mojej osoby w kraju sąsiedzkim i szerokim kontaktom w różnych środowiskach mogę skutecznie pomóc np. instytutom polskim w realizacji ich misji: „sprzyjaniu budowania pozytywnych

postaw wśród zagranicznej społeczności na różnych pozarządowych poziomach”.

Więcej niż połowę swojego życia spędził pan we Włoszech, pracując m.in. w redakcji „Corriere della Sera”. Na łamach tej gazety Oriana Fallaci opublikowała w 2001 r. swój słynny esej „Wściekłość i duma”. Napisała w nim: „Europa nie jest już Europą, ale Eurabią, która z powodu uległości wobec wroga, islamskiego nazizmu, kopie swój własny grób”. Znal pan Fallaci?

Czy znalazłem?! Mówiło się w tamtejszym świecie dziennikarskim, że jestem wręcz jej ambasadorem. W tamtych czasach też walczyłem z tą inwazją islamską. Al-Kaida przysięgała mi śmierć, zarzucając, że piszę o islamizacji Europy.

Fallaci była wizjonerką? Przewidziała losy Europy?

Dużo wcześniej przed jej bezkompromisową analizą przyszłość Europy przepowiedział amerykański historyk Bernard Lewis. W 1990 r. ten wybitny arabista, islamolog został zaproszony na wykład na Uniwersytecie Oksfordzkim. I był to szok dla publiczności. W tym czasie środowiska opiniotwórcze, naukowcy byli zainteresowani kontemplowaniem ruin byłego Związku Radzieckiego, który właśnie się rozpadał. Václav Havel nie wyparł jeszcze komunizmu w Pradze, mur berliński jeszcze nie upadł, a Michaił Gorbaczow wciąż był zajęty reformami swojej pieriestrojki. Zapowiadało się, że kończy się pewna epoka i nie było widocznych, wiarygodnych zagrożeń.

Jakie zagrożenia widział Lewis?

Lewis zdefiniował chmury, jakie zbierały się nad Europą. Tego dnia w Oksfordzie powiedział prorocze słowa: „Kapitał i praca odniosły sukces tam, gdzie zawiodły armie Maurów i Turków. W Niemczech są teraz dwa miliony Turków i innych muzułmanów, jeszcze większa jest liczba muzułmanów z północnej Afryki we Francji, a Pakistańczyków i ludzi z Bangladeszu w Wielkiej Brytanii”. Tak więc „po

raz pierwszy od czasu wycofania się muzułmanów na południe od Cieśniny Gibraltarskiej w 1492 r. mamy do czynienia z masową i stałą obecnością islamską w Europie”. Ponadto są to społeczności „powiązane językiem, kulturą i religią”, a więc „obecność ich dzieci i wnuków będzie miała ogromne konsekwencje dla przyszłości Europy i samego islamu”.

Zlekceważono jego przestrożę?

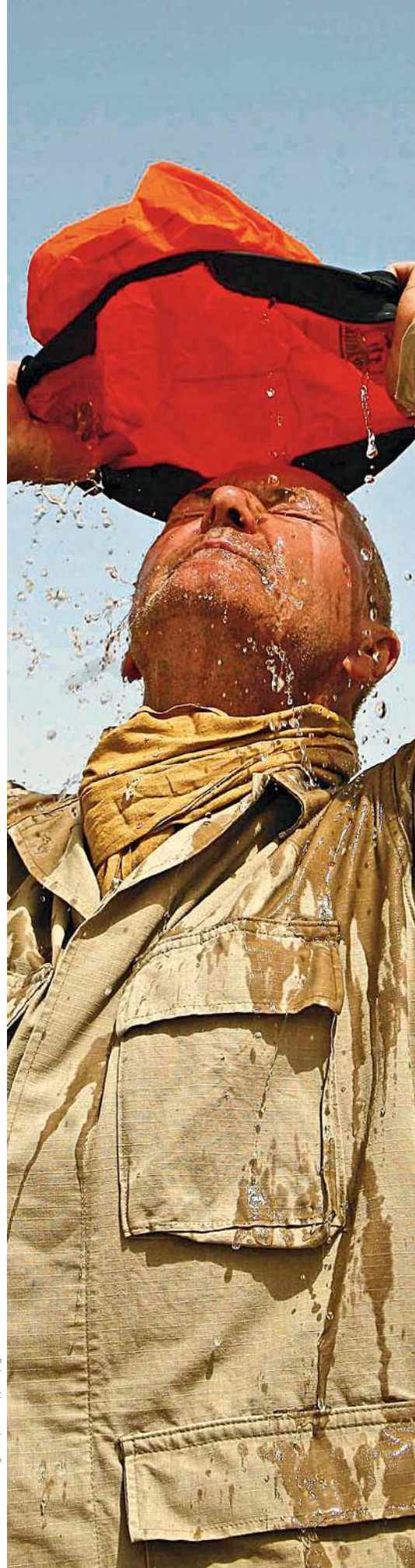
I wtedy, i później, kiedy w 2004 r. ostrzegał przed muzułmańskim poto-
pem, twierdząc, że pod koniec wieku Europa będzie islamska. Według arabistów „w przyszłości światowymi graczami będą Chiny, Indie i Rosja, a Europa z powodu migracji i demografii będzie częścią arabskiego Zachodu, Maghrebu”. Wywołało to wprawdzie sensację, ale jego tyrady zostały przeoczone i zlekceważone przez media oraz politycznie poprawnych.

Jest pan orędownikiem zamknięcia granic dla imigrantów? Przecież był pan jednym z nich.

Przepraszam – dla imigrantów nielegalnych. Nie narzucałem żadnych zwyczajów ani tradycji Włochom, którzy przyjęli mnie do swojego domu i dali mi obywatelstwo. Nie stanowiłem dla nich ani ciężaru, ani zagrożenia. Zdobyłem tam pozycję, odnoszono się do mnie z szacunkiem, pracowałem długo w największej gazecie „Corriere della Sera”, gdzie zatrudnia się najlepszych z najlepszych. W obliczu tak dużego problemu, jakim jest fala migracyjna, nie wolno kierować się paranoicznym political correctness, tylko rozsądkiem, którego nieporadnej Europie brakuje. Nie mogę się roztkliwiać nad nimi. Tak mogłoby się stać, gdyby okazywali poszanowanie dla naszych wartości, nie narzucali swoich obyczajów, swojego Boga i nie ścigali na moją głowę zagrożeń terrorystycznych i strachu.

Politycy zapewniają, że imigranci chcą się asymilować, pracować, żyć w zgodzie ze społecznościami, które ich przyjmują.

Bzdura! Tak mogą mówić tylko oszuści. Świat muzułmański o zamkniętej



Fot. archiwum autora x2

mentalności nie akceptuje dialogu ani nie manifestuje woli porozumienia. W imię humanitaryzmu stara Europa ugięła się pod falą islamskiego tsunami i traktuje w białych rękawiczkach wroga, który nienawidzi i destabilizuje cały Zachód. Pograżona w chaosie Unia Europejska się dezintegruje. We Francji dopiero od niedawna lewicowi intelektualiści zaczynają używać języka prawicy. Mówią, że wielokulturowość zawiodła, że migracje z krajów muzułmańskich są nieproporcjonalne, że islam nie może się zintegrować z demokratyczną Europą.

Poprawność polityczna niszczy Europę?

Widać wyraźnie, jak rządy europejskie robią wiele ustępstw i przytykają oko na prawo szariatu, które jest sprzeczne z zachodnim stylem życia w prawie każdej dziedzinie. Europa słabnie, jej mieszkańcy tracą swoją lojalność, nie mają szacunku dla własnej kultury. Starzenie się populacji wpływa, w kontekście globalizacji, na zwiększenie zjawiska migracji. Pogłębia ją posunięta do granic absurdu zasada poprawności politycznej i wielokulturowość, śmiertelna dla Zachodu mieszanina.

Trzeba mieć w sobie wiele odwagi i bezkompromisowości, żeby w dzisiejszej dobie głosić takie poglądy. Być prawdziwym mężczyzną. Wiele lat temu Danuta Rinn śpiewała: „Gdzie ci mężczyźni...?”. Dziś to pytanie jest jeszcze bardziej aktualne. Może pan, kwintesencja prawdziwego mężczyzny, odpowie nam na to pytanie?

Mężczyźni od dawien dawna zajmowali się wojnami, przemocą, polowaniem, nie rozstawali się z mieczem i zawsze byli gotowi go wyciągnąć. W sytuacjach ekstremalnych ludzie zwyciężają dzięki sile ducha, która pomaga dokonywać im rzeczy naturalnie niemożliwych. Ta siła, obok stanowczości, pewności siebie i odwagi czy zdolności stawiania czoła każdemu wyzwaniu, zalicza się do kwintesencji męskości, niezbędnej

zwłaszcza w trudnych czasach bezkompromisowej i brutalnej walki o byt. Co znaczy być prawdziwym mężczyzną, tłumaczył Hemingway: prawdziwy facet nie jest stworzony, by przegrywać. Można go zniszczyć, ale nie pokonać.

Wiele kobiet kroczy dzisiaj samotnie przez życie i wcale nie narzekają. Do czego potrzebny jest im mężczyzna?

Feminizacja życia odebrała mężczyznom nie tylko spodnie, lecz także poczucie pewności siebie, godność i siłę. Stworzyła mężczyzn niepewnych swojej wartości, sfrustrowanych, pozbawionych charyzmy i mentalnie wykastrowanych, nieprzygotowanych do nowej roli. Ten współczesny „ro-

Żyłem bez granic i nieraz dochodzę do wniosku, że moje istnienie stawia mnie w szeregu obłędnie uprzywilejowanych

dziej męski”, ukształtowany po części przez mass media i egzystujący w cieniu niezależnych kobiet, ma problemy z tożsamością i coraz częściej zapelnia poradnie psychoterapeutyczne, bo nie wie, co to jest być pewnym siebie fighterem.

To fakt, ciężko dzisiaj znaleźć prawdziwego mężczyznę.

Rzeczywiście znalezienie normalnego mężczyzny nie należy do łatwych zadań. Wiele zawiedzionych dzisiejszymi relacjami damsko-męskimi kobiet rezygnuje z szukania drugiej połowy i skupia się na sobie, budując niezależność i koncentrując się na osobistej karierze, zaniebując kobiecie świat garów i piełuch. Duża część tych, które niby są usatysfakcjonowane, bo dobrze się urządziły, nie straciły jednak nadziei i w głębi duszy chcą wierzyć, że

prędzej czy później znajdą swojego Romea.

Napisał pan ponad 30 książek. Teraz pracuje pan nad dziełem, które ma podsumować pańskie życie. Nie za wcześnie?

Ze zgrozą odkryłem, że moja metryka jest bardzo zakurzona i nadszarpnięta zębem czasu. Denerwuje mnie, że zegar tak szokująco szybko teraz tyka i że w pośpiechu muszę zrywać kartki kalendarza. Zdaję sobie sprawę z tego, że czas jest bardziej ulotny i każdy kolejny rok staje się krótszy od poprzedniego.

Jakiś lęk czai się w tych słowach?

Barwny film mojego życia dobiega definitywnie do punktu docelowego i w głowie zalega nutka lęku. Świadomość nieuchronności końca tego spektaklu, jakim jest życie, zmusza do głębszej refleksji nad przemijaniem. Ten strach przed kresem życia ma wymiar szczególny, bo dotyczy czegoś nieuchronnego. W natłoku myśli pojawia się wyobrażenie pustki, lęk przed aktem ostatecznym, „wyprawą w nieznane”, o której nic nie wiemy. Tam, po drugiej stronie, w zetknięciu z Absolutem nie mam żadnych szans. Ponieważ bardzo kocham życie, a po-

nadto chciałbym sprawować nad nim kontrolę, zatem powinienem się niepokoić bardziej od innych. Sytuacja graniczna nie daje wyboru, pogodziłem się już z samym sobą. Z powodu zmniejszenia sprawności fizycznej musiałem przewartościować życiowe cele, zadania i zrezygnować z niektórych form aktywności. Dotarło także do mnie, że te wszystkie „mądrości” ze sztuki przetrwania, których uczyłem, twierdząc, że pokonywanie barier własnych ograniczeń to tylko kwestia psychiki, w pewnym momencie nie mają odbicia w rzeczywistości. Dziś widzę, że do głosu w tej kwestii dochodzi decydująca o naszym życiu fizjologia, a tam są jednak granice. I to jakie granice! Za chwilę przede mną pojawi się jedna wielka próżnia i pytanie: co dalej? Bez żadnego już – potem.

Wodorowa rewolucja paliwowego giganta



Wodór to paliwo przyszłości, które może się stać kołem zamachowym polskiej gospodarki. Nasz kraj już teraz jest jednym z jego największych producentów na świecie

Wodór jako paliwo sprawdza się doskonale. Jego właściwości są dobrze znane. Wiadomo, że można z niego uzyskać dużo więcej energii niż z benzyny, a do tego jego spalanie jest neutralne dla środowiska naturalnego. Wodór to cudowne dziecko energetyki, o którym mówi się coraz częściej i coraz chętniej. Stał się na tyle ważny, że największe państwa tworzą ambitne programy rozwoju gospodarczego, w których zajmuje on kluczowe miejsce. Nad strategią wodorową pracują Niemcy, przygotowuje ją również Polska. Technologie wodorowe mocno promuje Komisja Europejska, która stworzyła sieć ekspertów reprezentujących poszczególne kraje członkowskie (Hydrogen Energy Network), a także wspiera badania naukowe nad wodorem, prowadzone przez partnerstwo publiczno-

-prywatne Fuel Cells and Hydrogen Joint Undertaking (FCH JU). Według Komisji Europejskiej „wodór zapewnia wysokiej jakości energię, którą można wykorzystać w transporcie jako paliwo, w przemyśle jako materiał i w rolnictwie jako nawóz”.

NASZA SPECJALIZACJA

Polska ma szansę stać się mocnym graczem na globalnym rynku wodoru. Jesteśmy jego piątym producentem na świecie, posiadamy odpowiednie kompetencje. Wspominał o nich premier Mateusz Morawiecki podczas styczniowej wizyty w tokijskim stowarzyszeniu przedsiębiorców Nippon Keidanren, zapewniając Japończyków, że Polska chce czerpać z ich doświadczeń. Japońskie technologie wodorowe należą do najlepszych na świecie.

Wodór może się stać polską inteligentną specjalizacją, bardzo przydatną w czasach pokryzysowych, gdy będziemy odbudowywali gospodarkę po epidemii koronawirusa. „Moglibyśmy grać pierwsze skrzypce w europejskiej gospodarce wodorowej i promować własne inicjatywy. Można wykorzystać środki z programów Europejskiego Zielonego Ładu do finansowania budowy gospodarki wodorowej. Wodór już teraz ma zastosowanie w transporcie. Mogę sobie wyobrazić wykorzystanie wodoru do ogniw paliwowych kolei dużych prędkości. Wiadomo, że są plany budowy takich kolei w Europie. Polska mogłaby być państwem objętym takim projektem gospodarczym i funkcjonować w grupie państw Europy Środkowej z wykorzystaniem technologii wodorowych. Powolne odchodzenie od węgla spowoduje konieczność budowy

nowego przemysłu, np. wodorowego. Mogą posłużyć do tego środki przeznaczone na sprawiedliwą transformację” – mówił Ireneusz Zyska, pełnomocnik rządu ds. rozwoju OZE, w wywiadzie dla BiznesAlert. „Musimy mieć gotowe rozwiązania na czas po kryzysie, które dadzą silne impulsy rozwojowe. Jednym z nich będą programy gospodarki wodorowej”.

CZYSTY TRANSPORT

Z impetem w technologii wodorowej wchodzi PKN Orlen – największa firma w Europie Środkowo-Wschodniej działająca na sześciu rynkach: w Polsce, Czechach, Niemczech, na Litwie, Słowacji i w Kanadzie. Obecnie Grupa Orlen wytwarza ok. 45 ton wodoru na godzinę, z czego większość zużywana jest na potrzeby procesów produkcyjnych. Koncern rozpoczął już realizację instalacji doczyszczania wodoru w swoim zakładzie w Trzebini, która od 2021 r. pozwoli wprowadzić to paliwo na rynek. Koncern rozwija również technologię magazynowania, transportowania i dystrybuowania paliwa wodorowego. Dwa punkty ładowania dla pojazdów zasilanych wodorem PKN Orlen posiada już na niemieckich stacjach paliw. Niebawem wodór zatan-kować będą mogli także kierowcy samochodów osobowych w Czechach, gdzie Unipetrol, należący do Grupy Orlen, buduje trzy stacje wodorowe w Pradze, Litwinowie i Brnie.

Inwestycje w wodór to element strategii Orlenu kładącego coraz większy nacisk na odnawialne źródła energii. Strategia wodorowa koncernu wpisuje się w globalny trend rozwoju nowoczesnych, ekologicznych technologii, w których czysty wodór będzie zyskiwał na znaczeniu. Technologie wodorowe mają przed sobą znakomite perspektywy, dlatego koncern chce wprowadzić je m.in. do transportu publicznego. W październiku 2019 r. Orlen podpisał list intencyjny z Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią. Orlen i Metropolia GZM będą współpracować na rzecz rozwoju zeroemisyjnego transportu publicznego napędzanego wodorem, pozyskiwanego m.in. z odnawialnych źródeł energii.

List intencyjny zakłada wymianę informacji, a także działania związane z przygotowaniem do realizacji projektów dotyczących infrastruktury i logistyki dostaw wodoru.

Podobne porozumienie PKN Orlen zawarł z Płockiem. Jego efektem będzie stworzenie infrastruktury tankowania wodoru, przeznaczonej dla pojazdów komunikacji miejskiej oraz usług publicznych. Wodór, ze względu na możliwości zasięg i dużą masę, którą może napędzać, jest paliwem szczególnie perspektywicznym w kontekście transportu publicznego. Według koncernu porozumienie z Płockiem jest kolejnym krokiem w kierunku komercyjnego wdrożenia tej technologii w Polsce.

Orlen zapowiada zawieranie podobnych umów z kolejnymi samorządami. Są one otwarte na tego typu rozwiązania, ponieważ regulacje obowiązujące w Polsce obligują je do systematycznego zwiększania udziału pojazdów zeroemisyjnych we flocie realizującej usługi publiczne. Paliwa wodorowe spełniają te kryteria i po wprowadzeniu w życie rozwiązań technicznych oraz legislacyjnych staną się ważnym uzupełnieniem miksu energetycznego w transporcie.

WODOROWA KOLEJ

Wodór sprawdza się nie tylko w transporcie publicznym. Towarowy transport kolejowy to kolejna dziedzina gospodarki, która może szybciej pojechać na wodór. Inwestycje w tę branżę ruszają pełną parą. W grudniu ub.r. PKN Orlen i Pesa Bydgoszcz – największy polski producent pojazdów szynowych – podpisały list intencyjny, w którym zadeklarowały współpracę na rzecz rozwoju zeroemisyjnego transportu towarowego. Celem projektu jest stworzenie pojazdów szynowych zasilanych wodorem. Obie firmy zapowiadają przeprowadzenie ich testów i docelowo wprowadzenie na komercyjny rynek. Spółki deklarują, że doświadczenie zdobyte przy pracach nad technologią wodorową, którą zastosują, będzie mogło zostać wykorzystane zarówno w lokomotywach towarowych, jak i w pojazdach szynowych przeznaczonych do przewozu osób.

Polska idzie dokładnie w takim samym kierunku, jak inne kraje, stawiające na rozwój technologii wodorowych. Pojazdy szynowe napędzane wodorem zamówili niemieccy przewoźnicy, a rząd niemiecki pokryje aż 40 proc. kosztów paliwa wodorowego. Największy na świecie zakład produkcji czystego wodoru powstał w Austrii, która chce być liderem wodoryzacji kraju w Europie. Technologia wodorowych ogniw paliwowych najbardziej rozpowszechniona jest w Kalifornii i w Japonii, gdzie na szeroką skalę używane są autobusy na wodór.

GLOBALNA TRANSFORMACJA

Wodór to najbardziej powszechny pierwiastek we wszechświecie, stanowiący ponad 70 proc. jego masy. Posiada budowę najprostszą z możliwych, jego liczba atomowa to jeden. Wodór można pozyskiwać z różnych surowców i na wiele sposobów, choć nie są one ani tanie, ani łatwe ze względu na jego aktywną naturę i łatwość tworzenia związków chemicznych. Dlatego wiele koncernów szuka obecnie najbardziej opłacalnej ekonomicznie metody jego pozyskiwania. Nad technologiami wodorowymi pracują zarówno wielkie koncerny paliwowe, jak Shell czy Total, jak i motoryzacyjne, np. Audi i Hyundai.

Według organizacji Hydrogen Council technologie wodorowe odegrają najprawdopodobniej główną rolę w przyspieszeniu globalnej transformacji energetycznej. Jego zastosowanie nie ogranicza się jedynie do transportu kołowego czy kolejowego, ale może być wykorzystywane również do napędzania statków, rakiet i pojazdów kosmicznych, ogrzewania budynków mieszkalnych i hal produkcyjnych. Wodór można przechowywać praktycznie bezterminowo, co dla Polski – dysponującej grotami solnymi, czyli naturalnymi magazynami, jednymi z najlepszych w Europie – jest dodatkowym atutem w wyścigu na globalnym rynku wodoru.

SK

Material powstał przy współpracy z PKN ORLEN

Orlen starwia na energię elektryczną

Rynek energii elektrycznej ma przed sobą doskonale perspektywy rozwoju. A wszystko za sprawą dynamicznego postępu technologii i coraz większej liczby urządzeń, które wykorzystują prąd jako główne źródło zasilania

Pomimo pojawiania się na rynku coraz bardziej zaawansowanych energooszczędnych urządzeń codziennego użytku, zapotrzebowanie na prąd jako nośnik energetyczny stale rośnie. W efekcie wysyp nowych technologii wykorzystywanych zarówno na masową skalę przez przedsiębiorstwa, fabryki, banki, jak też w ramach indywidualnych potrzeb powoduje, że energia elektryczna jest wręcz niezbędnym produktem.

Ponadto coraz większa liczba urządzeń zasilanych prądem wymaga stałego doładowania, aby mogły skutecznie działać i jednocześnie spełniać swoje funkcje. Do tego niezbędne są również szybkie i wyjątkowo efektywne ładowarki, które pozwalają już nie tylko zaopatrzyć w prąd tak powszechnie używane smartfony, tablety czy laptopy, lecz także coraz częściej samochody elektryczne.

W dobie masowej konsumpcji energia elektryczna musi być stosunkowo tania, a jej pozyskanie z odnawialnych źródeł to wymóg czasów. Coraz bardziej popularna staje się więc zielona energia pozyskiwana choćby z farm wiatrowych czy instalacji fotowoltaicznych. Dla PKN Orlen zmiany wynikające z rynkowych trendów to szansa na dywersyfikację źródeł przychodów i zwiększenie dotychczasowego udziału w rynku energetycznym.

KORZYŚCI Z DYWERSYFIKACJI

Milowym krokiem w realizacji planów spółki jest przejęcie Grupy Energa, jednego z liderów w obszarze dystrybucji i sprzedaży energii elektrycznej w Polsce. Dzięki ogło-



szonemu w grudniu zeszłego roku wezwaniu na sprzedaż 100 proc. akcji spółki (początkowo po 7 zł za akcję, a następnie 8,35 zł po podwyższeniu ceny w połowie kwietnia tego roku) płocki koncern jest w stanie sfinalizować cały proces akwizycji jeszcze w kwietniu tego roku.

Wspomniane przejęcie będzie więc następnym etapem w budowie konsekwentnie rozwijanego segmentu energii elektrycznej. Przypomnijmy, że w 2018 r. odpowiadał on za 7 proc. zysku EBIDTA płockiej spółki (zysk operacyjny przed potrąceniem odsetek od zaciągniętych zobowiązań, podatków oraz amortyzacji wartości niematerialnych i prawnych – przyp. red.), aby na koniec 2019 r. wzrosnąć do 17 proc.

Orlen jest też czwartym co do wielkości producentem energii elektrycznej w Polsce, a przejęcie Energi pozwoli

na dalszy dynamiczny rozwój biznesu opartego na dystrybucji i sprzedaży prądu. Integracja obu podmiotów będzie nie tylko szansą na bardziej efektywne wykorzystanie posiadanych przez obie spółki zasobów produkcyjnych – w tym możliwości osiągnięcia synergii biznesowej (obniżenia kosztów przy jednoczesnym zwiększeniu skali działalności).

Fuzja pozwoli również na integrację działów naukowo-badawczych i wdrożenie całkowicie nowych rozwiązań dla klientów korzystających już teraz z bogatej palety produktów i usług płockiego giganta. Jakby tego było mało, ogromnym atutem nowej grupy będzie szeroka dywersyfikacja wykorzystywanych w podstawowej działalności zasobów – od paliw kopalnych poprzez odnawialne źródła energii.

Ten ostatni aspekt ma szczególnie istotne znaczenie w dobie zmian klimatycznych i coraz większej dbałości o środowisko naturalne. Chodzi więc o jeszcze bardziej efektywne zagospodarowanie surowców energetycznych przy możliwie jak najmniejszych negatywnych skutkach dla otaczającej nas przyrody (m.in. dzięki rosnącemu udziałowi energetyki wiatrowej w produkcji prądu).

ELEKTRYCZNA REWOLUCJA

W aspekcie wykorzystania energii elektrycznej jako coraz bardziej popularnego napędu wyzwaniem staje się również zapewnienie odpowiedniej infrastruktury dla klientów. Dotąd przyzwyczajeni do tankowania swoich aut paliwami tradycyjnymi, a więc benzyną, olejem napędowym bądź gazem ziemnym LPG, właściciele i użytkownicy samochodów coraz częściej będą sięgać po prąd elektryczny.

Dla nich właśnie Orlen rozwija tak niezbędną na stacjach paliwowych sieć szybkich ładowarek. I tutaj choćby na niemieckich stacjach koncernu zlokalizowanych w Berlinie działają dwa takie urządzenia o mocy 100 kW, a kolejne dwa są zaplanowane w Hamburgu i Lubece. Tym samym Niemcy dołączają do Polski i Czech, gdzie koncern dysponuje już siecią 43 szybkich stacji ładowania samochodów elektrycznych.

W zaktualizowanej jeszcze w ubiegłym roku strategii rozwoju firma zapowiadała przygotowanie swojej sieci dystrybucji do sprzedaży paliw alternatywnych. Pomimo że w najbliższych dekadach nadal podstawowym źródłem energii w transporcie będą paliwa kopalne, to jako największy dystrybutor paliw w regionie Orlen postanowił przygotować się również na wzrost udziału innych źródeł napędu w całkowitej sprzedaży.

Już teraz na krajowych stacjach koncernu funkcjonuje 26 urządzeń do szybkiego ładowania o mocy 50 i 100 kW, a kolejne są w fazie realizacji. Z kolei na rynku czeskim, gdzie infrastruktura powstaje we współpracy z Grupą CEZ i E.ON, ładowarki działają obecnie na 17 stacjach Benzina.

Urządzenia zainstalowane na stacjach Grupy Orlen wyposażone są w złącza CHAdeMO, CCS, a także Typ 2, obsługujące wszystkie typy samochodów elektrycznych dostępnych w Europie. Ponadto w Polsce, Niemczech i Czechach działa również sześć stacji ładowania, przeznaczonych wyłącznie

dla aut koncernu Tesla (zrealizowane we współpracy z amerykańskim producentem).

Dodatkowo na stacjach wchodzących w skład grupy dostępne są również inne paliwa alternatywne. Chciałoby na rynku niemieckim funkcjonować dwa punkty dla samochodów zasilanych wodorem, natomiast na 43 czeskich obiektach można także tankować sprężony gaz ziemny CNG.

ATRAKCYJNE ŹRÓDŁA ENERGII

Aby jednak móc zaoferować klientom niezbędne nośniki energii, kluczowe jest ich wcześniejsze pozyskanie. Dotyczy to nie tylko aspektów opłacalności produkcji, przy zachowaniu odpowiedniego poziomu kosztów, lecz również dbałości o środowisko naturalne. I tu nieocenione mogą być odnawialne źródła energetyczne – w tym m.in. wykorzystujące siłę wiatru.

Przypomnijmy, że Orlen rozpoczął już m.in. proces wyboru projektanta morskiej farmy wiatrowej na Bałtyku. W ramach postępowania wyłoniony zostanie doradca techniczny, który przygotuje wstępny projekt farmy, założenia budowlane oraz analizę produktywności.

Dodatkowo w przypadku przejęcia Energi koncern istotnie wzmocniłby swoją pozycję na rynku energii odnawialnej. Gdańska firma posiada już bowiem lądowe farmy wiatrowe mocy 165 MW (farmy Bystra, Karcino i Karścino) oraz realizuje dwa projekty wiatrowe: Myślino i Parsówek. Ponadto na terenach po kopalni Adamów w gminie Przykona powstaje farma wiatrowa o mocy 30 MW, a w przyszłości Energia planuje budowę elektrowni fotowoltaicznej i banku energii.

Wracając jednak do projektu realizowanego przez płocki koncern, to w obecnej fazie kończone są badania środowiskowe, pomiary wietrzności, a także badania dna morza. Po szczegółowej analizie pozwolą one na stworzenie projektu technicznego całego przedsięwzięcia. Następnym krokiem będzie opracowanie konkretnych rozwiązań z zakresu technologii (optymalny rodzaj turbin, gabaryty konstrukcji wsporczych, a także założenia produktywności farmy), doprecyzowanie harmonogramu i kosztorys planowanej inwestycji.

I tu właśnie zarząd firmy szczególnie uważnie przygląda się światowym trendom, a plany dotyczące morskiej energetyki wiatrowej wpisują się w strategię Orlenu, zakładającą stworzenie silnego koncernu multienergetycznego. W perspektywie najbliższych kilku lat płocki koncern chce się stać ważnym producentem czystej energii elektrycznej, na którą zapotrzebowanie stale będzie rosło.

Dodajmy, że koncern – poprzez swoją spółkę Baltic Power – posiada już koncesję na budowę farm wiatrowych na Bałtyku o maksymalnej łącznej mocy do 1200 MW. Jej obszar o powierzchni około 131 km kw. zlokalizowany jest 23 km na północ od linii brzegowej Morza Bałtyckiego, na wysokości Choczewa i Łeby. Koncern ma warunki przyłączenia farmy do sieci, finalizuje również proces pozyskiwania partnera branżowego do realizacji inwestycji.

KP

Materiał powstał przy współpracy z PKN ORLEN



Stabilny biznes to obecnie dobra alternatywa na trudne czasy

Epidemia koronawirusa w Polsce sprawiła, że stanęliśmy wobec nowych wyzwań. Dużo firm szuka alternatyw, zmieniając profil swojej działalności. Wiele podmiotów działających w branży hotelarskiej, eventowej czy gastronomicznej niestety całkowicie zawiesiło działalność. Taką decyzję w marcu podjęło aż 67 proc. małych punktów gastronomicznych i restauracji. W tej trudnej sytuacji dobrze radzą sobie małe sklepy, otwierane są też nowe punkty, dając tym samym zatrudnienie lokalnej społeczności

Handel w ostatnich tygodniach zderzył się z ogromną liczbą wyzwań. Zmianie uległy nawyki zakupowe klientów oraz rodzaj kupowanego asortymentu. Ruch przeniósł się do małych sklepów, zlokalizowanych blisko domu. Kupowanie w pobliskich sklepach to nie tylko wsparcie

dla lokalnego handlu, to także szansa na zrobienie bezpiecznych zakupów. Przykładem takiego punktu jest Żabka, która działa na zasadzie franczyzy. Obecnie pod jej szyldem funkcjonuje ponad 6 tys. sklepów w całej Polsce prowadzonych przez blisko 4,5 tys. franczyzobiorców.

WSPARCIE W RAMACH SIECI FRANCYZOWEJ I GWARANTOWANY PRZYCHÓD

Żabka nie wymaga dużego wkładu własnego. Wystarczy dysponować kwotą 5 tys. zł netto. Suma ta pokrywa koszty zakupu drukarki fiskalnej, kon-



Fot. K. Kowalski / Wp

cesji oraz umożliwia opłacenie dodatkowych pracowników biorących udział w zatowarowaniu sklepu. Cała reszta jest po stronie sieci – Żabka wynajmuje lokal, opłaca czynsz oraz zapewnia wyposażenie i zatowarowanie sklepu. Z kolei przyszły franczyzobiorca może dokonać wyboru spośród oferowanych lokalizacji sklepu, w którym chciałby prowadzić swój biznes. Decydując się na franczyzę, prawdopodobieństwo sukcesu jest dużo większe, ponieważ znana firma ma stałych klientów i pewną pozycję na rynku.

Taka działalność pozwala na osiągnięcie atrakcyjnych dochodów. W związku

ze zmianą w ofercie, która obowiązuje od 1 kwietnia br., wzrosła też gwarantowana kwota podstawowego przychodu do 16 tys. zł miesięcznie, niezależnie od obrotu. Dochody te mogą się zwiększać wraz z rozwojem sprzedaży i biznesu. Dodatkowo sieć wydłużyła okres gwarantowanego przychodu do 12 miesięcy.

STAŁE WSPARCIE ZE STRONY ŻABKI

Franczyzobiorca może liczyć na stałą pomoc ze strony francyzodawcy. Żeby zostać franczyzobiorcą, nie trzeba mieć doświadczenia w handlu, ważne jest zaangażowanie i przedsiębiorczość. Przez cały okres współpracy firma proponuje cykl szkoleń, które uzupełniają ewentualne braki. W obecnej sytuacji znaczna część szkoleń prowadzona jest on-line. Dzięki specjalnej platformie przedsiębiorcy mogą korzystać z filmów instruktażowych, szkoleń w formie webinarów, mogą także uzyskać pomoc on-line od trenera. Firma dba ponadto o rozwój zaplecza technologicznego, które pomaga w sprawnym zarządzaniu sklepem. Takim przykładem jest m.in. aplikacja mobilna Frappka. To narzędzie stworzone dla i z myślą o franczyzobiorcach. Frappka umożliwia kontrolowanie działań sklepu za pomocą smartfona. Narzędzie pozwala także na śledzenie rozliczenia, stanu sprzedaży oraz otwarcia i zamknięcia kas.

Z kolei franczyzobiorca jest odpowiedzialny za zarządzanie sklepem, kontrolę kosztów, prowadzenie administracji działalności gospodarczej, realizację zobowiązań podatkowych i ZUS oraz kwestie pracownicze. Co ważne, osoba, która podejmie współpracę z siecią Żabka, może w każdej chwili z niej zrezygnować, po podpisaniu umowy obie strony obowiązują bowiem 30-dniowy okres wypowiedzenia. Jednym z jej elementów jest wyselekcjonowanie – popularna forma zabezpieczenia w działalności gospodarczej – który zabezpiecza obie strony w relacji biznesowej bez zbędnych niedopowiedzeń.

BEZPIECZEŃSTWO W DOBIE KORONAWIRUSA

W związku z epidemią koronawirusa w Polsce Żabka podjęła liczne

kroki, które mają zapewnić bezpieczeństwo zarówno pracownikom sklepów, jak i klientom. Sieć zamontowała w każdym sklepie szybę pleksi, która ma chronić kasjerów. Dodatkowo marka zaopatrzyła franczyzobiorców w przyłbice ochronne dla pracowników, maseczki, środki do dezynfekcji oraz jednorazowe rękawiczki. Zwiększony został też nacisk na reżim sanitarny w sklepie – konieczność dezynfekcji blatów, terminala płatniczego oraz skanera, a co godzinę jest odkazana szyba pleksi. Żabka wyposażyła swoich franczyzobiorców w pakiet informacji obejmujący m.in. plakaty i ulotki dla klientów, odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania czy kontakty do wojewódzkich i powiatowych stacji sanitarno-epidemiologicznych.

JAK ZOSTAĆ FRANCZYZOBORCĄ ŻABKI?

Rekrutacja nowych franczyzobiorców cały czas trwa. W związku ze stanem epidemii, który obowiązuje w Polsce, Żabka przeprowadza spotkania on-line. Z uwagi na ograniczenie funkcjonowania urzędów firma przygotowała prezentację, która prowadzi kandydata przez ePUAP, umożliwiając tym samym kompletowanie dokumentów w wersji cyfrowej. Ważnym elementem procesu rekrutacyjnego są szkolenia. Od początku ogłoszenia epidemii wprowadzona została możliwość uczestnictwa w szkoleniu wstępnym w formule eksternistycznej. Oznacza to, że połowa szkolenia (sześć dni), podczas której omawiane są tematy techniczne, może się odbywać poprzez sesje on-line z trenerem oraz szkolenia e-learningowe. Druga część szkolenia, w której kandydat poznaje operacyjne aspekty pracy, nadal przeprowadzana jest w sklepie trenerskim z zachowaniem wszystkich dostępnych środków ostrożności. Franczyzobiorcy mają także dostęp do specjalnej platformy szkoleniowej.

Więcej informacji na:
www.zabka.pl/franczyza

Biebrza w ogniu

*Pożar, który wybuchł tydzień temu w Biebrzańskim Parku Narodowym, strawił tysiące hektarów najwspanialszych w Europie siedlisk bagiennych.
Płonące bagna – znak czasów i przestroga*

Fot. Lasy Państwowe



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Biebrza to jedyna dzika, pierwotna, nizinna rzeka Europy. Nieskrępowane niczym głębokie meandry i niezliczone odnogi, starorzecza i wodne przesmyki przeplatające się z głównym nurtem i między sobą nawzajem, tworzące niepowtarzalny wzór w zieloności torfowisk, brzezin, łożyn, mszarów i turzycowisk. Rozlewiska przyciągają zimujące stada łabędzi krzykliwych, aż po horyzont pokryte są

soczyćście złotymi kwiatami wyrastających spod wody kaczeńców. Bezkręse mokradła tworzące osobną krainę o własnej historii, kulturze, tradycjach i przede wszystkim przyrodzie, krainę, w której osiá wszystkiego, włącznie z człowiekiem, stanowi dzika rzeka i coroczny rytm jej przybierających i opadających wód. Znaczna część doliny Biebrzy jest chroniona jako Biebrzański Park Narodowy, największy park narodowy w Polsce i jedyny taki na kontynencie. Siedlisko i ostoja niezwykle rzadkich roślin, grzybów i zwierząt, z których najbardziej zwracają uwagę unikatowe lub nawet wymarłe gdzie indziej gatunki ptaków, nad Biebrzą występujące w liczbie przywozdującej na myśl pierwsze dni Edenu.

Tak kiedyś wyglądały nizinne rzeki Europy, pozostała tylko Biebrza.

ZLEKCEWAŻONY APEL

6 kwietnia tego roku na stronach Biebrzańskiego Parku Narodowego pojawił się coroczny apel o niewypalanie łąk. Akcje edukacyjne, patrole, pogotowie pożarowe i akcje gaśnicze, podczas których gaszący ryzykują życie, to zresztą stałe punkty każdego roku w parku. Praca w parku narodowym to nie tylko obcowanie z zapierającą dech przyrodą, lecz także wielkie poświęcenie, by wypełnić powierzony obowiązek zachowania miejsca, które jest jednym z największych skarbów narodowych, jakim nikt inny nie może się poszczycić.

W tym roku apel o niewypalanie łąk był szczególnie ze względu na wyjątkową suszę panującą na bagnach Biebrzy. Pożar, prawdopodobnie będący wyni-



CO BĘDZIE TERAZ?

Pośród największych, bezpośrednich szkód dyrektor Grygoruk jeszcze w trakcie trwania pożaru wymienia zniszczenie gniazdowisk i żerowisk ptaków, masową zagładę drobnych zwierząt, w tym bezkręgowców, które nie mogą uciec płomieniom, a których śmierć z pewnością odbije się na ekosystemie. Co znaczące, płoną nie tylko suche trzcinowiska, lecz także torfowiska i brzeziny bagienne, w tym roku wbrew swojej naturze wyschnięte.

Na wypalone przestrzenie, zwłaszcza jeżeli ponownie nie przesyli ich woda, mogą wkroczyć wtórne, jednolite łany trzciny i innych, także inwazyjnych roślin, zmieniając i zubażając oblicze dotychczasowych, różnorodnych siedlisk.

Bardzo groźną perspektywą jest zapalenie się głębszych warstw torfu. Jeżeli do tego dojdzie, co nie jest wykluczone, podziemny ogień może się tlić miesiącami, a nawet latami. Oprócz oczywistych konsekwencji takiego zjawiska należy zdać sobie sprawę, że warstwy torfu odkładały się od tysięcy lat, a ich odtworzenie nie jest możliwe.

Podobnie dzieje się, jeżeli torfowisko wyschnie – wówczas umiera.

Taka skala pożaru byłaby katastrofą ekologiczną w każdym miejscu. Nad Biebrzą stawka jest szczególnie wysoka. Tamtejsza populacja łosi, największa w kraju i reliktowa, odznacza się najbogatszym genotypem; to właśnie nad Biebrzą żyły w pewnym momencie XX w. ostatnie łosie w Polsce i stąd, podobnie jak bobry, ponownie się rozprzestrzeniły. Nad Biebrzą żyje największa populacja wodniczki, drobnego ptaka śpiewającego z rodziny trzcinaków, o zwyczajach wciąż stanowiących zagadkę dla naukowców.

By obserwować wodniczki, nad Biebrzę przybywają ornitolodzy z całej Europy.

Nad Biebrzą gnieźdzą się osobliwe dubelty, które w wielu innych krajach już wyginęły, tam też odbywają się jedne z ostatnich tokowisk batalionów bojowników, których samce tańczą na niewielkich arenach, strosząc szero-kie kryzy z piór, popisując się przed samicami i walcząc z rywalami (każdy z samców batalionów ma sobie tylko

kiem podpalenia, wybuchł 12 kwietnia 2020 r., w Niedzielę Wielkanocną. Zanim został ugaszony, strawił niemal 170 ha torfowisk. Po nim do pożarów doszło jeszcze kilkakrotnie.

19 kwietnia 2020 r. wybuchł kolejny pożar, jeden z największych pożarów od czasów wojennych burz ognia, nie tylko w Polsce, lecz i w tej części Europy. Tym razem, co znamienne, pożar ogarnął bagna. Do momentu, kiedy piszę te słowa, czyli 23 kwietnia, płomienie strawiły olbrzymi obszar 7 tys. ha – najpiękniejszych i unikatowych siedlisk, jakie można sobie wyobrazić.

SUSZA

„Susza, susza, susza” – tak przede wszystkim określił przyczyny katastrofalnego rozmiaru pożaru dyrektor Biebrzańskiego Parku Narodowego Andrzej Grygoruk, który mimo całodobowej, wielodniowej, wciąż trwającej walki z ogniem znalazł moment, by kontynuując misję edukowania społeczeństwa, udzielić odpowiedzi na moje liczne pytania, za co – biorąc dodatkowo pod uwagę niezwykle trudną sytuację – składam serdeczne podziękowania.

Według udzielonych informacji bardzo niski poziom wód gruntowych i brak opadów, a także trudny dostęp do biebrzańskich bagien to czynniki,

które sprzyjają rozprzestrzenianiu się ognia i utrudniają walkę. Paradoksalnie problemem jest też dostępność wody do gaszenia, ponieważ wiele drobnych cieków, w normalnych warunkach o tej porze roku pełnych wody, po prostu wyschło. Wiosenna Biebrza i jej dolina kojarzą mi się nieodparcie przede

Bardzo groźną perspektywą jest zapalenie się głębszych warstw torfu. Jeżeli do tego dojdzie, podziemny ogień może się tlić miesiącami, a nawet latami

wszystkim z wszechobecną wodą, pośród której tylko czasem wznoszą się grzaskie, uginające się pod stopami wysepki. Ziemnowodnym światem, z przewagą pierwiastka wodnego. Tym razem jednak jest zupełnie inaczej.

Ogień szaleje zresztą nie tylko na terenie parku, lecz także na znajdujących się w jego granicach enklawach wsi Polkowo, Kopytkowo, Dolistowo Stare oraz Kapice.



właściwy, niepowtarzalny wzór upięknienia). Jedne z ostatnich walecznych i pięknych orlików grubodziobych, nizinna, ginąca populacja cietrzewi, wilki, rysie, zatrząsienie płazów w niemal apokaliptycznych ilościach zasiedlających każdą podmokłość, niezwykle bogactwo gatunków ryb, rzadkie rośliny: rosiczki, nasięźrzały, storczyki o dziwnych nazwach: kruszczyki, gnieźniki, lipieniki, listery – to wszystko i wiele innych osobliwości znalazło ostoję nad Biebrzą.

PERSPEKTYWY

Ugaszenie pożaru to nie koniec walki (jeżeli doszłoby do zapalenia się torfu pod powierzchnią, ugaszenie byłoby bardzo

odległą perspektywą). Po pożarze trzeba będzie włożyć ogromną pracę, aby zapobiec zajęciu spalonych przestrzeni przez wtórną roślinność, która mogłaby zastąpić dotychczasowe, zróżnicowane jak mozaika siedliska. Wielkim i stałym wyzwaniem będzie walka o wodę, o taką jej ilość, która pozwoli na zabezpieczenie torfowiska przed ogniem, a także na funkcjonowanie tego bagiennego świata w taki sposób, jak się to działo od tysięcy lat. Pożar na bagnach to ostrzeżenie – mądre gospodarowanie wodą powinno być jednym z narodowych priorytetów. Edukacja w zakresie ostrożności z ogniem – a przede wszystkim wpojenie wiedzy o śmiertelnym zagrożeniu wypalaniem łąk – to także wciąż aktualne wyzwanie.

W tym momencie najwięcej zależy od ludzi tak ofiarnie walczących z pożarem i jego konsekwencjami: od pracowników parku narodowego, strażaków, leśników, żołnierzy i wielu innych, a także od pogody.

Bardzo wiele zależeć będzie od całego społeczeństwa i od rządzących: czy będziemy potrafili traktować Biebrzę i jej dolinę jako miejsce jedyne i niepowtarzalne, którego utrata czy choćby zubożenie przyniosłoby straty nie do odrobienia. Jednym z nadchodzących wielkich sprawdzianów będzie kwestia planowanych tras Via Carpatia, Via Baltica czy S-16. Trasy takie nie powinny przeciąć Biebrzańskiego Parku Narodowego. Niezależnie od potrzeby budowy takich tras ingerencja w jedyny taki obszar bagienny byłaby nie tylko symbolicznym naruszeniem przyrodniczego sanktuarium, lecz także zmieniłaby go i zubożyła. Negatywne konsekwencje takiego działania dla przyrody są bowiem niewątpliwe i nieodwracalne. Jeżeli jako pewnik przyjmujemy oczywistą prawdę, że Biebrza jest unikatem, wówczas żadne koszty przeznaczone np. na przełożenie przebiegu drogi, w oczywisty sposób nie będą zbyt wysokie, to, co bezcenne, jest bowiem zawsze bardziej wartościowe.

Na razie można wspomóc Biebrzański Park Narodowy, wpłacając darowizny na konto parku nr: **31 1130 1059 0017 3397 2620 0016**, Biebrzański Park Narodowy, z dopiskiem: „Darowizna pożar 2020”. 



PZU – historia społecznej odpowiedzialności

Solidarność i wzajemne wsparcie były w czasach niewoli sposobem na manifestowanie polskości i na jej przetrwanie. Tak rodziły się pierwsze polskie towarzystwa ubezpieczeniowe. Przypominamy o tym przed Dniem Flagi

Gdy w XIX wieku na ziemiach polskich zaczęły powstawać pierwsze towarzystwa ubezpieczeniowe, opierały się na zasadzie wzajemności i samopomocy. Miały patriotyczny i niepodległościowy charakter. Dawały wsparcie polskim rzemieślnikom, rolnikom i przedsiębiorcom, stanowiącym o siłę polskości w gospodarce. Dziś PZU kieruje się tym samym poczuciem społecznego i patriotycznego obowiązku. Jego wyrazem jest w ostatnim dramatycznym czasie pomoc niesiona w walce z pandemią koronawirusa.

POWSTANIEC SPOŁECZNIK

Dramatyczne zdarzenia poprzedziły też powstanie pierwszego w Galicji polskiego towarzystwa ubezpieczeniowego. W lipcu 1850 roku wybuchł największy pożar w dziejach Krakowa. Pastwą płomieni padł pałac biskupów, cztery kościoły, domy i pałace od Dolnych Młynów aż do Wawelu. Zgorzały nawet kamienice przy Rynku Głównym. Sześć lat później podobna katastrofa dotknęła Mielec. To przełamało opór zaborców. Austriacy zgodzili się na powołanie polskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń.

Było ono od lat ambicją Franciszka Trzecieckiego, powstańca listopadowego, który za męstwo w walce z Rosjanami dostał Złoty Krzyż Orderu Virtuti Militari. Trzeciecki udzielał się w Galicyjskim Towarzystwie Gospodarczym, założył Towarzystwo Przyjaciół Oświaty, wydawał książki. W Krakowie prowadził salon polityczno-literacki. Został dożywotnim kuratorem ubezpieczeniowej instytucji.

Do jej zarządu weszli arystokraci, na czele z Adamem Sapiehą, Władysławem Sanguszką, Adamem Potockim, Wiktorem Lanckorońskim i związanym z emigracyjnym Hôtel Lambert Henrykiem Wodzickim. Taki układ personalny bardzo pomógł przedsięwzięciu. Książęta i hrabiowie byli jedynymi, którzy mogli szybko zgromadzić kapitał wyjściowy, wymagany przez austro-węgierski rząd.

POD OPIEKĄ ŚW. FLORIANA

Pierwotna nazwa funkcjonującej od 1860 roku instytucji brzmiała Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia

„Florian”. Potocznie nazywano je „Floranką”. Święty figurował w herbie towarzystwa, a do elewacji budynków, których właściciele wykupili polisę, przytwierdzano metalowe tabliczki opatrzone jego wizerunkiem. Florian, zanim pojawił się na sztandarach polskich strażaków, był więc patronem ubezpieczycieli.

„Floranka” stopniowo rozszerzała działalność. Powstał osobny dział gradowy, w ofercie pojawiły się ubezpieczenia na życie, od kradzieży, samobójstwa lub śmierci w pojedynku. Towarzystwo weszło także na rynek kredytowy, udzielając pożyczek polskim rzemieślnikom, kupcom i chłopom, pragnącym rozpocząć działalność gospodarczą. Zarząd uważał bowiem, że od zysków finansowych ważniejsze są cele gospodarcze i społeczne. Próby ekspansji na wschód zablokowali Rosjanie, zaniepokojeni polskim charakterem „Floranki”.

POZA PRZEPISAMI I CYFRAMI – CZŁOWIEK

Kres działalności Towarzystwa, z którego nazwy „ogień” zniknął po jakimś czasie, położyła pierwsza wojna światowa. Szczyciło się ono wówczas 600 tysiącami zawartych umów ubezpieczeń – liczbą jak na tamte czasy imponującą. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nasz rynek ubezpieczeniowy opanowały zagraniczne firmy. Z krajowych graczy liczył się Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych – bezpośredni „przodek” PZU.

Jego ostatnim dyrektorem był Bronisław Ziemięcki, z pochodzenia ziemianin, z przekonań socjalista. Za młodu narażał życie dla ojczyzny w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej, potem był ministrem pracy w pierwszym rządzie II RP, posłem i prezydentem Łodzi. Podczas okupacji działał w Delegaturze Rządu na Kraj, aresztowany przez Gestapo został rozstrzelany w ruinach warszawskiego getta w 1944 roku.

Kiedy Ziemięcki został dyrektorem, zwrócił się do pracowników: „Liczę całkowicie na to, że nasze wspólne podejście do spraw, którymi Zakład się zajmuje, będzie nie suche i tylko służbowe, ale że będzie to spełnienie pracy społecznej PZUW, że poza przepisami i cyframi będzie widoczny człowiek, któremu Zakład służy jako instytucja społeczna”. Tym przesłaniem PZU kieruje się także dziś.

Piotr Grochowski

Zostań w domu, jedz pysznie

Popularny w świecie brytyjski kucharz, autor licznych programów i książek kulinarnych, błyskawicznie zareagował na to, co zaskoczyło nas wszystkich. Jego najnowszy program kulinarny (emitowany już na kanale Kuchnia+) jest odpowiedzią na pandemię i nadal obowiązujące zalecenia, by – jeśli to możliwe – zostać w domu.

Pelen energii, kipiący entuzjazmem i niewyczerpaną ilością pomysłów Oliver – jak ludzie w różnych stronach świata – musiał zatrzymać się w biegu. U niego trwało to jednak chwilę. Potrzebną, by dotychczasowy tryb życia i pracy zmienić w coś nowego.

Na trudne czasy charyzmatyczny mistrz kuchni – i dla wielu kulinarny guru – wymyślił specjalne dania. Menu dla każdego. W programie „Zostań w domu, gotuj z Jamiem” serwuje proste przepisy. Oczywiście na smakowite potrawy.

Wyjątkowa sytuacja wymaga kreatywnych rozwiązań. Oliver dopasował kulinarne propozycje do potrzeb ludzi, którzy z powodu panującego się koronawirusa pozostają w czterech ścianach, rzadko chodzą na zakupy i muszą sobie radzić z tym, co zgromadzili w spiżarniach i zamrażarkach.

W programie stara się aktywizować nawet tych, którzy przy garnkach nie spędzali wcześniej zbyt wiele czasu. W każdym odcinku pokazuje, jak – mając do dyspozycji zaledwie kilka składników – przygotować dwa pożywne dania (a do tego np. domowy chleb).

Kluczem do sukcesu jest w tej serii prostota, ale nie banalność. Jamie udowadnia, że z najbardziej podstawowych produktów można stworzyć coś wyjątkowego. Niejako przy okazji pokazując, że nawet w sytuacji, jaką dziś mamy, udaje się znaleźć coś pozytywnego. Dłuższe pobyty w kuchni, paradoksalnie, dają szansę na ograniczenie np. niekontrolowanego podjadania. Regulują i uatrakcyjnają czas posiłków. Być może pozwolą odkryć kulinarną kreatywność, a z pewnością zapomnieć o nudzie przy garnkach i patelniach.

Program „Zostań w domu, gotuj z Jamiem” emituje Kuchnia+ (kanał dostępny w ofercie Canal+, ale też w sieciach kablowych). Premierowe odcinki wyświetlane są codziennie, od poniedziałku do piątku, o godz. 18.30, a powtórki następnego dnia o godz. 14.30.

Jolanta Gajda-Zadzworna

Zapiekanka z mrożonej ryby (odcinek drugi)

Jamie Oliver mówi o tym przepisie „sprytny, pyszny i oszczędny”, czyli w sam raz na dzisiejsze czasy. Z zamrażalnika wyciąga: szpinak, groszek i rybę (proponuje po 300 g łososia i dowolnej ryby o białym mięsie, ale podkreśla, że inna opcja też się sprawdzi: w kuchni trzeba być elastycznym). Zalewa 1/2 l mleka i gotuje ok. 10 min. W tym czasie przygotowuje „pyszną pierzynkę”. Do pokrojonych ziemniaków, pod koniec ich gotowania, dorzuca trochę zielonego groszku z torebki (reszta wraca do zamrażalnika). Odcedza. Na patelni przygotowuje serowy sos: dwie cebule i dwie marchewki kroji i podsmaża na oliwie, aż zmiękną, czyli ok. 10 min, dodaje 60 g mąki (by zagęścić sos) i czubatą łyżeczkę musztardy. Powoli, stale mieszając, wlewa mleko, w którym gotowała się ryba. Do sosu, pod koniec, dorzuca 100 g szpinakowych brykietów, a potem – opcjonalnie – 50 g startego sera cheddar (może być inny). Dopełnieniem całości (też opcjonalnym) jest sok z połowy cytryny. Teraz tylko doprawienie solą oraz pieprzem i nadchodzi czas na wrzucenie do sosu ugotowanej i podzielonej na kawałki ryby, a także przykrycie całości „pierzynką”. Odcedzone ziemniaki z groszkiem gniecie z masłem i odrobiną soli oraz pieprzu, a potem delikatnie nakłada na to, co na patelni i wstawia do piekarnika, by całość się zrumieniła. Zapach ściągnie do kuchni całą rodzinę. 



**SŁODKO-SŁONY**

Domowe kolonie

ANNA MONICKA

Chciałam ostatnio kupić drożdże. Okazało się, że wymiotło je ze sklepów. Ludziska na potęgę pieką ciasta – powiedziała sprzedawczyni w naszych małych lokalnych delikatesach. – Proszę zaglądać i pytać – poradziła. Doszłam do wniosku, że nie będę z okazji drożdży robiła rajdu po sklepach, bo mi w mojej masce parują okulary. Nie zamierzam smażyć się w kolejkach i smarować płynem do dezynfekcji. Mam dość, biorę piwo. Porządne, niepasteryzowane.

Bynajmniej nie po to, żeby się nim wieczorem zagłuszyć. Mama mi zawsze mówiła, że piwo przecież powstaje na drożdżach, więc spokojnie można je samemu zrobić w domu. Często dolewamy piwo do ciasta naleśnikowego, omeletów – to właśnie dzięki tym drożdżom robią się pulchniejsze, trzeba im tylko dać trochę czasu, żeby popracowały. Nadszedł czas powiedzieć: sprawdzam! Bo zamierzałam upiec focaccię, mój ukochany włoski chlebek z rozmarynem i solą. On nie musi być jakoś specjalnie wyrośnięty, więc nawet takie domowe drożdże powinny dać radę. Nastawiłam na noc szklankę piwa, do której dodałam po kopiastej łyżce mąki i cukru, żeby grzybki miały co jeść. Znalazłam jej ciepłe miejsce koło czajnika. Rano natychmiast pognałam sprawdzić, jak minęła noc. W szklance praca wrzała, a piwny zapasek miło rozpełził się po kuchni.

Do roboty więc. Pół kilograma mąki przesiałam do miski, zalałam drożdżami (trochę zostawiłam jako starter do kolejnej produkcji), odrobinę posoliłam, wyrobiłam, okryłam lnianą ściereczką i wstawiłam do nagrzanego na 50 stopni, wyłączanego, piekarnika.

Dwie godziny później ciasto wychodziło z miski. Moja domowa kolonia grzybów nie zmarnowała czasu. Przelałam je do płaskiej formy, polałam oliwą porową, posypałam rozmarynem, oprószyłam cytrynową solą i do piekarnika nagrzanego tym razem do 200 stopni. Po 20 minutach opryskałam ciasto wodą i po kolejnych 10 wyjęłam. Rzuciłyśmy się na nie z córką jak dwie harpie, zanim zdążyło ostygnąć. Maselko czosnkowe i zsiadłe mleko plus ciepły placek – to nam wystarczyło. Córka, kolejny raz w ciągu kwarantanny, orzekła, że lepszego chlebaka nie jadła.

Focaccię można też potraktować jak spód do pizzy – bawcie się więc, kiedy czasu w domu więcej. 

**WILCZYM OKIEM**

Polska darem lasu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Tytuł jest zamierzoną parafrazą stwierdzenia „Egipt darem Nilu”. To, co łączy Polskę i Egipt, to zależność od wody. W przypadku Egiptu od tysięcy lat wodę zapewniają wylewy Nilu, a także bardzo mądre gospodarowanie wodą, którego powinniśmy się uczyć od Egipcjan: okresowy nadmiar zamieniany jest na życiodajny zapas. Nie bez powodu w Polsce, kraju szczycącym się tradycjami rolniczymi, nader często miejscowe owoce i warzywa zastępowane są przez plody egipskiej, pustynnej, lecz mądrze nawadnianej ziemi.

W jaki sposób tytułowy las odgrywa w Polsce rolę analogiczną, jak wylewy Nilu w Egipcie, i jak owa rola lasu może i powinna zostać wzmocniona?

Podstawowym problemem w Polsce staje się obecnie zaopatrzenie w wodę. Podstawowym elementem środowiska, na który mamy wpływ, a który jednocześnie bardzo istotnie i pozytywnie wpływa na gospodarkę wodą w skali lokalnej i globalnej, jest las.

W przypadku powierzchni zabetonowanej woda szybko spływa, czasem w dodatku wywołując powódzie. Jeżeli opad, zwłaszcza gwałtowny, spadnie na teren rolny, również szybko zniknie, powodując erozję i splukując do wód nawozy.

Zupełnie inaczej zachowuje się woda, nawet z gwałtownych opadów, na terenach leśnych. Nie ucieka, lecz po wstępnym oczyszczeniu przez korony drzew, warstwę podszytu, runo, mchy i próchniczną glebę, zostaje magazynowana. Badania wykazały, że woda przesączająca się przez warstwy lasu po 50–100 dniach staje się czystą, spożywczą wodą.

Woda z lasu jest następnie stopniowo oddawana, nawadniając kraj tak jak wylewy Nilu. Rozprowadzana jest przez wody gruntowe, przez wypływające z lasów cieki, a także trafia do atmosfery wraz z transpiracją, generując opady. Las magazynuje zresztą nie tylko gwałtowne deszcze. Bardzo ważnym, zwłaszcza w okresach bezdeszczowych, jest także „wyczesywanie” wilgoci z przepływających mgieł. Szczególną rolę odgrywają lasy górskie. Chociaż w Polsce pokrywają niewielką powierzchnię, to w górach opady są największe i tam znajdują się źródła wielu rzek.

Dlatego zrealizowanie planu zalesienia 1/3 powierzchni Polski – i nie poprzestanie na tym, lecz kontynuowanie tego procesu – powinno być naszym priorytetem. 



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Czy WHO, CIA, NSA są potrzebne?

Spiskowe teorie zakładają, że COVID-19 to uciekinier z laboratorium w Wuhanie. Jeśli to prawda, to całe szczęście, że wirus zdecydował się na ucieczkę. Szczęście dla ludzkości. Bo gdyby jeszcze trochę zabawił tam, gdzie bawił, to nie wiemy, jaką siłę rażenia by osiągnął. Można się zastanawiać: uciekł jako dorosły czy jako prodrostek?

UCIEKINIER Z WUHAN?

Jeśli jeszcze wystarczająco nie dojrzał, to i tak jest już wyjątkowy w swojej sile. Przemieszcza się drogą niewidzialną, może atakować system nerwowy, serce, płuca, układy moczowy, rozrodczy. Można puścić wodze fantazji, co jeszcze mógłby zaatakować. Z istoty swojej jest bezbronny. Bez struktury komórkowej, więc nawet nie jest organizmem, bez komórek gospodarza ulega anihilacji. Jako pasożyt żeruje i szuka żerowisk. Swoją jad może rozpuszczać i dalej się namnażać. Jest pasożytem całkowicie zależnym od żywych komórek gospodarza, które opanował.

Jeśli to zbieg, to zdecydował się na ucieczkę w strategicznym miejscu

i czasie. Instytut Wirusologii w Wuhanie, mieście położonym w centrum Państwa Środka, jest jednocześnie jednym z największych centrów komunikacyjnych i lotniczych świata. Czas epidemii – styczeń, czyli pora nowego roku, to w Chinach okres gremialnego podróżowania. Od 23 stycznia wszyscy mieli tydzień wolnego od pracy i nauki. Po tym czasie, czyli od początku lutego, już nie wrócono ani do pracy, ani na uczelnie. Wuhan zmienił się w miasto zamknięte na cztery spusty. Do odciętych osiedli mieszkaniowych wojsko dowoziło jedzenie, nawet zwierząt nie wolno było wyprowadzać na zewnątrz.

DWA CHIŃSKIE MURY

Tylko Chiny – ponad 1,3 mld ludności – mogły zapewnić uciekinierowi luksusowy kilkutygodniowy okres utajonej ekspansji. Kraj otoczony podwójnym murem był w sam raz dla niewidzialnego zbiega. Ten pierwszy mur jest widoczny nawet z kosmosu, bo liczy ponad 2,4 km. Utworzono go z zapór naturalnych, sieci fortów i wież obserwacyjnych.

Drugi, niewidzialny Great Firewall of China, elektroniczny, zbudowany z systemu cyfrowych zabezpieczeń. Otacza chińskich użytkowników sieci tworzących największy na świecie internetowy rynek. Dostęp do niego ma 835 mln osób, czyli 58 proc. mieszkańców Państwa Środka. Połączenie zapór ogniowych i serwerów proxy na bramach kontrolujących przepływ informacji pozwala manipulować całym obiegiem informacyjnym. Używa się przy tym różnego rodzaju technik, takich jak m.in. skanowanie adresów URL i zawartości stron internetowych dla słów kluczowych umieszczonych na czarnej liście. Użytkownicy nie zawsze się dowiadują, że informacje są zablokowane, napotykają jedynie limity czasu, odcięte połączenia i inne komunikaty o błędach.

Sprawna cyfrowa cenzura zatrudnia ponad 50 tys. osób. Jej zadaniem jest blokowanie wszystkich treści potencjalnie niewygodnych dla partii, poczynając od spraw Tybetu i Tajwanu po masakrę na placu Tiananmen w 1989 r. Cenzura często jest nie do odróżnienia od problemów z wityrą. Nie będzie

jasne, czy witryna jest wyłączona lub czy blokuje ją zaporą? Ponadto napotka się blokowanie dostępu do adresów IP, analizowanie i filtrowanie adresów URL, resetowanie połączeń, blokowanie połączeń VPN. Dzień i noc trwa filtrowanie strumienia informacyjnego i wrogiej propagandy płynącej z różnych stron internetowych spoza granic ChRL.

Chiński Great Firewall to największy, najbardziej rozległy i najbardziej zaawansowany system cenzury internetowej na świecie. Ogniowa zaporą blokuje chińskim użytkownikom sieci dostęp do takich zachodnich gigantów mediów społecznościowych jak Facebook (ok. 2,38 mld użytkowników w pierwszym kwartale 2019 r.), Twitter czy YouTube. Chińczycy zbudowali własne narzędzia komunikowania i przeglądania sieci, takie jak: RenRen, Weibo, Weixin czy Tudou. Zablockowany jest dostęp do zachodnich platform blogerskich, jak Blogger czy WordPress.

STAN BEZBRONNOŚCI

Kraj posiadający system takich zabezpieczeń informacyjnych potrafił zablokować bieżące informacje o rozwijającej się pandemii. Jeśli jeszcze przypomnimy, że swego rodzaju dezinformację prowadziła Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), wypuszczając sprzeczne komunikaty o wirusie, to zrozumiemy, że przedłużenie embarga o COVID-19 odbywało się w okresie strategicznym dla rozwoju epidemii na skalę globalną. Zachód, kiedy już poznał prawdę, nie miał szans na wypracowanie odpowiednich środków ani procedur, by skutecznie bronić się przed nieznanym i niewidzialnym agresorem. Obecnie komunikaty WHO, owszem, ostrzegają, że koronawirus zagraża światu bardziej niż terroryzm. Bo dziś terrorystą numer jeden jest COVID-19.

Ukrycie przed światem pandemii obnażyło przy okazji stan bezbronności największych zachodnich służb wywiadu i kontrwywiadu, takich jak: CIA, NSA, MI6, Mossad i inne.

„Obecny kryzys wywołany epidemią koronawirusa zaskoczył wszystkich w jednakowym stopniu” – mówił pod koniec marca premier RP Mateusz Morawiecki. „To problem nie do przewidzenia... pojawił się znikąd” – twierdził na początku ub. miesiąca prezydent USA Donald Trump. Nie wiem, czy warto było tak głośno się do tego przyznawać.

DRAMAT ROZŁOŻONY W CZASIE

Epidemia COVID-19 udowodniła, że zaawansowane technologie cyfrowe wcale nie gwarantują transparentności i szybkości komunikowania, zwłaszcza w sytuacjach wymagających skoordynowanego działania i prewencji.

Chiński Great Firewall to największy, najbardziej rozległy i najbardziej zaawansowany system cenzury internetowej na świecie. Ogniowa zaporą blokuje chińskim użytkownikom sieci dostęp do takich zachodnich gigantów mediów społecznościowych jak Facebook, Twitter czy YouTube

Cyfrowe technologie, owszem, ułatwiały kontrolę konieczną podczas wdrażania procedur pandemicznych. Skanery pomiaru temperatury, kamery termowizyjne, aplikacje w smartfonach informujące o statusie jego użytkownika wprowadzały racjonalne zachowania w obszary, w których do niedawna dominował lęk.

Pandemia koronawirusa od chwili, gdy usłyszał o niej świat, ma własną dramaturgię rozłożoną w czasie. Globalne media dzień po dniu, tydzień

po tygodniu informują o liczbie ofiar, zachorowań i uleczonych. Każdego dnia poznajemy kolejne dane z frontu walki z COVID-19. Ostatnia aktualizacja z 22 kwietnia, na 7,8 mld ludności świata podaje liczbę potwierdzonych zakażeń – to ponad 2,5 mln osób, liczba zgonów ok. 179 tys.

Obrazy globalnych stacji telewizyjnych nieustannie eksponują świat ofiar COVID-19. Epidemia staje się kolejnym katalizatorem konfrontacji Chin ze światem Zachodu, a przede wszystkim z Ameryką Północną. Ekspertki podkreślają, że COVID-19 może posłużyć wdrażaniu otwartej polityki dominacji Chin w obszarze Euroazji i tworzenia alternatywy dla dotychczasowej polityki mocarstwowej Stanów Zjednoczonych.

Już dziś wielu zadaje pytanie, czy po raz kolejny globalna polityka strachu zatryumfuje? Tak jak po 11 września 2001? Czy raczej upadną dotychczasowe paradygmaty globalizmu?

ZBRODNIĄ DOSKONAŁĄ

Sprawa COVID-19 w świetle teorii Jeana Baudrillarda, francuskiego socjologa i filozofa kultury, znawcy współczesnych mediów, jednego z najbardziej oryginalnych krytyków globalizacji, obdarzonego apokaliptyczną wyobraźnią, opisującego kulturowe skutki rozwoju techniki rzeczywistości wirtualnej, może być odebrana jako rodzaj zbrodni doskonałej. Taką zbrodnią według Baudrillarda jest unicestwienie rzeczywistego świata. W zamian pozostaje nam symulakrum, kopia, odbicie rzeczywistości bez jej oryginału. Taką kopię obiecuje cyfrowy świat sieci. „W przypadku zbrodni doskonałej najbardziej zbrodnicza jest sama jej doskonałość. Udoskonalenie świata, jego wykończenie, dopełnienie i ziszczenie oznacza znalezienie dlań ostatecznego rozwiązania” – objaśnia francuski filozof. Naukowiec zmarł w 2007 r., w wieku 78 lat. Nie doczekał pandemii koronawirusa.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu



Co nam szykuje Bill 666 Gates?

Sprawy polskie najważniejsze, ale to, co najciekawsze, dzieje się dziś w skali globalnej. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem takiej ilości niewiadomych przy tak gwałtownym przyspieszeniu historii. Cały świat zajmuje się pandemią, która nie wiadomo, czy istnieje, bo nie wiadomo, jaką ma skalę, czy jest rzeczywiście pandemią, czy też tylko sezonową epidemią porównywalną z corocznymi epidemiami z jakichś powodów przez światowych liderów i media rozdmuchaną do skali Apokalipsy z fatalnymi konsekwencjami gospodarczymi i cywilizacyjnymi dla 99 proc. populacji. 185 tys. ofiar to liczba poważna i smutna, ale na świecie umiera 165 tys. osób dziennie, w czasie pięciu miesięcy trwania tej „pandemii” z różnych przyczyn zmarło 25 mln osób. Na choroby zakaźne umiera rocznie kilka milionów. Dopiero więc podsumowanie liczby wszystkich zgonów na koniec II kwartału pokaże nam prawdę.

Sytuacja obecna winna być rajem dla dziennikarzy, liczba ciekawych pytań bez odpowiedzi jest ogromna. Podrzucam kilka wątków. To nie spiskowe teorie, ale łatwo sprawdzalne fakty. Wątki te – mam nadzieję – zostaną wkrótce zbadane i wyjaśnione. Byśmy mogli podjąć właściwe decyzje.

1 Jesienią 2019 r. w północnych Włoszech przeprowadzono – określane z dumą jako „dywanowe” – szczepienia przeciw grypie. Zaszczepiono 129 tys. osób powyżej 65. roku życia, w Lombardii 56 proc. populacji w tym wieku. Na początku tego roku seniorzy w Lombardii dostali kolejną dawkę szczepionki, tym razem przeciwko meningokokom. Istnieje wiele naukowych opracowań (m.in. tegorocznych Pentagonu i fundacji Roberta F. Kennedy’ego Jr) stwierdzających, że szczepionka na grypę zwiększa u zaszczepionego ryzyko zapadnięcia na inne infekcje m.in. zapalenia dróg oddechowych i koronawirusy.

2 Nowa technologia telefonii komórkowej 5G rozwija się szybko. Oficjalne raporty uspokajają i dementują, ale na świecie są już setki poważnych opracowań naukowców i lekarzy, którzy dowodzą szkodliwości pól elektromagnetycznych 5G na ludzki organizm. Międzynarodowe apele w tej sprawie podpisało kilkaset tysięcy osób i organizacji z ponad 200 krajów. Chodzi m.in. także o osłabienie systemu odpornościowego. W Chinach najwięcej technologii 5G zainstalowano w Wuhanie. We Włoszech najwięcej 5G jest w Lombardii. W USA najwięcej w Nowym Jorku i na Wschodnim Wybrzeżu. Mapa zachorowań na COVID-19 w USA dość mocno pokrywa się z mapą rozmieszczenia 5G. Owszem, w Iranie 5G nie ma, a COVID jest, ale to nie znaczy, że 5G nie niszczy odporności.

3 Bill Gates jest drugim po USA największym finansistą Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). W roku 2017, przy pomocy Chin i zmasowanej kampanii PR, osadził na fotelu jej przewodniczącego marksistę i byłego terrorystę Tedrosa Adhanoma Ghebreyesus z Etiopii. Panowie Gates i Ghebreyesus mają wspólne ideały, o których mówili wielokrotnie: depopulacja. W roku 2014 próbowali przeprowadzić w Kenii akcję szczepienia 2 mln kobiet przeciw tężcowi szczepionką, która miała ukryte właściwości wczesnoporonne. Akcję zablokował kenijski Kościół katolicki już w trakcie jej trwania. Udało się to dzięki przeprowadzeniu dodatkowych badań, niezależnych od producenta szczepionki.

4 Swoje badania realizuje Bill Gates m.in. w laboratorium w Wuhanie (wedle „whistleblowerów” zaangażowane są tam również firmy George’a Sorosa). Tuż przed wybuchem „pandemii” koronawirusa, 18 października 2019 r., fundacja Billa i Melindy Gatesów zorganizowała Event 201 – Global Pandemic Exercise (Globalne ćwiczenia...), którego celem było przygotowanie się do pandemii, m.in. opracowanie metod kierowania mediami, by informacje pobierały wyłącznie z właściwych źródeł, nadawały zagrożeniu odpowiednią rangę oraz metod uciszania sceptyków za pomocą technologii („false messages are suppressed including the use of technology”).

5 Miesiąc temu, 26 marca, World Intellectual Property Organization opublikowała patent o nazwie „Cryptocurrency System Using Body Activity Data” (System kryptowaluty wykorzystujący dane o aktywności ludzkiego ciała), złożony w czerwcu 2019 r. przez Microsoft, czyli firmę, której twórcą i głównym udziałowcem jest Bill Gates. Chodzi o to, by monitorować czynności ludzkiego organizmu (m.in. fale mózgowe, temperaturę ciała, promieniowanie, tętno, obieg płynów, aktywność mięśni), na tej podstawie identyfikując ludzi i umożliwiając dokonywanie operacji płatniczych. Za szczególne poczucie humoru Billa Gatesa należy uznać fakt, że zadbał o to, by ten właśnie patent miał właśnie taki numer – WO/2020 060606. Widać czytał Apokalipsę według świętego Jana. A czy my czytaliśmy?

*PS W nowym układzie, kiedy mój felieton ukazuje się co dwa tygodnie, w międzyczasie zapraszam na portal wPolityce.pl.
Maciej Pawlicki*



Sztuczna inteligencja wesprze rozwój przedsiębiorstw

Sztuczna inteligencja (SI) coraz częściej gości w naszych domach i pracy – jest obecna w sprzętach, których używamy na co dzień, takich jak telewizory czy smartfony, choć często nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy

Dzięki zastosowanym w nich algorytmom działanie urządzeń jest najbardziej efektywne i dostosowane do naszych potrzeb. Jedno jest pewne – bez sztucznej inteligencji coraz trudniej nam się poruszać nie tylko w codziennym życiu, lecz także w świecie biznesu. SI staje się bowiem ważnym motorem napędowym cyfrowej transformacji przedsiębiorstw, mającej na celu poprawę wydajności oraz tworzenie wartości dodanej.

Istotę SI zauważają także przedsiębiorcy. 82 proc. przedsiębiorstw bezpośrednio stosuje już SI w scenariuszach związanych z produkcją i uzyskuje znaczną poprawę wydajności, a 40 proc. przedsiębiorstw będzie się starało stosować SI w procesach analitycznych związanych z podejmowaniem decyzji. Pomimo tego wiele z nich napotyka przeszkody w opracowywaniu nowych algorytmów SI.

Pomimo szybko rosnących wymagań na rynku SI nadal jest postrzegana jako technologia trudna do przyjęcia przez przedsiębiorstwa z przyczyn zarówno biznesowych, jak i technicznych. Między innymi dlatego firma Huawei zdecydowała, że stanie się jednym z filarów strategii spółki, i stworzyła kompletne rozwiązanie stanowiące bodziec do rozwoju SI i sprawiające, że może ona być zastosowana w wielu sytuacjach. Już teraz wykorzystanie tej technologii pomaga branży ICT w zwiększeniu wydajności, chroni bezpieczeństwo ludzi i jakość produktów, a nawet ratuje życie.

Huawei oferuje rozwiązania z zastosowaniem SI m.in. do analizowania obrazów czy wideo. Ma to swoje dalsze zastosowanie m.in. przy opracowywaniu procesów dla samochodów autonomicznych, zapewnianiu bezpieczeństwa w transporcie czy w fabrykach. Na podstawie analizy obrazów pracują z większą precyzją i wydajnością. Rozwiązania z obszaru sztucznej inteligencji opracowane przez firmę Huawei mogą wspierać lekarzy w diagnozowaniu zakażeń wirusem COVID-19, zwiększając tym samym efektywność służby zdrowia i pomagając w ratowaniu życia.

Zasoby potrzebne dla sztucznej inteligencji, czyli dane, moc obliczeniowa, sprzęt i specjaliści, są jednak deficytowe i kosztowne. Zgodnie z dokumentem przygotowanym przez Deloitte, dotyczącym globalnego rozwoju przemysłu sztucznej inteligencji, globalny rynek sztucznej inteligencji przekroczy 6 bln dol. do 2025 r., skumulowany roczny wskaźnik wzrostu (CAGR) osiągnie 30 proc. w okresie 2017 do 2025 r. Ponadto Gartner przewiduje, że moc obliczeniowa używana przez AI będzie stanowić ponad 80 proc. całkowitej mocy obliczeniowej używanej przez całe społeczeństwo w ciągu pięciu lat. Liczne branże są zainteresowane zastosowaniem efektywnych rozwiązań opartych na SI, ale aby zacząć z niej korzystać, muszą zmienić sposób myślenia i dostosować swoje procedury.

Do tej pory Huawei współpracował z dziesiątkami partnerów w wielu krajach w celu promowania modułów, kart, stacji brzegowych i serwerów z serii Atlas opartych na procesorach SI Ascend Huawei. Produkty i rozwiązania zostały wdrożone w kilkudziesięciu branżach, takich jak inteligentny transport, inteligentna energia elektryczna, inteligentne finanse, inteligentne miasto i inteligentna produkcja. W Polsce Huawei rozpoczyna współpracę i stosowanie rozwiązań SI w handlu detalicznym, opiece zdrowotnej i edukacji. Dzięki wsparciu władz lokalnych i przedsiębiorstw, uniwersytetów i organizacji badawczych wierzymy, że sztuczna inteligencja będzie miała szersze zastosowanie w Polsce.

Huawei Atlas zapewnia kompleksową obsługę wszystkich scenariuszy w cyfrowej i inteligentnej transformacji, pomagając programistom wprowadzać innowacje w różnych scenariuszach aplikacji SI. Dzięki pełnemu wsparciu globalnych programistów w zakresie lepszego opracowywania aplikacji sztucznej inteligencji Huawei Atlas pozwala rozwiązywać rzeczywiste problemy różnych branż, wnosić wartości dla przedsiębiorstw i społeczeństwa oraz sprawić, że globalny przemysł i ekosystem sztucznej inteligencji będzie lepiej prosperował.

Ken Xu, dyrektor ds. rozwiązań chmurowych i sztucznej inteligencji w Huawei Polska

Czas na zamyślenie

Zanim media zajęły się jednym tematem, koronawirusem, powinny nas zastanawiać wiadomości napływające ze świata, chociażby dlatego, że przerażają, zmuszają do zatrzymania się w tym opętaniczym biegu po dobrobyt. Można przeczytać opracowania mówiące o przybywającej liczbie chrześcijan na świecie, a jednocześnie obok są podawane zatrważające fakty, jak dużo jest ich mordowanych tylko dlatego, że nie chcą się wyrzec Chrystusa. Statystyki podają, że w tych rejonach świata, gdzie już samo przyznanie się do chrześcijaństwa grozi okrutną śmiercią, tam właśnie najwięcej przybywa wyznawców Chrystusa.

Jak na tym tle wypada nasza stara Europa, kontynent, który przecież powstał na fundamentach chrześcijańskich. Niepotrzebne stają się kościoły, co pewien czas słyszymy o ich wyprzedazy muzułmanom albo zamienianiu na galerie czy inne rozrywkowe przybytki. Rozpasanie, bogacenie się kolejnych warstw społecznych, nieważne jak i czym kosztem, można wszystko, żyć, jakby Boga nie było. Liczy się blichtr, luksus, imponowanie innym. Nie ma czasu ani wewnętrznej potrzeby na docieranie do głębokiej wiedzy, do Prawdy. W Polsce, kraju na dorobku, z trudem wydostającym się z komunistycznego zniewolenia, obserwujemy zachwytną nowoczesność tzw. europejskich elit i ślepe ich naśladownictwo. W domach zdejmowane są krzyże, chociaż ludzie w nich mieszkający często wywodzą się z rodzin katolickich i wiedzą, czują to, że bez Boga nie da się żyć. Z przerażeniem słuchałam młodej dziewczyny, absolwentki jakichś studiów prywatnych, mówiącej z uwielbieniem o swoich znajomych, którzy jeżdżą porsche. I jej rozpaczy: „A czym ja mogę im zaimponować”.

Warto zajrzeć do książki kard. Roberta Saraha „Bóg albo nic”, w której w przenikliwy sposób przedstawia on współczesne problemy wiary i Kościoła katolickiego w świecie zagubienia i dezinformacji. „Jeśli współczesny człowiek troszczy się niemal wyłącznie o gospodarkę, technologie, natychmiastowość fałszywie sentymentalnego, materialnego szczęścia, Bóg staje się daleki. [...] Człowiek nie jest szczęśliwy, gdy gromadzi dobra materialne, rozkwita – jeśli dostosuje całe swoje życie do nauki Chrystusa. Bogactwo może doprowadzić do samotności i smutku, a Chrystus zawsze daje radość. Postęp bez Boga to fałszywe szczęście. W tym zagonionym świecie, w którym nie istnieje czas dla rodziny ani dla samego siebie, a tym bardziej dla Boga, prawdziwa reforma polega na odnalezieniu sensu modlitwy, sensu milczenia, sensu wieczności”. Mogłam posłuchać tego wybitnego duchownego na kongresie Europa Christi, ruchu powstałego z inicjatywy ks. infułata Ireneusza Skubisia, który powiedział podczas inauguracji tego wielkiego wydarzenia: „Hasło kongresu: »Otwórzcie drzwi Chrystusowi« jest wołaniem św. Jana Pawła II z początku jego pontyfikatu. To zdanie jest bardzo wiążące i kluczowe. Europa przeżywa kryzys wiary



**Alina
Czerniakowska**

i tożsamości. Przez działania ateistów, masonów, liberalów doznała wielkiego zachwiania w sferze swojej świadomości. Różne ideologie lansowane przez niektóre środowiska europejskie są dużym zagrożeniem dla istnienia Europy”.

Szkoda, że mądre, jasne teksty ks. Skubisia, zawierające głęboką wiedzę, serce i troskę o Polskę, nie są publikowane w głównych mediach, by mogły docierać do jak najszerszej publiczności. Tylko solidna wiedza oparta na faktach może pomóc zrozumieć sens życia i nie dać się otumaniać współczesnym kłamcom. Nie trudno się zorientować, że dzisiaj moi próbują wmówić człowiekowi, że jest panem świata, że nauka wszystko wytłumaczy, wszystkiemu zaradzi, a jego celem ma być zdobycie materialnego dobrobytu i korzystanie z przyjemności bez ograniczeń. Żle pojęta tolerancja i wolność, zło nazywane dobrem, zboczenia – nowoczesnością, kłamstwo, zdrada – normalnością, zachęcają do życia bez Dekalogu, bez „wymagającego Boga”, bez żadnych zasad. „Wszyscy kłamią, w rodzinie, w polityce, w mediach, w szkole, na uczelniach, to jest normalka” – mówią młodzi pytani o wzorce, autorytety, dokonywane wybory i cele w życiu.

Na szczęście są jeszcze ludzie, dla których Dekalog, wierność chrześcijańskim zasadom, są świętością. Mamy w Polsce pięknie żyjące rodziny, świetnie łączące tradycje z dobrze pojętą nowoczesnością. Może są w mniejszości, ale przecież nigdy nie byli liczni ci, którzy wybierali dobro i podejmowali walkę ze złem, trwając do końca na swoich posterunkach. „Teraz jest czas na zajrzenie w swoje wnętrze, obudzenie sumienia i odnowienie oblicza ziemi poprzez odnowę ducha i nawrócenie każdego z nas, a Drogą, Prawdą i Życiem niech będzie nam Jezus Chrystus” – mówił nasz wielki rodak w 1991 r. Dzisiaj, w czasie zarazy, te słowa brzmią jak polecenie, przykazanie kochającego nas ojca.

Zbliża się 100-lecie urodzin papieża Polaka, warto i trzeba na poważnie powrócić do Jego słów, poczytać encykliki, książki, wykłady, przemówienia do wielkich tego świata i do nas, Polaków. Koronawirus przytknął nas w domach, przestraszył, wyciszył, mamy więcej czasu, trzeba próbować zgłębić zawartą tam wiedzę, przesłanie i myśli, czasami trudne, wymagające wielkiej wiedzy humanistycznej, ale jest to konieczne, by wyrobić sobie własne zdanie i nie kierować się „gotowcami” podszywanymi nam przez różnych dziennikarzy, rzekomych znawców twórczości i osoby Jana Pawła II. Często są to niepełne, wyrwane z kontekstu cytaty i nieprawdziwe fragmentaryczne opinie, próbujące zdezawuować, podważyć wielkość Czynu i Osoby na miarę tysiąclecia. Tak od wieków, ale i dzisiaj dzieje się z ludźmi, którzy swoim talentem, wielkością i ciężką pracą służą innym, bo „żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie” (Łk 4, 21-30).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Sprawdzam!

Umiesz liczyć? Licz na siebie! – głosi stare przysłowie. Trwa gorąca debata w sieci, czy koronawirus jest pandemią, czy megamistyfikacją. Niezależnie od wyniku tego sporu nagle zaraza okazała się supertestem na unijną solidarność (a właściwie na całkowity brak tejże). Cóż, można się było tego spodziewać.

Podczas najazdu nielegalnych imigrantów na Stary Kontynent kraje graniczne UE: Grecja, Włochy czy Hiszpania, zostały pozostawione same sobie, bez żadnego wsparcia z centrali. Z buta potraktowano też nowo przyjęte, biedniejsze państwa Europy Środkowo-Wschodniej; w procesie tzw. transformacji zniszczono lub przejęto konkurencyjne dla Zachodu tubylcze firmy. Kolonizując naszą gospodarkę i media, kraje UE udowodniły, że kapitał ma jednak swoją narodowość.

Fatalnie wypadł w realu sprawdzian konkretnego zagrożenia zarazą COVID-19 (której przecież daleko do słynnej hiszpanki, ale która traktowana jest w Unii nadzwyczaj serio).



**Lech
Makowiecki**

Zamiast odgórnie kompleksowo zwalczać skutki koronawirusa, Parlament Europejski znikł, jakby zapadł się pod ziemię! Okazjonalne obrady zwoływano czasem, by np. podebatować nad praworządnością na Węgrzech i w Polsce. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby znieścacka napadła na nas Rosja! W odpowiedzi na spadające na polskie miasta bomby i rakiety Moskwa zostałaby zasypana gradem ostrych not dyplomatycznych. Bruksela uzależniłaby swą pomoc od zatwierdzenia dożywotniej kadencji prezes SN Małgorzaty Gersdorf i wpisania do polskiej konstytucji rządów PO (do końca świata i jeden dzień dłużej).

Teraz już wiemy, że gdy dopadnie nas prawdziwe nieszczęście (np. ubóstwo jako wynik wygaszania gospodarek UE), przetrwają tylko państwa narodowe mające silnych i mądrych przywódców. Wśród unijnych samozwańczych mędrków i wypasionych kocurów ze świecą by szukać prawdziwego męża stanu.



POLACY

NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH

Historyczne sukcesy Polaków śledź na:

wPolityce.pl/sport

- historia igrzysk: Meksyk '68, Monachium '72, Montreal '76,
- największe olimpijskie gwiazdy,
- sukcesy Biało-Czerwonych.

PARTNER
PROJEKTU



PGNiG – w trosce o bezpieczeństwo Polaków

Trwająca pandemia koronawirusa mocno dotknęła wszystkich Polaków. Wiele polskich firm zmuszonych było ograniczyć lub zawiesić swoją działalność w tym trudnym czasie. Są jednak przedsiębiorstwa, które muszą funkcjonować bez przerwy. Wśród nich jest Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo – firma strategiczna dla bezpieczeństwa energetycznego kraju, która stale dba o to, by Polakom nie zabrakło gazu ani ciepła

PGNiG – lider rynku gazu ziemnego w Polsce – musi działać bez względu na okoliczności. – Mamy około 7 mln odbiorców gazu. To w dużej mierze klienci indywidualni, ale też mali i średni przedsiębiorcy oraz duzi odbiorcy – rafinerie, elektrociepłownie, zakłady azotowe, zakłady spożywcze – którzy nie mogą sobie pozwolić na wstrzymanie produkcji. Podobnie jak PGNiG nie może wstrzymać wydobycia gazu. Ciągłość produkcji musi zostać zachowana. Stale dostarczamy niezawodną energię. To dla nas wielka odpowiedzialność i zobowiązanie – mówi Jerzy Kwieciński, prezes PGNiG.

POZORNIE NIEWIDOCZNI, STALE NA STANOWISKU

Kilkanaście tysięcy pracowników – wiertników, górników naftowych, gazowników, serwisantów i innych pracowników Grupy Kapitałowej PGNiG – cały czas nadzoruje działanie instalacji gazowych – wydobywczych i dystrybucyjnych. Dbają o to, by nikomu nie zabrakło gazu. Ich praca i zaangażowanie przekładają się na niezawodność i ciągłość funkcjonowania samej firmy, ale przede wszystkim na komfort i poczucie bezpieczeństwa milionów polskich rodzin.

JESTEŚMY BLISKO POLAKÓW

Szczególnie bliskie są dla PGNiG te regiony, w których firma prowadzi działalność poszukiwawczo-wydobywczą i gdzie mieszkają ich pracownicy oraz ich rodziny. – Czujemy szcze-



Prezes PGNiG

Jerzy Kwieciński: Niezależnie od okoliczności ciągłość produkcji musi zostać zachowana. Stale dostarczamy niezawodną energię. To dla nas wielka odpowiedzialność i zobowiązanie

gólną więź z lokalnymi społecznościami, w których funkcjonujemy. Aktywnie je wspieramy. Między innymi w ten sposób rozumiemy hasło „Jesteśmy blisko Ciebie” – mówi Jerzy Kwieciński. Właśnie dlatego spółka zdecydowała się pomóc placówkom medycznym, które stoją na pierwszej linii frontu walki z epidemią koronawirusa. PGNiG przekazało wsparcie finansowe i w postaci sprzętu medycznego szpitalom w Zielonej Górze, Ostrowie Wielkopolskim, Toruniu, Lublinie, Sanoku, Łańcucie i Warszawie. – Do tej pory, na pomoc dla szpitali przeznaczaliśmy łącznie ponad 6,5 mln zł. To także forma podziękowania lekarzom, pielęgniarkom i ratownikom medycznym oraz wyraz solidarności z naszymi pracownikami i ich rodzinami. W ten sposób realizujemy ideę społecznej odpowiedzialności biznesu – dodaje prezes PGNiG.

W TROSCE O NIEZAWODNĄ I TANIAJĄ ENERGIĘ

Misją PGNiG jest zapewnienie Polsce i Polakom bezpieczeństwa energetycznego. To nie tylko działania podejmowane na arenie międzynarodowej, lecz przede wszystkim troska o krajowych odbiorców gazu ziemnego. Niezależnie od wyjątkowych okoliczności PGNiG zapewnia bezpieczeństwo dostaw gazu ziemnego, oferowanego w przystępnych cenach. Firma dba o to, aby jego dostawy pozostały niezakłócone. To szczególnie ważne teraz, kiedy koronawirus zmusił wielu ludzi do pozostania w domach, a przedsiębiorcy potrzebują zapewnienia stabilności podczas powrotu do nowej gospodarczej normalności.

Michał Korsun prezentuje: **Ambasador TVN**



Wycinki z przeszłości

Niemal 126 lat temu ludzie też cieszyli się na wiosnę. Tę piękną grafikę Apoloniusza Kędzierskiego zamieścił na okładce „Tygodnik Ilustrowany” w 1894 r., a wiersz jej towarzyszący, podpisany tylko „n.”, zatytułowano:

„W wiosennem upojeniu”
 „Wonieją łąki, sady wonieją,
 Wiosna spoila świat,
 Zielone liście błyszczą nadzieją,
 Miłością dyszy kwiat.
 Wonieją łąki, sady wonieją,
 Naokół blask i woń,
 Patrz, okwiecone drzewa się chwieją,
 A kwietna drzemie błon.
 Wonieją łąki, sady wonieją,
 Ziemia rozkoszą drży,
 Na świeżych różach motyle mdleją,
 Wonią buchają bzy.
 W gąszczu słowiki pięją rozgłośnie,
 Gdy noc urokiem tchnie,
 Na cześć miłości i na cześć wiosnie,
 Toasty wznoszą swe.
 I rozmarzone serce majaczy,
 Wiosenny pijąc czas,
 Biję inaczej, czuję inaczej,
 Majowych pełne mar...
 I zdaje się w sennem złudzeniu,
 Że byt zmieniło swój,
 Kiedy w rozkosznym drży upojeniu,
 I marzeń snuje rój.
 Nim rzeczywistość zbudzi je krzykiem,
 I zerwie złudzeń nić,
 Chce być motylem, różą, słowikiem,
 Chce kwitnąć, śpiewać, śnić...”



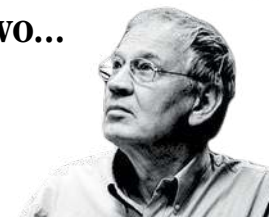
Wierszyk prosty, ale uroczy. Takiej wiosny Państwu życzymy!

(mk)

Kwietniowo odlotowo...

Leitmotiv wiosenny

W Krakowie na Brackiej
 W sobotnie przedpołudnie
 Lekki wietrzyk roznosi
 Po podwórku ułudę...



Leszek Długosz

Przekwita magnolia w kwietniową pogodę
 Ubywają
 Opadają płatki białe
 Srebrno atlasowe

W oknie stoję nieruchomy
 Ani westchnę nawet
 By się nie rozwiała
 Uhuda z naprzeciw
 Kwitnąca, nietrwala

Jeszcze ona ten raz moja
 W kwietniu i w tym roku
 Cicho pięknie – o d l o t o w o
 Lekki wietrzyk roznosi podwórko
 Magnolię
 Mnie w oknie
 Co chwilę, po trochu...

PS

A że to już kiedyś było
 I wszelako realniało
 Uśmiech, szczęście prawie
 Że tę zjawę magnoliową
 Znów mi tu przywiało

Świat się wokół mocuje
 Koniec kwietnia prawie
 – Z taką chwilą nierealną
 W sobotę bieżącą
 Odfruwam z tym oknem
 Z magnolią na jawie

Kraków, kwiecień 2020

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
w SIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania w SIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań w SIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Cudowna półprawda

Jak to dobrze, że w tym wirusowym nieszczęściu mamy komórki, internet, zdalną pracę, nauczanie, skype'owe łączenia, netflixowe filmy do wyboru, do koloru. I e-handel. Ileż rzeczy możemy robić on-line i dzięki temu o wiele mniej jesteśmy narażeni na zarażenie. Czyż nie byłoby nam wszystkim o wiele trudniej, gdyby nie rewolucja cyfrowa ostatnich dekad? Dzięki elektronicznym sieciom, które świat oplatają, mimo zarządzania fizycznej izolacji ludzi, mimo zamknięcia wielu firm i instytucji, jesteśmy w stałym kontakcie.

ZBAWCZY INTERNET

Ile razy słyszeliście już taką narrację o prawie zbawczej roli internetu w obecnych tarapatach ludzkości?

Tymczasem jest to co najwyżej półprawda; a jeśli nie kłamstwo, to na pewno głębokie złudzenie.

Otóż twierdzimy, że gdyby nie internet – niech to słowo będzie skrótem myślowym na określenie całego potężnego nurtu rewolucji cyfrowej – do obecnej katastrofy by nie doszło.

Uściślijmy: mówiąc o katastrofie, nie mamy na myśli samej pandemii i osób, które by nie zmarły, gdyby nie szybkie przenoszenie się wirusa przez cały świat. Mamy na myśli także ekonomiczne, społeczne, a kto wie, czy także nie geopolityczne (groźne dla pokoju na świecie) następstwa obecnej pandemii.

Mamy na myśli gospodarczą recesję, bezrobocie i zapewne wiążące się z tym fale przestępczości oraz niepokojów społecznych. Mamy na myśli nowe paliwo dla demagogów i populistów; tych prawdziwych, a nie tylko wydumanych przez fanów demokracji liberalnej. Mamy na myśli groźbę destabilizacji społecznej w wielu krajach i nowe pola konfliktów międzynarodowych. Mamy na myśli groźbę wzrostu poparcia dla rozwiązań autorytarnych, wcale nie



*Gdyby nie internet
– niech to słowo będzie skrótem
myślowym na określenie całego
potężnego nurtu rewolucji
cyfrowej – do obecnej
katastrofy by nie doszło*

wynikających z potrzeby szybkiego reagowania na zagrożenia egzystencjalne.

CZY RACZEJ ZABÓJCZY?

Straty, które już się wydarzyły, i szkody, do jakich w wielu krajach niestety dojdzie, nie stałyby się, gdyby nie wysokie tempo rozprzestrzeniania się wirusa oraz słabe – jak na cywilizację naukowo-techniczną – przygotowanie władz większości krajów do walki z pandemią. Do tego właśnie przyczynił się internet. Umożliwił on takie przyspieszenie i pogłębienie globalizacji, że niemal wszyscy – w biznesie, w nauce, w polityce, w mediach – z oczu stracili wymogi bezpieczeństwa.

Obsesyjnie skupiono się na pragnieniu postępu: więcej mobilności, więcej towarów, więcej gadżetów, więcej innowacji, więcej różnorodności, więcej kolorów,

więcej nowości, zysków, więcej PKB. Więcej stymulacji. Więcej zużycia energii, więcej odpadów i zanieczyszczeń. Więcej duchowego wyjałowienia...

Internet podkreślił tempo zmian, a media społecznościowe przyniosły tak ogromne przeciążenie informacyjne, że niemal kompletnie zaciemniony został kształt wielu procesów. Także racjonalne reakcje na zagrożenia zostały opóźnione.

Mediokracja i swoisty technopopulizm legły u podstaw wielu działań pozornych – ale piarowsko często niezbędnych – u rządzących na całym świecie.

Ale jak jest czegoś więcej, to zazwyczaj jest też czegoś mniej. Mniej refleksji, mniej ostrożności, mniej patrzenia w oczy drugiemu człowiekowi, mniej życia wewnętrznego. Mniej dojrzałości.

GDYBY NIE...

Przecież gdyby nie internet, mnóstwo spraw działałoby się znacznie wolniej. Zamiast wchodzić w kolejne wiraże „postępu”, mielibyśmy czas wyciągnąć wnioski z kataklizmów XX stulecia. Ludzie podróżowałoby mniej po świecie. Wirusy też. Ludzie kupowałyby mniej i częściej produkty wytworzone gdzieś nieopodal. Byliby mniej oszołomieni przez ciągłe strumienie cyfrowych bodźców, mniej zestresowani przez wyścigi szczurów i bardziej odporni na infekcje.

Turbokapitalizmu by nie było. System globalnej konkurencji międzypaństwowej byłby bardziej stabilny, mniej podatny na zakłócenia. Świat byłby spokojniejszy. Łatwiejszy do ogarnięcia.

Wirus przenosiłby się na tyle wolno, że byłoby więcej czasu, by go naukowo badać, a instytucje publiczne na czas przestawić na radzenie sobie z epidemią, ale znacznie mniej groźną.

Co ludzkości po błyskawicznym „rozwoju”, nad którym nie panujemy?

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Zostajemy w domu
z tygodnikiem

SIECI



Zamów e-prenumeratę

SIECI

PROMOCJA! ~~19⁹⁹~~ **9⁹⁹** /miesiąc | ~~159⁹⁹~~ **89⁹⁹** /rok

WEJDŹ NA: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl 241840ac83

Pomagamy razem #WygrywamyRazem

10% ze wszystkich gier na lotto.pl przeznaczamy
na walkę z koronawirusem i jego skutkami



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

#WygrywamyRazem

